

L. J. SMITH

Pamiętniki
Wampirów

Uwięzieni

Przekład
Maja Kittel



ROZDZIAŁ 1

Kiedy Matt ocknął się, stwierdził, że wciąż siedzi w samochodzie Eleny. Oszołomiony ruszył do domu. W środku było ciemno; jego rodzice spali. Długo mocował się z zamkiem w tylnych drzwiach. Gdy dotarł do sypialni, rzucił się na łóżko, nie zdejmując nawet butów.

Była dziewiąta, gdy obudził go telefon.

- Me... redith?

- Myślałyśmy, że przyjedziesz wcześniej rano.

- Zaraz jadę, muszę tylko najpierw wymyślić jak - wychrypiał z trudem. Głowa mu pękała, bolało opuchnięte ramię. Mimo to jego szare komórki pracowały. W końcu kilka neuronów błysnęło triumfalnie. Już wiedział, jak dojechać do pensjonatu pani Flowers.

- Matt? Jesteś tam jeszcze?

- Nie jestem pewien. Wczoraj... Boże, nawet nie pamiętam dokładnie, co się stało. Ale w drodze do domu... Opowiem, gdy się zobaczymy. Najpierw muszę zadzwonić na policję.

- Na policję?

- Tak. Słuchaj, daj mi godzinę, dobra? Będę za godzinę.

Zanim wyszedł, wziął prysznic. Gorąca kąpiel nie zmniejszyła bólu w ramieniu, ale pozwoliła Mattowi uporządkować myśli. W pensjonacie był dopiero przed jedenastą. Dziewczyny bardzo się o niego martwiły.

- Matt, co się stało?

Opowiedział, co pamiętał. Elena, zaciskając zęby, odwinęła bandaż z jego ramienia i zbladła. W zadrapania wdało się zakażenie.

- Malaki są jadowite -jęknęła Meredith.

- Tak - przytaknęła Elena. - Zatruwają ciało i umysł.

- Myślisz, że mogą pasożytować w ciele człowieka? - Meredith nachylała się nad kartką papieru, próbując narysować malaka na podstawie opisu Matta.

- Tak.

- A jak można poznać, że malak w kimś się zagnieździł? - zapytała wystraszona Meredith.

- Bonnie powinna to zauważyć podczas transu. Być może ja też to potrafię, ale nie chcę korzystać z mocy w tym celu. Zejdźmy na dół, do pani Flowers.

Elena powiedziała to tonem, który Matt dobrze znał, a który oznaczał, że dyskusja nie wchodzi w grę. Miało być, jak powiedziała.

Tym razem Matt nie miał ochoty dyskutować. Nie zwykł się skarżyć - zdarzało mu się grać w piłkę ze złamanym obojczykiem, sztuczonym kolanem albo skręconą kostką - ale to było co innego. Aż go skręcało z bólu.

Pani Flowers była w kuchni, ale na stole w salonie stały cztery szklanki mrożonej herbaty.

- Zaraz do was przyjdę — zawołała przez drzwi. - Powinniście wypić herbatę, zwłaszcza młody człowiek z ranną ręką. Poczujcie się lepiej.

- Herbata ziołowa. - Bonnie szepnęła, jakby to była tajemnica handlowa.

Herbata nie była zła, chociaż Matt wolałby colę. Ale kiedy pomyślał o herbacie jak o lekarstwie i dostrzegł zatroskane spojrzenia dziewczyn, zmusił się do wypicia prawie całej szklanki.

Pani Flowers miała na głowie ogrodniczy kapelusz -a w każdym razie jakiś stary kapelusz z ze sztucznymi kwiatami, który wyglądał, jakby nosiła go podczas prac w ogrodzie.

W rękach trzymała tacę, na której leżały metalowe błyszczące narzędzia.

- Tak, kochana - powiedziała do Bonnie, która odruchowo zasłoniła sobą Matta. - Pracowałam jako pielęgniarka, tak jak twoja siostra. Gdy byłam młoda, trudno było kobiecie zostać lekarzem. Ale leczyłam ludzi ziołami, byłam czarownicą. To skazuje człowieka na samotność, prawda?

- Nie musiałyby pani być samotna - odpowiedziała zaskoczona Meredith - gdyby nie mieszkała pani na takim odludziu.

- Ale wtedy ludzie gapiliby się na mnie, obserwowali mój dom, a dzieci uciekałyby przede mną lub rzucały w okna kamieniami, niszczyłyby mi ogródek.

To była najdłuższa wypowiedź pani Flowers, jaką kiedykolwiek słyszeli. Byli tak zaskoczeni, że Elena odezwała się dopiero po dłuższej chwili.

- Nie wiem, jakim cudem jelenie, króliki i inne zwierzęta, których jest tu mnóstwo, nie zjadają wszystkiego, co wyrośnie.

- Och, ogródek jest głównie dla nich. - Pani Flowers uśmiechnęła się ciepło, a jej twarz pojaśniała. - Na pewno go lubią. Ale nie jedzą ziół leczniczych. Pewnie wiedzą, że jestem wiedźmą, bo zawsze zostawiają zioła i trochę warzyw, i kwiatów dla mnie i ewentualnych gości.

- Dlaczego mówi nam to pani dopiero teraz? Tyle razy szukałam pani albo Stefano i myślałam... no, nieważne, co myślałam. Nie wiedziałam, czy jest pani po naszej stronie.

- Prawdę mówiąc, zrobiłam się straszonym odludkiem. Ale straciłam swojego chłopaka, prawda Eleno? Żałuję, że nie wstałam trochę wcześniej. Może zdążyłabym z nim porozmawiać. Zawsze lubiłam Stefano. Zostawił na stole w kuchni pieniądze za wynajem pokoju na cały rok.

Wargi Eleny drżały. Matt pospiesznie odwinął bandaż i pokazał rękę pani Flowers.

- Czy może pani coś na to poradzić?

- Boże, kto ci to zrobił? - Pani Flowers przyglądała się zadrapaniom ze zdumieniem.

- Sądzimy, że malak - odpowiedziała cicho Elena. - Wie pani coś o malakach?

- Słyszałam kiedyś tę nazwę, ale nic więcej. Kiedy to się stało? Ranki wyglądają raczej na ślady zębów niż pazurów.

- To były zęby. - Matt opisał malaka najdokładniej, jak potrafił. Starał się nie myśleć, co go czeka za chwilę.

- Przytrzymaj ręcznik i nie ruszaj się - poleciała pani Flowers.

- Rany zaczęły się już zasklepiać, muszę je otworzyć i oczyścić. To będzie bolało. Czy któraś z was mogłaby go przytrzymać, żeby nie wyszarpała ręki, gdy będę czyścić rany?

Zanim Elena i Meredith zdążyły zareagować, Bonnie przyskoczyła do Matta. Mocno chwyciła jego dłoń.

Matt zniósł dzielnie oczyszczanie ranek, chociaż ból był potworny. Nie krzyknął ani razu, a nawet próbował uśmiechać się do Bonnie, kiedy pani Flowers usuwała krew i ropę. Gdy skończyła, przyłożyła zimny ziołowy okład; opuchlizna prawie zniknęła, ból się zmniejszył.

Miał właśnie podziękować pani Flowers, kiedy zauważył, że Bonnie patrzy na jego szyję i chichocze.

- Co cię tak bawi?

- Malak zrobił ci malinkę. No chyba że o czymś nam nie powiedziałeś.

Matt się zarumienił. Zasłonił szyję kołnierzem.

- Powiedziałem wszystko. To był malak. Przyszał mi się do szyi. Próbował mnie udusić!

- Przepraszam - speszzyła się Bonnie.

Pani Flowers posmarowała szyję Matta jakąś ziołową maścią, inną maść nałożyła na zadrapania. Te zabiegi przyniosły chłopakowi ulgę. Spojrzał nieśmiało na Bonnie.

- Wiem, że to wygląda jak malinka - powiedział. - Widziałem rano w lustrze. Mam jeszcze jedną trochę niżej. - Sięgnął ręką za kołnierz, żeby na drugą malinkę też nałożyć maść. Dziewczyny roześmiały się, napięcie zostało rozładowane.

Meredith poszła na górę, do pokoju, o którym wciąż myśleli jako o pokoju Stefano, a Matt za nią. Był w połowie schodów, gdy zorientował się, że Bonnie i Elena zostały na dole. Meredith przywołała go na górę.

- Muszą porozmawiać - wyjaśniła.

- O mnie? - Matt przełknął ślinę. - Chodzi o to coś, co Elena widziała w Damonie, tak? Ja też mam malaka?

Meredith, zawsze mówiąca prawdę, przytaknęła. Ale położyła dłoń na ramieniu Matta, dodając mu otuchy.

Gdy Elena i Bonnie dołączyły do nich, Matt domyślił się z wyrazu ich twarzy, że nie biorą pod uwagę najgorszego scenariusza. Elena dostrzegła jego minę; podeszła i objęła go. Bonnie zrobiła to samo, choć z mniejszą śmiałością.

- W porządku? - zapytała Elena. Matt skinął głową.

- Czuję się dobrze - zapewnił. Świadomość, że dziewczyny się o niego troszcza, była bardzo przyjemna. Warto pocierpieć, pomyślał.

- Doszliśmy do wniosku, że nic nie przedostało się do twojego organizmu. Twoja aura jest czysta i silna.

- Dzięki Bogu.

W tej chwili zadzwonił telefon Matta. Zmarszczył brwi, nie rozpoznając numeru, który pojawił się na wyświetlaczu.

- Matthew Honeycutt?

- Tak.

- Tu Rich Mossberg z biura szeryfa Fell's Church. Dziś rano poinformował nas pan o drzewie tarasującym drogę przez Stary Las?

- Tak, ja...

Panie Honeycutt, nie lubimy takich dowcipów. Prawdę mówiąc, bardzo nas irytują. Nasi funkcjonariusze marnują cenny czas przez dowcipnisiów takich jak pan. Tak się składa, że wprowadzanie policji w błąd jest przestępstwem. Może pan mieć spore kłopoty. Nie wiem, co w tym takiego zabawnego pańskim zdaniem.

- Ja nie... nic w tym nie ma zabawnego! Proszę posłuchać, wczoraj w nocy... - Mattowi załamał się głos. Co ma właściwie powiedzieć policji? Ze wczoraj w nocy został zatrzymany przez leżące na drodze drzewo, a potem zaatakowany przez wielkiego robaka z piekła rodem? Jakiś głos w jego głowie szepnął też, że funkcjonariusze biura szeryfa w FelPs Church większość swojego cennego czasu spędzają, jedząc pączki. Nie zdążył wymyślić sensownej odpowiedzi, bo policjant znów się odezwał.

- Panie Honeycutt, zgodnie z kodeksem stanu Wirginia składanie fałszywego zawiadomienia na policję jest karalne. Grozi za to rok pozbawienia wolności albo dwadzieścia pięć tysięcy dolarów kary. Czy to pana bawi?

- Proszę posłuchać...

- Ma pan dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, panie Honeycutt?

- Nie, ja... - Matt nie miał pojęcia, jakim cudem drzewo zniknęło z drogi. Malak je usunął? A może samo sobie poszło? To absurd. W końcu łamiącym się głosem wydusił: - Bardzo mi przykro, że jechaliście panowie na próżno. Naprawdę w poprzek drogi leżało drzewo. Może... może ktoś je przesunął.

- Ktoś je przesunął - wycedził policjant. - A może samo się przesunęło, tak jak przesuwają się znaki drogowe. Czy to panu coś mówi, panie Honeycutt?

- Nie! - Matt oblał się rumieńcem. - Nigdy nie przesunąłbym znaku drogowego, wiem, czym to mogłoby się skończyć. - Dziewczyny stanęły przy nim, jakby mogły mu w ten sposób pomóc. Bonnie gestykulowała gwałtownie, a jej mina zdradzała, że najchętniej sama spławiłaby policjanta.

- Panie Honeycutt, zadzwoniliśmy najpierw pod pana domowy numer, bo taki nam pan podał. Pańska matka powiedziała, że nie wrócił pan na noc.

Mattowi cisnęło się na usta pytanie, czy to też jest przestępstwo, ale rozsądnie nie zadał go.

- To dlatego, że zostałem zatrzymany...

- Przez chodzące drzewo? Mieliśmy też inne niepokojące zgłoszenia. Członek straży obywatelskiej zadzwonił w nocy i powiadomił nas, że niedaleko pańskiego domu stoi podejrzany samochód. Pańska matka powiedziała nam, że niedawno rozbił pan swoje auto. Czy to prawda, panie Honeycutt?

Matt domyślał się, do czego policjant zmierza.

- Tak - odpowiedział odruchowo, rozpaczliwie szukając jakiegoś wyjaśnienia. - Próbowałem ominąć lisa. I...

- Przed pańskim domem stał nowy jaguar, zaparkowany tak, by nie rzucał się w oczy. Samochód był nowy, nie miał jeszcze tablic rejestracyjnych. Czy to pański samochód, panie Honeycutt?

- Pan Honeycutt to mój ojciec - odpowiedział zdesperowany chłopak. - Ja jestem Matt. A to był samochód mojej przyjaciółki...

- A pańska przyjaciółka nazywa się...?

Matt wpatrywał się w Elenę. Rozpaczliwie machała, próbując coś szybko wymyślić. Powiedzieć „Elena Gilbert” byłoby katastrofą. Policja, lepiej niż ktokolwiek, wiedziała, że Elena

Gilbert nie żyje. W końcu bezgłośnie podsunęła Mattowi odpowiedź.

Matt zamknął oczy.

- Stefano Salvatore. To znaczy... Stefano Salvatore to mój przyjaciel, ale on podarował ten samochód swojej dziewczynie? - Wiedział, że nie powinien nadawać temu zdaniu pytającej intonacji, ale nie mógł uwierzyć w to, co Elena mu podpowiadała.

Szeryf wydawał się już zirytowany.

- Mnie pytasz, Matt? Więc jechałeś samochodem dziewczyny swojego przyjaciela. A ona nazywa się...?

Przez krótką chwilę dziewczyny sprzeczały się szeptem. W końcu Bonnie podniosła rękę, a Meredith wskazała na siebie.

- Meredith Sulez - wyjąkał Matt. Potem powtórzył nazwisko raz jeszcze pewniejszym głosem.

Elena szeptała coś do ucha Meredith.

- Gdzie samochód został kupiony? Panie Honeycutt?

- Tak. Chwileczkę... - Podał telefon rzekomej właścicielce.

- Tu Meredith Sulez. - Mówiła spokojnie i pewnie jak spikerka radiowa.

- Panno Sulez, słyszała pani tę rozmowę?

- Tak, słyszałam.

- Czy pożyczyła pani samochód panu Honeycuttowi?

- Tak.

- A gdzie jest pan... - w słuchawce słychać było szelest papieru - pan Stefano Salvatore, właściciel samochodu?

Nie pyta, gdzie go kupił, pomyślał Matt. Widocznie wie.

- Mój chłopak wyjechał z miasta - odpowiedziała Meredith tym samym spokojnym tonem. - Nie wiem, kiedy wróci. Czy ma do pana zadzwonić, gdy będzie w mieście?

- To byłby dobry pomysł - odpowiedział policjant. - Rzadko kto kupuje samochody za gotówkę, zwłaszcza nowe jaguary. Poproszę też numer pani prawa jazdy. I, tak, chciałbym porozmawiać z panem Salvatore, gdy tylko wróci.

- To powinno nastąpić wkrótce - powtórzyła Meredith za podpowiedzią Eleny. Po czym z pamięci wyrecytowała numer prawa jazdy.

- Dziękuję - powiedział krótko szeryf. - To byłoby na tyle...

- Czy mogę tylko coś powiedzieć? Matt Honeycutt nigdy, nigdy nie przesunąłby znaku drogowego. Jest bardzo rozważnym kierowcą i rozsądnym, odpowiedzialnym chłopakiem. Może pan zapytać kogokolwiek z Liceum imienia Roberta E. Lee, nawet panią dyrektor, jeżeli nie jest na urlopie. Każdy powie panu to samo.

Na szeryfie nie zrobiło to chyba wielkiego wrażenia.

- Proszę mu przekazać, że będę miał na niego oko. Dobrze by było, gdyby dziś lub jutro zajrzał do mojego biura - powiedział i się rozłączył.

Matt nie mógł się już powstrzymać.

- Dziewczyna Stefano? Ty, Meredith? A co jeżeli sprzedawca powie, że to była blondynka? Jak to wyjaśnimy?

- Nie wyjaśnimy - stwierdziła Elena spokojnie. - Damon to zrobi. Musimy go tylko znaleźć. Jestem pewna, że może zająć się szeryfem Mossbergiem, jeżeli tylko zaoferujemy coś w zamian. A o mnie się nie martw. Widzę, że się krzywisz, ale wszystko będzie w porządku.

- Tak myślisz?

- Jestem pewna. - Elena uściśliła go raz jeszcze i pocałowała w policzek.

- Powiniennem jednak odwiedzić biuro szeryfa dziś lub jutro.

- Ale nie sam! - wtrąciła Bonnie, a jej oczy rozbłyły oburzeniem. - Jeżeli Damon pójdzie z tobą, Mossberg zostanie twoim najlepszym przyjacielem.

- Masz rację - przyznała Meredith. - To co teraz zrobimy?

- Mamy, niestety - Elena w zamyśleniu przyłożyła palec do wargi - za dużo problemów naraz. Nikt z nas nie powinien chodzić gdziekolwiek sam. Jest jasne, że w Starym Lesie są małaki, które próbują zrobić nam kuku. Na przykład zabić.

Matt poczuł wielką ulgę: Elena mu wierzyła. Rozmowa z szeryfem poruszyła go bardziej, niż chciał to okazać.

- Podzielimy się na dwie grupy - zaproponowała Meredith. - I podzielimy też zadania.

Elena zaczęła wymieniać, odliczając na palcach.

- Po pierwsze, Caroline. Ktoś powinien się z nią zobaczyć, a przynajmniej dowiedzieć się, czy to coś opanowało jej umysł.

Drugi problem to Tami, a może jeszcze inne dziewczyny, kto wie? Jeżeli za pośrednictwem Caroline to coś manipuluje innymi, to dziewczyny, faceci zresztą też mogą zachowywać się podobnie.

- Okej. Co dalej?

- Trzeba się skontaktować z Damonem i ustalić, czy wie, dokąd odszedł Stefano. A także przekonać go, żeby wpłynął na umysł szeryfa Mossberga.

- Ty powinnaś rozmawiać z Damonem i może Bonnie, bo ze mną ani z Meredith Damon się nie spotka.

- Błagam, nie dzisiaj - zaprotestowała Bonnie. -Przepraszam, Eleno, ale nie mogę znów wzywać Damona, muszę odpocząć przynajmniej jeden dzień. A poza tym, jeżeli Damon będzie chciał z tobą rozmawiać, możesz sama go wezwać. On wie o wszystkim, co się dzieje. Będzie też wiedział, że tam jesteś.

- Ja pójdę z Eleną - zasugerował Matt. - Szeryf to w końcu mój problem. Chciałbym wrócić w to miejsce, gdzie widziałem drzewo...

Dziewczyny zaprotestowały gwałtownie.

- Powiedziałem tylko, że chciałem - wycofał się Matt. - A nie, że to dobry plan. Wiemy, że tam jest zbyt niebezpiecznie.

- W takim razie Bonnie i Meredith odwiedzą Caroline, a ty i ja poszukamy Damona, dobrze? Wolałabym poszukać Stefano, ale nie mamy jeszcze dość informacji.

- Dobrze, ale najpierw wpadnijcie do Jima Bryce'a. Matt może go odwiedzić, bo zna go dobrze. Moglibyście sprawdzić, jak się miewa Tami.

- No i wszystko zaplanowane - rzuciła Elena. Był jasny dzień, słońce grzało mocno.

Pomimo telefonu od szeryfa cała czwórka czuła się pewnie i niczego się nie bała.

Żadne z nich nie spodziewało się, że właśnie zaczyna się największy koszmar ich życia.

Do drzwi państwa Forbesów zapukała Meredith, Bonnie stała z boku.

Nikt nie otwierał; Meredith zapukała jeszcze raz.

Tym razem Bonnie usłyszała szept, syczący głos pani Forbes i odległy śmiech Caroline.

W końcu, gdy Meredith właśnie miała nacisnąć dzwonek- co w FelFs Church było uważane za wyjątkowy nietakt - drzwi się otworzyły. Bonnie szybko wsunęła w nie stopę, żeby nie można ich było zatrzasać.

- Dzień dobry, pani Forbes. Chciałyśmy tylko... -Meredith się zawahała. - Chciałyśmy tylko sprawdzić, czy Caroline czuje się lepiej - dokończyła głosem niewiniątka. Pani Forbes patrzyła na nią, jakby zobaczyła ducha, przed którym uciekała przez całą noc.

- Nie, nie czuje się. Nie lepiej. Wciąż jest chora. - Jej głos był beznamiętny Błądziła wzrokiem po trawniku za plecami dziewczyn. Bonnie dostała gęsiej skórki.

- A czy pani dobrze się czuje? - zapytał ktoś i Bonnie uświadomiła sobie, że to ona sama.

- Caroline... nie czuje się dobrze... nie może się z nikim widzieć - wyszeptła kobieta.

Bonnie miała wrażenie, że wielki kawał lodu zsuwa się po jej plecach. Chciała natychmiast uciekać jak najdalej od tego domu i jego złej aury. Ale wtedy pani Forbes się zachwiała. Meredith z trudem udało się ją złapać.

- Zemdlała - stwierdziła krótko.

Bonnie miała ochotę krzyknąć: „Połóż ją i uciekajmy!" Ale wiedziała, że nie mogą tego zrobić.

- Musimy wnieść ją do środka. Bonnie, dasz radę?

- A mam wybór?

Pani Forbes, chociaż drobna, sporo ważyła. Meredith trzymała ją za ramiona, Bonnie chwyciła ją za nogi i weszły do domu.

- Połóżmy ją na łóżku - głos Meredith drżał. W powietrzu było coś bardzo niepokojącego. Jakby zewsząd napierały na nie fale napięcia i lęku.

Bonnie coś zauważyła. Mignęło jej, gdy wchodziły do salonu. Na końcu korytarza - to mogło być tylko złudzenie, światło odbite od powierzchni lampy, ale wyglądało jak człowiek Człowiek skradający się na czworakach jak jaszczurka. Po suficie.

ROZDZIAŁ 2

Matt pukał do drzwi Bryce'ów. Elena schowała włosy pod bejsbolówkę, twarz ukryła za wielkimi ciemnymi okularami. Miała na sobie obszerną granatową koszulkę Matta i za długie dzinsy Meredith. Była pewna, że nie rozpozna jej nikt, kto znał dawną Elenę Gilbert.

Drzwi otworzyły się bardzo powoli. Nie stał za nimi ani pan Bryce, ani pani Bryce, ani Jim, ale Tamra. Była ubrana w... prawie nic. Miała na sobie tylko skąpy dół od bikini, który wyglądał na ręcznie robiony, oraz dwa papierowe kółka na piersiach, z przyklejonymi do nich cekinami i kolorowymi błyskotkami, a na głowie - papierową koronę, z której najwyraźniej oderwała błyskotki. Próbowwała przykleić kilka również do majtek. Wyglądała jak dziecko, które chciało się przebrać za tancerkę go-go.

Matt natychmiast odwrócił się, ale Tami rzuciła się na niego i przywarła do jego pleców.

- Matt, mój słodki Matt - zaszczębiotała. - Wróciłeś. Wiedziałam, że wrócisz. Ale dlaczego przyprowadziłeś ze sobą tę dziwkę? Jak mamy...

Elena podeszła bliżej, bo Matt już odwracał się z uniesioną ręką. Była pewna, że nigdy nie uderzył kobiety ani dziecka, ale wiedziała, że był przewrażliwiony, gdy chodziło o nią. Udało jej się wcisnąć między Matta a zadziwiająco silną Tamrę. Z trudem powstrzymała uśmiech, patrząc na jej strój. W końcu jeszcze kilka dni temu sama nie potrafiła pojąć, dlaczego nagość jest tabu. Teraz to rozumiała, ale już nie wydawało jej się tak ważne jak kiedyś. Nie widziała żadnego powodu, żeby nosić fałszywą skórę, o ile nie było zbyt zimno albo z jakiegoś innego powodu niewygodnie było chodzić nago. Społeczeństwo postrzegało jednak nagość jako coś grzesznego. Tami próbowała być grzeszna na swój dziecinny sposób.

- Puść mnie, stara zdziro - warknęła na Elenę, gdy ta próbowała odciągnąć ją od Matta, po czym dorzuciła jeszcze kilka wulgarnych epitetów.

- Tami, gdzie są twoi rodzice? Gdzie jest twój brat? - zapytała Elena. Zignorowała wyzwiska - to w końcu były tylko słowa - ale widziała, że Matt blednie z wściekłości.

- Natychmiast przeproś Elenę! Nie wolno ci tak do niej mówić - zawołał.

- Elena to rozkładające się zwłoki, a robaki pełzają po jej oczodołach - odparowała Tamra. - Ale słyszałam, że jeszcze za życia była niezłą dziwką. Zwykłą - tu nastąpił ciąg słów, które odebrały Mattowi oddech - tanią dziwką. Sam wiesz. Nie ma nic tańszego niż to, co za darmo.

- Matt, nie zwracaj uwagi na to, co ona mówi - rzuciła Elena. - Gdzie są twoi rodzice i Jim?

Odpowiedź pełna była niecenzuralnych słów, ale wynikało z niej, że państwo Bryce wyjechali na kilka dni na' urlop, ajim był ze swoją dziewczyną, Isobel. Nie wiadomo czy Tamra mówiła prawdę

- Dobrze, w takim razie pomogę ci przebrać się w coś, co bardziej przypomina ubranie - powiedziała Elena.

-Najpierw musisz wziąć prysznic i poodklejać z siebie te choinkowe ozdoby.

- Chi, chi, spróbuj tylko. - Chichot Tami brzmiał jak skrzyżowanie ludzkiego śmiechu i końskiego rżenia.

-Przykleiłam je superglue! - Dodała dziewczynka i zaśmiała się jeszcze głośniej.

- O Boże, Tamra, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, że jeżeli nie ma rozpuszczalnika, który rozpuści ten klej, potrzebna będzie operacja?

Elena nie usłyszała odpowiedzi, poczuła natomiast brzydki zapach. Nie, nie zapach: duszący, potworny smród.

- Ups! - Tami zachichotała ponownie. - Przepraszam. Ale przynajmniej to naturalne gazy.

Matt odchrząknął.

- Eleno, chyba nie powinno nas tu być. Skoro jej rodzice wyjechali...

- Boją się mnie - wtrąciła Tami, wciąż się śmiejąc. Nagle jej głos obniżył się o kilka oktaw - A wy się nie boicie?

Elena spojrzała jej w oczy.

- Nie, ja nie. Jest mi po prostu przykro, że mała dziewczynka znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Ale Matt ma rację, musimy iść.

Tami niespodziewanie spoważniała.

- Przepraszam... Nie wiedziałam, że odwiedza mnie ktoś tego kalibru. Nie odchodź Matt, proszę - powiedziała, po czym zwróciła się do Eleny teatralnym szeptem - Czy jest dobry?

- Co?

Tami skinęła głową w stronę Matta, który natychmiast odwrócił się do niej plecami. Wyraz jego twarzy zdradzał, że jest zafascynowany wyglądem dziewczyny.

- On. Czy jest dobry w łóżku?

- Matt, spójrz na to. - Elena podniosła tubkę kleju. - Ona chyba naprawdę to przykleiła. Musimy zadzwonić do opieki społecznej albo na pogotowie. Nie wiem, czy jej rodzice wiedzą o tym zachowaniu, ale na pewno nie powinni byli zostawiać jej samej.

- Mam nadzieję, że nic się im nie stało - westchnął ponuro Matt, gdy wracali do samochodu. Tami odprowadzała ich, wykrzykując wulgarne słowa o tym, jak to dobrze im było we trójkę.

Elena spojrzała na Matta niepewnie, kiedy już znaleźli się w samochodzie.

- Może powinniśmy najpierw pojechać na policję. Boże, biedni ci jej rodzice!

Matt przez długą chwilę nic nie mówił. Zaciskał tylko wargi.

- Czuję się odpowiedzialny za to. To znaczy wiedziałem, że z nią jest coś nie tak, więc powinienem był już wtedy powiedzieć jej rodzicom.

- Mówisz jak Stefano. Nie jesteś odpowiedzialny za wszystkich, którzy mają kłopoty.

Matt spojrzał na nią z wdzięcznością.

- Poproszę Bonnie i Meredith - ciągnęła Elena - żeby sprawdziły, jak się miewa Isobel, dziewczyna Jima. Ty nie miałeś z nią żadnego kontaktu, ale Tami mogła mieć.

- Myślisz, że jest taka jak Tami?
- Mam nadzieję, że Bonnie i Meredith to sprawdzą.

Bonnie zatrzymała się w pół kroku, niemal puszczając nogi pani Forbes.

- Nie wejdę do tej sypialni.
- Musisz. Sama jej nie wniosę - westchnęła Meredith i dodała przymilnie - Posłuchaj, Bonnie, jeżeli wejdiesz ze mną, zdradzę ci tajemnicę.

Bonnie przygryzła wargę. Zamknęła oczy i szła za Meredith. Wiedziała, gdzie jest główna sypialnia - w końcu przyjaźniły się z Caroline od dziecka i często odwiedzały. Do końca korytarza, potem w lewo.

Zaskoczyło ją, że Meredith zatrzymała się nagle.

- Bonnie.
- Co?
- Nie chcę cię straszyć, ale...

Bonnie przeszedł dreszcz. Otworzyła szeroko oczy.

- Co? Co się dzieje?

Zanim Meredith zdążyła odpowiedzieć, obejrzała się przez ramię i zobaczyła, dlaczego przyjaciółka się wystraszyła.

To była Caroline. Nie stała za nią. Czołgała się czy raczej pełzała, tak jak w pokoju Stefano. Jak jaszczurka. Brązowe rozczochrane włosy opadały jej na twarz. Kolana i łokcie wyginały się pod niemożliwymi kątami.

Bonnie krzyknęła, ale wydawało się, że napięcie unoszące się w powietrzu stłumiło jej krzyk. Jedynym skutkiem było to, że Caroline uniosła głowę i spojrzała na nią, nienaturalnie wykręcając szyję.

- O Boże, Caroline, co się stało z twoją twarzą? Jedno oko dziewczyny było spuchnięte, miało czerwono-fioletowy kolor. Również jej szczeka była mocno posiniaczona.

Caroline nic nie odpowiedziała, chyba że liczyć za odpowiedź gadzi syk, który wydała z siebie, ruszając w jej stronę.

- Meredith, szybko! Jest tuż za mną!

Meredith przyspieszyła kroku, wyraźnie przestraszona -co jeszcze bardziej przeraziło Bonnie, bo wiedziała, że mało co potrafi wstrząsnąć jej przyjaciółką tak bardzo. Zanim uszły kilka kroków, wciąż niosąc panią Forbes, Caroline przepełza pod swoją matką i wślizgnęła się do sypialni.

- Meredith, ja tam nie wejść... - Były już jednak pod samymi drzwiami. Bonnie rozejrzała się po pomieszczeniu. Nigdzie nie było widać Caroline.

- Może jest w szafie - zasugerowała Meredith. - Dobra, teraz pójde pierwsza i położymy głowę pani Forbes z tamtej strony łóżka. Potem możemy ułożyć ją wygodniej. - Tyłem obesła łóżko, niemal ciągnąc Bonnie za sobą, i położyła głowę pani Forbes na poduszkach. - Teraz podejdz ty i połóż jej nogi.

- Nie mogę! Nie zrobię tego. Caroline jest pod łóżkiem, wiesz o tym.

- Nie może być pod łóżkiem. Tam nie ma dość miejsca.

- Jest tam. Wiem. A poza tym obiecałaś zdradzić mi tajemnicę.

W porządku! - Meredith skapitulowała. - Wysłałam wczoraj wiadomość do Alarica. Telegram, bo nie ma innego sposobu kontaktowania się z nim w dziczy, w której się znalazł. To i tak może potrwać kilka dni, zanim dostanie wiadomość. Pomyślałam, że możemy potrzebować jego rady. Przykro mi odrywać go od pracy nad doktoratem, ale...

- Kogo obchodzi jego doktorat? Jesteś wspaniała! - krzyknęła Bonnie z wdzięcznością. - Dobrze zrobiłaś.

Łóżko było ogromne. Pani Forbes leżała na ukos jak lalka upuszczona na podłogę. Bonnie wciąż nie chciała podejść do łóżka.

- Caroline mnie złapie.

- Nie złapie cię. Chodź Bonnie. Połóż tu nogi pani Forbes...

- Jeżeli podejde, złapie mnie!

- Dlaczego miałyby to zrobić?

- Bo wie, co mnie przeraża! A teraz to już na pewno to zrobi.

- Jeśli cię złapie, kopnę ją w twarz.

- Nie dosięgniesz. Uderzyłabyś o ramę łóżka...

- O Boże! Bonnie! Pomóż miiii! - Ostatnie słowo przerodziło się w rozpaczliwy krzyk.

- Meredith... - zaczęła Bonnie, ale zaraz sama zaczęła krzyczeć.

- Co się stało?

- Złapała mnie!

- Niemożliwe! Mnie też złapała. Nikt nie ma tak długich rąk!

- Ani tak silnych! Bonnie! Nie mogę się wyrwać.

- Ja też nie!

Obie krzyczały przeraźliwie.

Po odstawieniu Tami na policję jazda z Eleną wokół lasu znanego jako Park Stanowy była czystą przyjemnością. Zatrzymywali się co jakiś czas, Elena wysiadła z samochodu, podchodziła do drzew i wzywała Damona. Bez skutku; była coraz bardziej zniechęcona.

- Nie wiem, czy Bonnie nie poradziłaby sobie lepiej. Może przyjdziemy tu razem wieczorem.

Matt się wzdrygnął.

- Dwie noce w lesie wystarczy.

- Nie opowiedziałeś mi, co się wydarzyło za pierwszym razem, gdy Bonnie o mało nie umarła?

- Cóż, jechałem po drugiej stronie Starego Lasu, niedaleko tego dębu rozłupanego przez piorun, pamiętasz?

- Tak.

- I nagle coś pojawiło się na drodze.

- Lis?

- No, to było czerwone, ale nie przypominało lisa ani niczego innego, co widziałem w tej okolicy. A jeżdżę tamtą drogą, odkąd mam prawo jazdy.

- Wilk?

- Masz na myśli wilkołaka? Nie, wilki są większe. To było coś pomiędzy jednym a drugim.

- Limitowana edycja, co? - Elena zmrużyła oczy.

- Może. W każdym razie nie był to malak taki jak ten, który załatwił mi ramię.

Elena skinęła głową. Malaki mogły przyjmować rozmaite kształty. Ale jedna rzecz je łączyła: używały mocy i potrzebowały jej, by przetrwać, więc ktoś obdarzony silniejszą mocą mógł nimi manipulować.

I były jadowite.

- Czyli wszystko, co wiemy, to to, że nic nie wiemy.
- Właśnie. To coś po prostu nagle pojawiło się na środku... O

rany!

- Jedź! Jedź tam!
- Właśnie takie! To właśnie to!

Jaguar skręcił gwałtownie w prawo i zatrzymał się, nie w rowie, ale na początku leśnej ścieżki, tak ukrytej między drzewami, że nie dało się jej dostrzec, jeżeli nie patrzyło się wprost na nią.

Oboje wpatrywali się w ścieżkę, ciężko oddychając. Właśnie widzieli przebiegające przez drogę czerwone stworzenie, trochę większe od lisa, ale mniejsze od wilka.

- Pytanie za milion: wjeżdżamy? - rzucił Matt.
- Nie ma zakazu wjazdu. Ani żadnych domów po tej stronie lasu. Kawalek dalej jest dopiero dom Dunstanów.
- wjeżdżamy?
- Tak. Tylko powoli. Robi się już późno.

Meredith, oczywiście, uspokoiła się pierwsza.

- Już dobrze, Bonnie. Przestań! Krzyk nic nie pomoże. Bonnie nie sądziła, że może przestać. Ale dobrze znała spojrzenie Meredith.

Wzięła się w garść i przestała krzyczeć, wciąż jednak cała drżała.

- Bonnie, spróbuję się oswobodzić. Jeżeli cokolwiek mi się stanie lub Caroline wciągnie mnie pod łóżko, natychmiast uciekaj. A jeżeli nie będziesz mogła uciec, wezwij Elenę i Matta; i nie przestawaj, dopóki nie przyjdą ci z pomocą.

Wizja szarpiącej się Meredith, która znika, a Bonnie zostaje sama z tym czymś tak bardzo złym, podziałała na dziewczynę mobilizująco. Intensywnie myślała, co mogłaby zrobić. Nie może

zadzwoić do Eleny i Matta, bo telefon jak zwykle ma w torebce, a torebkę zostawiła na dole, podobnie jak Meredith. Więć wezwij, nie oznacza „zadzwoń”, tylko użyj swoich zdolności paranormalnych.

Dużo łatwiej byłoby zadzwoić. Jaka szkoda, że nie noszę telefonu w kieszeni jak faceci, pomyślała z żalem. Dziewczyny wszystkie drobiazgi łącznie z komórką noszą w torebkach. Nawet Meredith. W fantastycznych markowych torebkach przyjaciółka miała przydatne drobiazgi, jak notes, długopis, latarka, chusteczki higieniczne, no i telefon.

Meredith usiłowała wyrwać się Caroline, która w tej samej chwili mocniej chwyciła nogę Bonnie. Dziewczyna odruchowo spojrzała w dół. Opalona dłoń Caroline kontrastowała z jasnokremowym dywanem.

Bonnie ogarnęło przerażenie, wpadła w trans bez koniecznego zwykle rytuału.

Damon! Damon! Jesteśmy uwięzione w domu Caroline! Ona oszalała! Pomocy!

Słowa wybuchły w jej głowie jak gejzer.

Damon, Caroline trzyma mnie za kostkę. Jeżeli wciągnie Meredith pod łóżko, to oszaleję ze strachu! Pomocy!

Trans był głęboki, słowa Meredith słyszała jakby z bardzo daleka.

- Bonnie, to nie są palce, wokół mojej łydki oplatają się pnącza! To muszą być te macki, o których mówił Matt. Spróbuję je rozerwać...

Stało się coś niewyobrażalnego, pnącza walczyły zaciekle z Meredith, wprawiając łóżko w drgania, nieprzytomna pani Forbes o mało nie stoczyła się na podłogę.

Tam muszą być dziesiątki tych stworów.

Damon, to one! Jest ich mnóstwo! O Boże, zaraz zemdleję. A jeżeli zemdleję... jeżeli Caroline wciągnie mnie pod łóżko... Błagam, pomóż!

- Cholera! - wołała Meredith. - Nie wiem, jak Mattowi udało się wyswobodzić z tych macek, ja nie dam rady.

Już po nas, pomyślała Bonnie, osuwając się na kolana. Umrzemy.

- Niewątpliwie. To cały problem z ludźmi. Ale jeszcze nie teraz - powiedział jakiś głos za jej plecami. Silne ramię objęło ją i podniosło bez trudu. - Caroline, koniec zabawy. Puszczaj! Natychmiast!

- Damon? - wykrztusiła Bonnie. - Damon? To ty!

- Wasze jęki działają mi na nerwy. To nie znaczy...

Ale Bonnie go nie słuchała. Nie myślała. Jeszcze nie wybudziła się zupełnie z transu i nie była świadoma tego, co robi (tak uznała później). Nie była sobą. To ktoś inny odwrócił się, zarzucił Damonowi ręce na szyję i pocałował go w usta.

To również ktoś inny zauważył, że Damon był zaskoczony, ale nie próbował się odsunąć. Ten ktoś dostrzegł również, że kiedy Bonnie przestała całować, blade policzki Damona lekko się zarumieniły.

Meredith udało się trochę odsunąć od łóżka, nie zauważyła, co zaszło między Bonnie i Damonem.

- Damon - powtórzyła cicho - dziękuję. Czy... czy mógłbyś zmusić malaka do puszczenia również mojej nogi?

Jeżeli Damon przed chwilą naprawdę się zarumienił i był poruszony, szybko się opanował. Znowu był tym Damonem, którego znały. Uśmiechnął się szeroko do czegoś lub kogoś, kogo nikt poza nim nie widział.

- A reszta niech znika natychmiast - rzucił i pstryknął palcami.

Łóżko natychmiast przestało się ruszać. Meredith zrobiła krok do tyłu i zamknęła oczy z westchnieniem ulgi.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedziała naprawdę serdecznie. - A teraz czy mógłbyś zrobić coś z Caro...

- Teraz - Damon przerwał jej stanowczo - muszę lecieć. - Spojrzała na zegarek. - Minęła już czwarta czterdzieści cztery, aja mam spotkanie, na które już jestem spóźniony. Zajmij się Bonnie, nie sądzę, żeby mogła sama ustać na nogach.

- Damon, zaczekaj - zawołała Meredith. - Elena musi z tobą porozmawiać. Konieczne.

Ale Damona, mistrza efektywnych zniknięć, już nie było. Nie poczekał nawet na podziękowania Bonnie. Meredith wyglądała

na zaskoczoną, była pewna, że wzmianka o Elenie go zatrzyma. Bonnie myślała jednak o czym innym.

- Meredith - wyszeptła - pocałowałam go.

- Co? Kiedy?

- Gdy szamotałaś się z malakami. Sama nie wiem, jak to się stało, ale zrobiłam to.

Spodziewała się wyrzutów, ale Meredith spojrzała na nią z uśmiechem.

- Cóż, może to nie było takie głupie. Inna sprawa, że nie rozumiem, jakim cudem Damon się pojawił.

- Hm. To też moja sprawa. Wezwałam go. Też nie wiem jak...

- Nieważne, pomógł nam, a to chodziło. - Meredith odwróciła się do łóżka. - Caroline, wyjdiesz stamtąd? Porozmawiasz z nami?

Usłyszały gadzi syk i odgłos macek uderzających o ramę łóżka. I jeszcze jakiś dźwięk, którego Bonnie nigdy wcześniej nie słyszała, ale który wzbudził w niej lęk. Przypominał szczęk wielkich szczypiec.

- To chyba była odpowiedź - stwierdziła Bonnie i chwyciła Meredith za rękę.

Gdy wychodziły z pokoju, Caroline zaczęła nucić wysokim, dziecięcym głosem.

Bonnie i Damon siedzą na drzewie, całują i obejmują siebie. Najpierw miłość, potem ślub i wesele, będzie w domu wampirzątek wiele.

Meredith zatrzymała się w drzwiach.

- Caroline, daruj sobie. Wyjdz...

Łóżko znów zaczęło podskakiwać. Bonnie odwróciła się i zaczęła biec. Meredith zrobiła to samo. Na dole chwyciły swoje torebki i wybiegły z domu. Zdażyły jeszcze usłyszeć krzyk Caroline.

- Nie jesteście moim przyjaciółkami! Jesteście przyjaciółkami tej dziwki! Poczekajcie tylko! Poczekajcie!

- Która godzina? - zapytała Bonnie, gdy siedziały już w samochodzie.
- Prawie piąta.
- Wydawało mi się, że jest dużo później.
- Do zmroku mamy jeszcze sporo czasu. O, dostałam esemes od Eleny.
- O Tami?
- Zaraz ci powiem, ale najpierw... - Meredith wyglądała na zakłopotaną, a zdarzało jej się to niezwykle rzadko. - Jak było? - wypaliła w końcu.
- Co jak było?
- Jak to jest całować się z Damonem, głuptasie!

ROZDZIAŁ 3

- Och. - Bonnie zapadła się w fotel. - To było jak... jak fajerwerki!
- Nabijasz się ze mnie.
 - Nie nabijam. Z przyjemnością wspominam. Poza tym...
 - Poza tym, gdybyś go nie wezwała, zostałybyśmy w tej koszarnej pułapce. Dziękuję, Bonnie. Uratowałaś nas.
 - Może Elena miała rację, kiedy mówiła, że Damon nie czuje nienawiści do wszystkich ludzi - zastanawiała się Bonnie. - Ale, wiesz co, teraz sobie to uświadomiłam: nie dostrzegłam jego aury. Widziałam tylko czerń, nieprzeniknioną czerń, otaczającą go jak skorupa.
 - Może tak się chroni. Otacza się skorupą, żeby nikt nie domyślił się, jaki jest naprawdę.
 - Może. A co to za wiadomość od Eleny?
 - Pisze, że Tami Bryce zachowuje się bardzo dziwnie i że jada z Mattem rozejrzeć się po Starym Lesie.
 - Może spotkają Damona. O czwartej czterdzieści cztery. Szkoda, że nie możemy do Eleny zadzwonić.

- Spróbuj, chociaż pewnie się nie uda - powiedziała ponuro Meredith. Każdy w FelPs Church wiedział, że w Starym Lesie, podobnie jak na cmentarzu, nie ma zasięgu.

Bonnie spróbowała, bez skutku. Pokręciła głową.

- Nic z tego. Muszą już być w lesie.

- Trudno. Elena chce, żebyśmy sprawdziły, jak się miewa Isobel Saitou. Wiesz, to dziewczyna Jima Bryce'a. A właśnie: czy widziałas aurę Caroline? Czy myślisz, że ma... malaka?

- Tak sędzę. Widziałam jej aurę i nie chciałabym nigdy więcej oglądać czegoś takiego. Dawniej miała głęboki brązowo-zielony kolor, ale teraz zrobiła się błotnista z czarnymi zygzakami. Nie wiem, czy to znaczy, że opanował ją malak, ale wyraźnie leżenie pod łóżkiem w towarzystwie mnóstwa malaków jej nie przeszkadzało. - Bonnie się wzdrygnęła.

- W porządku. Wiem, co powiedziałabym, gdybym miała zgadywać. Ale jeżeli ma ci się zrobić słabo, to mogę się po-
wstrzymać.

Bonnie głośno przełknęła ślinę.

- Będzie dobrze. Naprawdę jedziemy do Isobel Saitou?

- Już prawie jesteśmy na miejscu. Poprawmy włosy, odetchnijmy głęboko kilka razy i załatwmy tę sprawę. Dobrze znasz Isobel?

- Jest bystra. Nie miałyśmy razem zajęć, ale w tym samym czasie miałyśmy w planie wu-ef, na który obie nie chodziłyśmy. Ona ma coś z sercem, a ja dostaję ataków astmy...

- Od każdego wysiłku, z wyjątkiem tańcem, bo tańczyć możesz całą noc. Ja jej w ogóle nie znam. Jaka ona jest?

- Całkiem miła. Jest Azjatką. Jest trochę niższa od ciebie, raczej wzrostu Eleny ale chudsza od niej. Raczej ładna. Trochę nieśmiała, taka cicha myszka, wiesz. Chyba trudno ją dobrze poznać.

- Cicha, nieśmiała i miła. Jak dla mnie brzmi dobrze.

- Dla mnie też. - Bonnie wcisnęła dłonie między kolana. Jeszcze lepiej brzmiałoby, gdyby jej nie zastały.

Przed domem Saitou stało jednak kilka samochodów. Bonnie i Meredith z wahaniem zapukały do drzwi, pamiętając, co zdarzyło się poprzednim razem.

Otworzył im Jim, wysoki, chudy i trochę przygarbiony chłopak. Bonnie zaskoczyła zmiana w jego twarzy, gdy rozpoznał Meredith.

W pierwszej chwili wyglądał żałośnie. Był blady, wymęczony. Ożywił się na widok Meredith.

Ona się nie odezwała. Podeszła tylko do Jima i objęła go. Odwzajemnił uścisk, przytulił ją kurczowo, jakby bał się, że dziewczyna zaraz ucieknie, i zanurzył twarz w jej ciemnych włosach.

- Meredith.

- Oddychaj, Jim. Oddychaj głęboko.

- Nawet nie wiesz, co przeżyłem. Rodzice wyjechali, bo pradziadek jest bardzo chory, chyba umiera. I wtedy Tami... Tami...

- Opowiedz mi wszystko, spokojnie. I oddychaj.

- Rzucała nożami. Trafiała mnie w nogę. - Wskazał niewielką dziurę w nogawce, tuż nad kolaniem.

- Szczepiłeś się ostatnio na tężec? - Meredith nie pozwalała sobie na rozklejanie się.

- Nie, ale to mała ranka.

- Takie są najbardziej niebezpieczne. Powinieneś natychmiast zadzwonić do doktor Alpert. - Doktor Alpert była instytucją w Fell's Church. Przyjeżdżała nawet na domowe wizyty, jeśli ktoś potrzebował jej pomocy.

- Nie mogę. Nie mogę zostawić... - Jim skinął głową w stronę wnętrza domu, jakby nie mógł sobie przypomnieć czyjegoś imienia.

Bonnie złapała Meredith za rękaw.

- Mam bardzo złe przeczucia.

- Jim, masz na myśli Isobel? Gdzie są jej rodzice? - spytała Meredith.

- Isa-chan, to znaczy Isobel, mówię na nią Isa-chan, wiesz...

- W porządku. Nie przeszkadza mi to. Mów dalej.

- No więc, Isa-chan ma tylko babcię, a babcia rzadko wychodzi z pokoju. Zaniósłem jej niedawno obiad i uznała mnie za ojca Isobel. Trochę jej się pomieszało w głowie.

- A Isobel? Czyjej też się pomieszało?

- Powinnaś z nią porozmawiać - zasugerował Jim. Bonnie miała coraz gorsze przeczucia. Obawiała się, że czeka je koszmar jak u Caroline.

Meredith też się tego spodziewała. Ucisnęła rękę Bonnie, starając się dodać jej otuchy.

- Czy ona robi komuś krzywdę? Isobel? - zapytała Bonnie, kiedy przechodzili przez kuchnię, kierując się do sypialni na końcu korytarza.

Z trudem dosłyszała odpowiedź Jima.

- Tak - wyszeptał. Po chwili dodał: - Sobie.

Pokój Isobel wyglądał dokładnie tak, jak można się było spodziewać po nieśmiałej dziewczynie i pilnej uczennicy. A przynajmniej połowa pokoju. Druga wyglądała, jakby wielka fala uniosła wszystkie znajdujące się tu przedmioty, a potem z ogromną siłą rzuciła je na podłogę. Isobel siedziała pośrodku tego bałaganu jak pająk na pajęczynie.

Ale to nie widok pokoju sprawił, że żołądek podszedł Bonnie do gardła. Chodziło o to, co Isobel robiła.

Zadawała sobie rany.

Przekłuła już wargę, nos, jedną brew i uszy - wielokrotnie. Z ran ciekła krew, kapiąc na pościel. Bonnie zauważyła, że dziewczyna przygląda się krwi, marszcząc jedną brew. Druga była nieruchoma.

Jej aura miała kolor brudno pomarańczowy, z czarnymi zygzakami.

To było za dużo dla Bonnie. Rzuciła się do kosza na śmieci. Na szczęście był wyłożony plastikowym workiem. Na szczęście nie jadła obiadu.

- Czy ty oszalałaś? Isobel, co ty sobie zrobiłaś? Nie wiesz, jakich zakażeń możesz dostać w ten sposób... możesz przebić sobie żyły... mięśnie...? Nie krwawiłabyś tak, gdybyś nie trafiła w jakieś żyły! - Meredith usiłowała powstrzymać Isobel.

Bonnie zwymiotowała raz jeszcze. A

potem usłyszała jakiś głuchy odgłos.

Podniosła głowę. Meredith zgięła się w pół. Musiała dostać cios w brzuch.

W następnej sekundzie Bonnie była przy niej.

- O Boże, czy ona cię dźgnęła? Rana brzucha... Meredith nie mogła złapać tchu. Bonnie usiłowała przypomnieć sobie, co mówiła siostra Mary, szkolna pielęgniarka.

Uderzyła przyjaciółkę obiema pięściami w plecy. Meredith wyprostowała się i łapczywie zaczerpnęła powietrza.

-Dzięki - powiedziała słabo, ale Bonnie już wyciągała ją z pokoju, jak najdalej od śmiejącej się Isobel i jej kolekcji narzędzi do samookaleczenia.

W drzwiach wpadły na Jima, który przybiegł z mokrym ręcznikiem. Dla mnie, pomyślała Bonnie. A może dla Isobel. Jedyne, co ją teraz interesowało, to obejrzeć brzuch Meredith.

- Odebrałam jej to... zanim mnie uderzyła - wykrztusiła Meredith. - Będę miała sińca, to wszystko.

- Ciebie też uderzyła? - Jim był wstrząśnięty. Mówił szeptem.

Biedny chłopak, pomyślała Bonnie. Caroline, Tami, twoja siostra, a ty nie masz zielonego pojęcia, co się dzieje. Skąd miałbyś wiedzieć?

A gdybyśmy ci powiedziały, uznałbyś nas za wariatki.

- Jimmy, musisz zadzwonić do doktor Alpert. Natychmiast. Isobel trzeba zabrać do szpitala w Ridgmont. Trwale się okaleczyła. Bóg jeden wie, jak mocno. W rany może wdać się zakażenie. Kiedy zaczęła sobie robić krzywdę?

- No... zaczęła się tak zachowywać po wizycie Caroline.

- Caroline! - zawołała Bonnie. - Czołgała się? Jim spojrział na nią zdumiony.

- Słucham?

- Nieważne - powiedziała Meredith. - Jimmy, nie musisz nam nic mówić, jeżeli nie chcesz. Ale wiemy, że Caroline była u ciebie w domu.

- Czy wszyscy o tym wiedzą? - jęknął Jim wyraźnie zmartwiony.

- Nie. Tylko Matt. Powiedział nam dlatego, żebyśmy sprawdziły, jak się miewa twoja siostra.

Na twarzy Jima odmalowały się poczucie winy i zakłopotanie. W końcu zaczął mówić. Słowa wylały się z niego jak szampan z mocno wstrząśniętej butelki.

- Ja już nie wiem, co się dzieje. Wszystko, co mogę wam powiedzieć, to to, co się stało. To było kilka dni temu, późnym wieczorem. Odwiedziła mnie Caroline... Wiecie, nigdy mnie szczególnie nie interesowała. To znaczy wiadomo, jest bardzo ładna... Rodziców nie było w domu, ale nigdy nie sądziłem, że zrobię coś takiego...

- To już nieważne. Powiedz nam tylko o Caroline i Isobel.

- No więc Caroline przyszła ubrana w coś, co było zupełnie przezroczyste. No i zapytała, czy chcę zatańczyć. Więc zatańczyliśmy i... no, uwiodła mnie. Taka jest prawda. A rano wyszła, właśnie wtedy, kiedy przyszedł Matt. To było przed-wczoraj. A potem zauważyłem, że Tami zachowuje się jak opętana. Nic jej nie mogło powstrzymać. Potem zadzwoniła Isa-chan. Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby tak histeryzowała. Caroline musiała pójść ode mnie prosto do niej. Isa-chan powiedziała, że chce się zabić. Więc przybiegłem tutaj. I tak musiałem uciec od Tami, bo moja obecność wydawała się tylko pogarszać jej stan.

Bonnie wiedziała, że Meredith myśli to samo co ona: w tym czasie i Tami, i Caroline dobierały się do Matta.

- Caroline musiała jej powiedzieć, co zrobiliśmy - wydusił Jim po dłuższej przerwie. Isa-chan i ja nigdy nie... czekaliśmy, rozumiecie. Powiedziała, że będę żałował. „Tylko poczekaj, będziesz żałował”, powtarzała to w kółko. Boże, żebyście wiedziały, jak bardzo żałuję.

- Co się stało, to się nie odstanie. Zadzwoń po lekarza. Natychmiast, Jimmy. - Meredith popchnęła go lekko. - A potem musisz zadzwonić do swoich rodziców. Nie patrz tak na mnie. Jesteś pełnoletni. Nie wiem, co ci grozi za zostawienie Tami samej w domu.

- Ale...

- Żadnych ale.

Bonnie wiedziała, co teraz zrobi Meredith, ale i tak przeszył ją lęk, gdy przyjaciółka podeszła do Isobel. Dziewczyna siedziała ze spuszczoną głową i skubała się w pępek. W drugiej ręce trzymała długi gwóźdź.

Zanim Meredith zdążyła się odezwać, Isobel zwróciła się do niej.

- Więc ty też. Słyszałam, jak do niego mówisz. Jimmy. Wszystkie chcecie mi go odebrać. Dziwki. Chcecie mnie tylko skrzywdzić. Yurusenai! Zettai yurusenai!

- Isobel! Przestań! Czy nie widzisz, że sama się krzywdzisz?

- Tylko po to, żeby usunąć ból. To wy naprawdę jesteście temu winne, wiesz o tym. Kłujecie mnie od środka.

Bonnie wzdrygnęła się, ale nie tylko dlatego, że Isobel właśnie ukuła się w pępek. Oblała ją fala gorąca, a serce zaczęło walić jeszcze szybciej niż dotąd.

Próbując nie spuszczać wzroku z Meredith, wyciągnęła z tylnej kieszeni spodni telefon, który wcisnęła tam po wizycie u Caroline.

Wciąż obserwując Meredith, połączyła się z Internetem i szybko wpisała dwa słowa do wyszukiwarki. Wybrała kilka pierwszych wyników i uświadomiła sobie, że nie da rady przyswoić tyle informacji w tydzień, a co dopiero w kilka minut. Ale przynajmniej był to już jakiś początek.

Meredith tymczasem wycofywała się. Stała obok Bonnie i nachyliła się do jej ucha.

- Chyba tylko ją prowokujemy - szepnęła. - Przyjrzałaś się jej aurze?

Bonnie skinęła głową.

- Więc chyba powinnyśmy wyjść. Bonnie znów skinęła. - Próbujesz dzwonić do Matta i Eleny?

Bonnie podsunęła Meredith telefon. Dziewczyna spojrzała na ekran i szeroko otworzyła oczy, gdy przeczytała, jakie słowa wpisała Bonnie w wyszukiwarkę. „Salem, wiedźmy”.

ROZDZIAŁ 4

To przerażające, ale ma sens - powiedziała Meredith. Czekają na doktor Alpert w salonie w domu Isobel. Meredith siedziała przy pięknym biurku z czarnego drewna, zdobionym pozłacanymi elementami. Korzystała ze stojącego na nim komputera.

- Dziewczyny w Salem twierdziły, że ludzie je krzywdzą. Wiedźmy, oczywiście. Mówiły, że kłują je szpilkami.

- Jak Isobel.

- Miewały ataki, podczas których zachowywały się jak opętane i wyginały ciała w sposób niemożliwy dla człowieka.

- Caroline wyglądała jak opętana, wtedy u Stefano. I jeżeli pełzanie jak jaszczurka nie jest wyginaniem ciała w niemożliwy sposób, to nie wiem, co jest. Zaraz, spróbuję. - Bonnie położyła się na podłodze i próbowała wykręcić łokcie i kolana tak, jak robiła to Caroline. Nie była w stanie.

- Widzisz?

- Boże! - zawołał przerażony Jim, który wychodził właśnie z kuchni z tacą z jedzeniem. Dziewczyny poczuły ostry zapach zupy miso. Bonnie nie była pewna, czy to, co odezwało się w jej żołądku, to był głód, czy coś całkiem przeciwnego.

- Wszystko w porządku - wyjaśniła pospiesznie, wstając. - Chciałam tylko coś wypróbować.

Meredith także wstała.

- Czy to dla Isobel?

- Nie, to dla Obaasan, to znaczy, dla babci Isa-chan, pani Saitou. Próbowałam przekonać Isa-chan do jedzenia, ale ona rzuca tacą o ścianę. Mówi, że nie może jeść, że ktoś ją dusi.

Meredith i Bonnie wymienili spojrzenia.

- Pozwól, że ja to zaniosę. Powinieneś trochę odpocząć. Gdzie jest pokój pani Saitou?

- Na górze, drugie drzwi po lewej. Jeżeli powie coś dziwnego, po prostu to zignoruj.

- W porządku. Zostań z Bonnie.

-O nie! Idę z tobą - zawołała Bonnie. Nie była pewna, czy ze strachu o Meredith, czy o siebie, ale nie zamierzała się z nią rozstawać.

Gdy weszły na górę, Meredith łokciem nacisnęła kontakt. Znalazły właściwe drzwi, a za nimi zasuszoną staruszkę. Leżała na macie na środku pokoju. Podniosła się na ich widok. Uśmiechnęła się radośnie jak szczęśliwe dziecko.

- Megumi-chan, Beniko-chan, przyszłyście mnie odwiedzić! - wykrzyknęła, kłaniając się na siedząco.

- Tak - przytaknęła ostrożnie Meredith. Postawiła tacę przed staruszką. - Przyszłyśmy panią odwiedzić, pani Saitou.

- Nie bądź taka oficjalna! To ja, Inari-chan. Czy może się na mnie gniewasz?

- Myślałam, że „chan” to chińskie imię. Czy Isobel nie jest Japonką? - szepnęła Bonnie.

Starsza pani miała jeszcze dobry słuch, wybuchnęła śmiechem, przykrywając usta obiema dłońmi.

- Och, przestańcie się ze mną drażnić.

Itadakimasu! Podniosła miseczkę z zupą i zaczęła pić.

- „Chan” chyba dodaje się na końcu imienia, kiedy się z kimś przyjaźnisz. Tak jak Jimmy mówi „Isa-chan” - powiedziała głośno Meredith. - A Itadakimasu to chyba „smacznego”. Więcej nie wiem.

Bonnie zauważyła, że „przyjaciółki”, które wspomniała pani Saitou, miały imiona zaczynające się od liter „M” i „B”.

Próbowała się zorientować, jak jest usytuowany ten pokój w stosunku do pomieszczeń na dole, a zwłaszcza pokoju Isobel.

Jest dokładnie nad nim.

Staruszka przerwała jedzenie i uważnie przyglądała się swoim gościom.

- Nie, nie jesteście Beniko-chan i Megumi-chan. Wiem o tym. Ale czasem mnie odwiedzają, podobnie jak mój drogi Nobuhiro. Odwiedzają mnie też inne istoty, nieprzyjemne istoty, ale wychowano mnie na kapłankę, potrafię sobie z nimi poradzić. Ten dom jest opętany, wiecie. Kore ni wa kit-sunega karande isou da me.

- Przepraszam, co pani powiedziała? - zapytała uprzejmie Meredith.

- Powiedziałałam, że zamieszany w to jest kitsune.

- Ki-cu-ne? - powtórzyła Meredith, wciąż nie rozumiejąc.

- Lis, głuptasku. - Starsza pani się roześmiała. - Potrafią się przemienić w co tylko chcą, nie wiesz? Nawet w ludzi. Któryś mógłby zamienić się w ciebie i twoja przyjaciółka nawet by się nie zorientowała.

- Coś jakby lisołaki, tak?

Staruszka zignorowała to pytanie. Zaczęła kiwać się w przód i w tył, wbijając wzrok w ścianę za plecami Bonnie.

- Grywałyśmy w taką grę - powiedziała po chwili. - Ustawiałyśmy się w kółko, a jedna stawała w środku, z zawiązanymi oczami. I śpiewałyśmy. Ushiro no shounen daare? Kto stoi za tobą? Nauczyłam tej piosenki moje dzieci, ale wymyśliłam też jedną po angielsku, podobną do niej.

Zaczęła śpiewać głosem kogoś bardzo starego albo bardzo młodego, wpatrując się cały czas w Bonnie.

Lis i żółw ścigali się

Kto to biegnie za tobą?

Pierwszy na mecie drugiego zje

Kto to blisko za tobą?

Zupa z żółwia gotuje się!

Kto to zaraz za tobą?

Bonnie poczuła gorący oddech na karku. Odwróciła się gwałtownie. I zaczęła krzyczeć.

Stała za nią Isobel. Udało jej się jakoś prześlizgnąć na górę. Wyglądała jak szalona bogini kolczyków. Krople krwi opadły na podłogę. Ubrana była tylko w bardzo skąpe figi. W całe ciało miała powbijane ćwieki i szpilki. Przekuła sobie każde miejsce, o którym Bonnie słyszała, że można przekłuć. I jeszcze kilka innych. Ranki krwawiły.

Isobel miała gorący, zatęchły oddech.

Obliznęła usta. Nie miała kolczyka w języku. Było znacznie gorzej. W jakiś sposób udało jej się przeciąć język wzdłuż, tak że rozwidłał się jak u węża.

Dotknęła nim czoła Bonnie.

Bonnie zemdlęła.

Matt jechał powoli ledwie widoczną drogą. Wjechali na wzniesienie, a potem nagle zobaczyli małą polanę.

- Trzymaj się z dala od czarodziejskich polan i starych dębów... - powiedziała cicho Elena, jakby coś cytowała.

- O czym ty mówisz?

- Zatrzymaj samochód.

Kiedy się zatrzymali, Elena wysiadła i stanęła na środku polanki.

- Nie sądzisz, że ma w sobie coś magicznego?

- Nie wiem. Gdzie się podziało to czerwone coś?

- Musi gdzieś tu być. Widziałam je!

- Ja też. A widziałas, że było większe od lisa?

- Tak, ale mniejsze od wilka. Matt odetchnął z ulgą.

- Bonnie mnie nie uwierzy, tobie tak. Zauważyłaś, jakie było szybkie?

- Żadne zwierzę nie może być tak szybkie.

- Masz na myśli, że tylko nam się przywidziało.

- Mam na myśli, że to nie jest zwykłe zwierzę. Jak ma-lak. To jest coś, co nie podlega prawom tego świata.

Długo szukali, ale nie znaleźli dziwnej czerwonej istoty.

Usiedli. Słońce zachodziło. Polanka była piękna, ale nie mieli tam po co zostawać.

Matt właśnie odwrócił się, by powiedzieć to Elenie, kiedy zobaczył, że dziewczyna podrywa się gwałtownie.

- Co...? - Spojrzał w stronę, w którą patrzyła, i przerwał. Żółte ferrari blokowało drogę, którą przyjechali. Wjeżdżając na polanę, nie mijali żadnego samochodu.

Droga była zresztą za wąska. A jednak auto stało tam. Za nimi trzasnęły gałęzie.

Odwrócili się.

- Damon!

- A kogo się spodziewaliście? - Oczy Damona przykrywały ciemne okulary.

- Nikogo - powiedział gniewnie Matt. - Dopiero co tu wjechaliśmy. - Ostatni raz widział Damona, gdy ten został wyproszony z pokoju Stefano. Wtedy miał wielką ochotę mu przyłożyć. Elena wiedziała, że chętnie zrobiłby to także teraz.

Ale Damon wyglądał dzisiaj zupełnie inaczej. Kipiał gniewem.

- Och, rozumiem - odparował Damon. - To twój prywatny teren, obcym wstęp wzbroniony. - Coś w jego tonie zaniepokoiło Elenę.

- Nie! - warknął Matt. Elena uświadomiła sobie, że będzie musiała uważać, by nie doszło do awantury. Prowokowanie Damona nie wydawało się w tej chwili dobrym pomysłem. - O czym ty mówisz? Elena jest Stefano.

- Jestem ze Stefano - poprawiła go Elena.

- Oczywiście - syknął Damon. - Jesteście jednym ciałem, jednym sercem, jedną duszą. - Gdyby jego oczu nie skrywały okulary, z pewnością widziałyby w nich żądę mordy.

Nagle zmienił ton. Jego głos nie wyrażał teraz żadnych emocji.

- Więc co tu robicie? - Przyglądał się Mattowi jak drapieżnik zwierzyźnie.

- Zobaczyliśmy jakieś czerwone zwierzę - wyjaśnił Matt. - Takie jak to, które widziałem, gdy miałem wypadek.

Elena dostała gęsiej skórki. Z jakiegoś powodu nie chciała, żeby Matt powiedział o tym Damonowi, ale nie zdążyła go powstrzymać. Ogarnął ją strach.

Koncentrując się maksymalnie, wyczuła obecność czegoś złego. Zauważyła też, że w lesie zrobiło się cicho, ptaki i zwierzęta zamarły przestraszone.

Spojrzała na Damona, ale miał nieprzeniknioną twarz.

Stefano... pomyślała bezradnie.

Jak mógł ją zostawić z tym wszystkim? Bez ostrzeżenia, bez żadnej wskazówki, gdzie jest, możliwości skontaktowania się z nim. Może uważał, że powinien tak postąpić, może tak bardzo bał się, że przemieni ją w to, czym sam był i czym pogardzał. Ale zostawić ją tak z wściekłym Damonem, pozbawioną dawnej mocy...

To twoja wina, powiedziała sobie w duchu, przestań się użalać nad sobą. To ty przypominałaś im, że są braćmi. To ty przekonałaś Stefano, że Damonowi można ufać. Teraz musisz ponieść konsekwencje.

- Damon - powiedziała. - Szukałam cię. Chciałam cię zapytać o Stefano. Wiesz, że odszedł.

- Oczywiście. Jak sądzę, zrobił to dla twojego dobra. Kazał mi się tobą zająć.

- Więc widziałeś się z nim przedwczoraj?

- Oczywiście.

I oczywiście nie próbowałeś go zatrzymać. Sprawy nie mogły się ułożyć lepiej dla ciebie. Nigdy bardziej nie żałowała mocy, które posiadała jako duch, niż w tej chwili. Nawet nie wtedy, gdy zrozumiała, że Stefano naprawdę odszedł i jest poza jej ludzkim, arcyłudzkim zasięgiem.

- Ja w każdym razie nie zamierzam mu pozwolić tak po prostu odejść. Dla mojego dobra ani z żadnego innego powodu. Zamierzam go odnaleźć. Ale najpierw muszę wiedzieć, dokąd właściwie się udał.

- Pytasz mnie?

- Tak. Proszę. Damonie. Potrzebuję Stefano. Ja... - Wiedziała, że za chwilę się rozplacze, a nie chciała, żeby Damon wiedział, w jak kiepskiej jest formie.

Tymczasem Matt nachylił się do niej.

- Elena, przestań - wyszeptał. - Tylko go rozwścieczysz. Spójrz na niebo.

Elena też zauważyła, że coś się dzieje. Drzewa wydawały się pochylać nad nimi, były ciemniejsze niż wcześniej, groźne. Spojrzała w górę. Tuż nad nimi zbierały się czarne, piętzące się chmury, wyraźnie zapowiadając burzę, która miała rozpętać się tuż nad nimi.

Na ziemi zaczęły tworzyć się małe wiry powietrza, unosząc liście i sosnowe igły. Elena nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego. Polana wypełniła się słodkim, ciężkim zapachem, przywodzącym na myśl egzotyczne olejki i długie zimowe noce.

Wiry były coraz większe, a zapach intensywniejszy, otaczając ją, przenikając przez ubranie, wnikając w skórę. Spojrzała na Damona. Uświadomiła sobie, że przekroczyła jakąś granicę.

Nie potrafię ochronić Matta.

Stefano kazał mi zaufać Damonowi. Stefano zna go lepiej niż ja, pomyślała rozpaczliwie. Ale oboje wiemy, czego Damon chce tak naprawdę. Czego zawsze chciał. Mnie. Mojej krwi.

- Damon - zaczęła łagodnie. I przerwała. Nie patrząc na nią, Damon wyciągnął rękę, prosząc, by umilkła na chwilę.

Poczekaj.

- Muszę coś zrobić - szepnął. Schylił się ze zwinnością pantery i podniósł małą sosnową gałąź. Machnął nią, wając w dłoni, jakby chciał oszacować jej ciężar.

Elena patrzyła na Matta, próbując przekazać mu spojrzeniem, co czuje, przede wszystkim to, że żałuje. Żałowała, że wciągnęła go w to wszystko, że kiedyś jej na nim zależało, że związała go z grupą przyjaciół mających tak częste kontakty z nadnaturalnymi mocami.

Zaczynała rozumieć, co musiała czuć ostatniego lata Bonnie potrafiąca przewidzieć wydarzenia, którym nie mogła zapobiec.

Matt skierował się w stronę drzew.

Nie, Matt. Nie!

Nie rozumiał. Ona także nie. Wiedziała tylko, że drzewa nie zbliżają się bardziej wyłącznie z powodu Damona. Gdyby zapuścili się do lasu sami, gdyby opuścili polanę albo nawet pozostali na niej zbyt długo... Matt widział strach malujący się na jej twarzy. Jego mina wyrażała ponure zrozumienie. Byli w pułapce.

Chyba że...

- Za późno - stwierdził Damon. - Mówiłem ci, muszę coś zrobić.

Najwidoczniej znalazł już odpowiedni patyk. Podniósł go, machnął kilka razy i opuścił gwałtownie, jakby uderzał szablą. Matt zwinął się z bólu.

Nigdy wcześniej nie czuł czegoś takiego. Ból promieniował z jego ciała, każdego ścięgna, każdego nerwu, każdej kości. Mięśnie miał napięte do granic możliwości, jakby miały za chwilę pęknąć. Jego wnętrzości wydawały się płonąć. Miał wrażenie, że ktoś wbija mu noże w żołądek i miazdzy ramiona. Gdyby zakończenia nerwowe miały pokrętko ze skalą od „przyjemności”

do „bólu”, tak działałyby po nastawieniu ich na „agonię”. Nawet wiatr zadawał mu straszne tortury.

Po kilku sekundach stracił przytomność.

- Matt! - Elena chciała do niego podbiec, ale stała jak skamieniała. Trwało to całą wieczność. W końcu poruszyła się, położyła głowę chłopaka na swoich kolanach i pochyliła się nad nim ze łzami w oczach.

- Damon, dlaczego? Dlaczego? - Matt, chociaż nieprzytomny, wciąż wiał się z bólu. Musiała powstrzymać się od krzyku. - Dlaczego to robisz? Damon! Przestań!

Wpatrywała się w tego młodego mężczyznę ubranego w czerń.

Czarne dżinsy z czarnym paskiem, czarne buty, czarna skórzana kurtka, czarne włosy, cholerne ciemne okulary.

- Mówiłem. Muszę to zrobić. Popatrzeć na śmierć w męczarniach.

- Śmierć! - Elena patrzyła na niego w osłupieniu. Otrząsnęła się i zaczęła gromadzić swoją moc. To, co było tak proste, instynktowne, ledwie kilka dni temu, kiedy nie mogła mówić i nie podlegała sile grawitacji, teraz zdawało się jednak niezmiernie trudne. Zaciskając zęby, wykrztusiła - Jeżeli nie zostawisz go w spokoju, natychmiast, użyję wszystkich swoich sił, aby cię zatrzymać.

Roześmiała się. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby naprawdę się śmiała, nie w ten sposób.

- I spodziewasz się, że choćby zauważę twoją maleńką moc?

- Nie tak maleńką. Myślę, że poczujesz, Damon. Zostaw go. Już!

- Dlaczego ludzie zawsze zakładają, że wystarczy podnieść głos, aby ich słowa nabrały sensu? - wymamrotał Damon bardziej do siebie niż do niej.

Elena użyła całej swojej mocy.

A przynajmniej przygotowała się do tego. Odetchnęła głęboko, skoncentrowała się, wyobraziła sobie, że trzyma w dłoniach kulę białego ognia, a potem...

Matt ocknął się i wstał. Wyglądał, jakby ktoś podniósł go siłą i siłą trzymał w pionie, a jego oczy mocno łzawiły.

- Jesteś mi winna przysługę - rzucił Damon do Eleny. - Upomnę się później.

Do Matta zwrócił się tonem dobrego wujka, posyłając mu jeden z tych krótkich, niemal niezauważalnych uśmiechów.

- Mam szczęście, że jesteś taki wytrzymały, co?

- Damon. - Elena nieraz widziała, jak cieszy go zabawa słabszymi istotami. Gdy był w takim nastroju, wydawał się jej najbardziej odpychający. Ale teraz było w tym coś więcej, coś, czego nie rozumiała.

- Przejdźmy do rzeczy - powiedziała. - Czego naprawdę chcesz?

Nie udzielił jednak takiej odpowiedzi, jakiej się spodziewała.

- Zostałem wyznaczony do opieki nad tobą. Więc się tobą opiekuję. Uważam, że nie powinnaś pozostawać bez mojego towarzystwa i ochrony, kiedy nie ma w pobliżu mojego młodszego brata.

- Poradzę sobie. - Elena machnęła ręką, dając do zrozumienia, że nie uważa poruszanej kwestii za najistotniejszą w ich rozmowie.

- Jesteś bardzo ładną dziewczyną. Możesz się znaleźć w niebezpieczeństwie - uśmiechnął się. - Nalegam, żebyś nie oddalała się ode mnie.

- Damon, w tej chwili potrzebuję ochrony głównie przed tobą. Wiesz o tym. O co ci naprawdę chodzi?

Polana... pulsowała. Jakby była żywa, jakby oddychała. Elenie wydawało się, że pod jej stopami - pod starymi butami Meredith, które miała na nogach - ziemia porusza się nieznacznie, jak wielkie śpiące zwierzę. Drzewa wokół sprawiały wrażenie bijącego serca.

Ale czyjego? Lasu? Było w nim więcej martwych pni i konarów niż żywych roślin. A Elena mogłaby przysiąc, że zna Damona na tyle, żeby wiedzieć, że nie przepada za lasami.

W takich momentach żałowała, że nie ma już skrzydeł. Skrzydeł i wiedzy, którą posiadała jako duch - gestów, zaklęć białej magii, wewnętrznego ognia, który pozwalał jej poznawać prawdę i chronić swoich przyjaciół.

Teraz stanowiła jeszcze większą pokusę dla wampirów niż kiedykolwiek. Pozostał jej tylko spryt, który jak dotąd jej nie zawiódł. Może gdyby Damon nie zorientował się, jak bardzo się boi, udałoby jej się uratować i siebie, i Matta.

- Damon, dziękuję, że tak się o mnie troszczysz. Ale czy mógłbyś teraz na chwilę zostawić mnie z Mattem, żebym mogła sprawdzić, czy jeszcze oddycha?

Wydało jej się, że zza ciemnych szkieł błysnęły czerwone ogniki.

- Spodziewałem się, że to powiesz. Oczywiście, masz prawo do pocieszenia po tym, jak zostałaś porzucona. Reanimacja usta-usta powinna spełnić tę rolę.

Elena zmeła w ustach przekleństwo. Odpowiedziała spokojnie. - Damon, skoro Stefano wyznaczył cię na mojego opiekuna, to chyba mnie nie „porzucił” prawda?

- Zrób dla mnie jedną rzecz, dobrze? - przerwał jej Damon tonem zapowiadającym, że następne słowa zabrzmiały „Bądź ostrożna” albo „Nie rób niczego, czego ja nie zrobiłbym na twoim miejscu”.

Zapadła cisza. Wiry ustały. Zapach wygrzanych na słońcu sosnowych igieł i sosnowej żywicy sprawiał, że Elenie kręciło się w głowie. Ziemia była ciepła, miękka jak futerko wiewiórki. Ostatnie promienie słońca załamywały się na opadającym pyłe. Elena wiedziała, że jest teraz słaba, zmęczona, oszołomiona. Postarała się jednak, by jej głos zabrzmiał pewnie

- Czego chcesz?

- Teraz tylko pocałunku.

ROZDZIAŁ 5

Bonnie nie wiedziała, co się z nią dzieje. Było ciemno.

- W porządku - powiedział jakiś głos zarazem szorstki i opiekuńczy. - Mamy tu dwa potencjalne wstrząśnienia, jedną ranę

klutą wymagającą zastrzyku przeciw tężcowi, no i obawiam się, że będę musiała podać twojej dziewczynie jakieś środki uspokajające, Jim. Przyda mi się przy tym pomoc, ale nie wolno ci się ruszać. Leż i zamknij oczy.

Bonnie tymczasem otworzyła swoje. Przypominała sobie mgliście, że jest w domu Saitou.

Jak zwykle gdy była zdezorientowana albo przestraszona, zaczęła szukać Meredith. Jej przyjaciółka właśnie wracana z kuchni z workiem pełnym lodu. Położyła go na czole i Bonnie.

- Po prostu zemdlałam - wyjaśniła Bonnie, jakby sama właśnie zrozumiała, co się stało. - To wszystko.

- Wiem, że zemdlałaś. Dosyć mocno uderzyłaś głową o podłogę. - Na twarzy Meredith malowały się sprzeczne emocje: zatroskanie, współczucie i ulga. W oczach miała łzy. - Bonnie, nie zdążyłam cię złapać, Isobel mi stała na drodze. Byłaś nieprzytomna przez prawie pół godziny! Przestraszyłaś mnie.

- Przepraszam. - Bonnie wyplątała rękę z koca, którym była owinięta, i uściśnęła dłoń Meredith. To znaczyło „siostry razem” i „dziękuję za troskę”.

Jim leżał na drugiej kanapie, przykładając sobie lód do potylicy. Jego twarz miała białe zielone odcienie. Próbował wstać, ale doktor Alpert - to jej głos słyszała Bonnie tuż po ocknięciu się - powstrzymała go.

- Musisz unikać wysiłku - powiedziała. - Ale ktoś musi mi pomóc. Meredith, możesz? Obawiam się, że z Isobel może nie być łatwo.

- Uderzyła mnie w tył głowy lampą - ostrzegł je Jim. - Nie odwracajcie się do niej plecami.

- Będziemy uważać - uspokoiła go lekarka.

- Wy dwoje zostańcie tutaj - dodała Meredith. Bonnie chciała im pomóc, ale Meredith znów patrzyła na nią tym wzrokiem nie znośnym sprzeciwu.

Gdy wyszły z pokoju, Bonnie spróbowała wstać. Ale natychmiast obraz przed jej oczami zamienił się w pulsującą szarą plamę, co zapowiadało, że zaraz znów zemdleje.

Położyła się z powrotem, zgrzytając zębami.

Przez dłuższą chwilę z pokoju Isobel słychać było krzyki i hałas. Bonnie słyszała podniesiony głos doktor Alpert, potem Isobel, a potem jeszcze kogoś, ale to nie była Meredith. Przypominał głos Isobel, ale był zniekształcony.

W końcu zapadła cisza. Po chwili Meredith i pani doktor wróciły, niosąc Isobel. Meredith miała rozbity nos, a doktor Alpert potargane włosy, ale jakoś udało im się ubrać Isobel w podkoszulek.

Po chwili znowu wyszły, tym razem po panią Saitou.

- Nie podoba mi się kolor jej skóry - zauważyła doktor Alpert. - Ani jej puls. Chyba wszyscy powinniście zostać zbadani.

Meredith i lekarka pomogły Jimowi i Bonnie wsiąść do minivana. Słońce już zachodziło, na niebo pojawiły się chmury.

- Chcesz tabletkę przeciwbólową? - zapytała lekarka, widząc, że Bonnie spogląda na jej torbę. Isobel leżała na rozłożonych siedzeniach w ostatnim rzędzie.

Meredith i Jim siedzieli przed nią, a pani Saitou między nimi. Bonnie, na prośbę Meredith, usiadła z przodu.

- Nie, nie, wszystko w porządku - powiedziała. Tak naprawdę zastanawiała się, czy w szpitalu będą potrafili zająć się Isobel lepiej niż pani Flowers.

Bolała ją głowa, a guz na czole był już wielkości jajka, ale nie chciała otumanić się lekami. Musiała teraz myśleć jasno. Coś ją dręczyło, jakiś sen czy może wizja, którą miała, gdy była nieprzytomna.

Co to jest?

- Pasy zapięte? Jedziemy. - Samochód ruszył spod domu Saitou. - Jim, mówiłeś, że Isobel ma trzyletnią siostrę, która śpi na górze, więc zadzwoniłam do mojej wnuczki Jayneeli, żeby tu przyszła. Takie małe dziecko nie może zostać samo.

Bonnie obróciła się gwałtownie. Wymieniły z Meredith niespokojne spojrzenia.

- Nie! - zawołały równocześnie.

- Nie może tam wchodzić. Zwłaszcza nie do pokoju Isobel. Proszę posłuchać, musi pani... - ciągnęła nieco bełkotliwie Bonnie.

- To naprawdę nie jest dobry pomysł, pani doktor. - Meredith mówiła bardziej składnie. - Chyba że będzie się trzymać z dala od pokoju Isobel i w domu będzie ktoś jeszcze. Najlepiej jakiś chłopak.

- Chłopak? - Doktor Alpert była zaskoczona, ale niepokój Bonnie i Meredith przekonał ją, że coś jest na rzeczy. -Dobrze, Tyron, mój wnuk, nie ma nic lepszego do roboty niż oglądanie telewizji. Mogę poprosić jego.

- Wow! - Bonnie nie mogła powstrzymać się od zapytania: - To ten Tyron, który w przyszłym sezonie ma być w środkowym ataku w drużynie futbolowej? Podobno mówią na niego Tyrminator!

- Powiedzmy, że potrafił ochronić Jayneele. Ale to my mamy w samochodzie nadpobudliwą dziewczynę. Biorąc pod uwagę, jak bronila się przed zastrzykiem, jest niezłym „terminatorem”.

Telefon Meredith wydał dźwięk oznaczający rozmowę z nieznanego numeru i po chwili usłyszeli komunikat: „Pani T. Flowers dzwoni do ciebie. Czy chcesz...” - Meredith natychmiast nacisnęła „odbierz”.

- Pani Flowers? - zapytała. Szum silnika nie pozwolił Bonnie usłyszeć, co mówiła rozmówczyni jej przyjaciółki. Nie nasłuchiwała więc, ale zamiast tego skupiła się na dwóch rzeczach: na tym, co wiedziała o „ofiarach” wieźm z Salem, i na mglistej myśli lub wizji, którą miała, gdy była nieprzytomna.

- O co chodzi? Co się stało? - Było już za ciemno, żeby Bonnie widziała wyraźnie twarz Meredith, ale odniosła wrażenie, że jest bardzo błada. Nawet jej głos brzmiał słabo.

- Pani Flowers pracowała w ogródku i miała właśnie wracać do domu, kiedy zauważyła coś w krzewie begonii. Mówi, że to wyglądało, jakby ktoś chciał ukryć jakiś przedmiot między krzakiem a murem, ale kawałek wystawał. Bonnie poczuła, że znów jest bliska omdlenia.

- Co to było?

- Worek pełen koszul, spodni, butów... Stefano. Bonnie krzyknęła; doktor Alpert na moment niemal straciła panowanie nad kierownicą.

- O Boże! O Boże! On nie odszedł!

- Obawiam się, że owszem, odszedł. Ale nie z własnej woli.

- Damon - wykrztusiła Bonnie. Łzy pociekły jej po policzkach. - Wciąż wierzyłam...

- Jak głowa? Boli bardziej? - zapytała pani doktor, taktownie nie pytając o nie swoje sprawy.

- Nie. Tak. W zasadzie tak - przyznała Bonnie.

- Otwórz moją torbę. Mam tu parę rzeczy... O, weź to. Czy macie tam z tyłu butelkę wody?

Jim bez słowa podał butelkę.

- Dzięki - powiedziała Bonnie, popijając pigułkę wodą. Musiała szybko odzyskać formę. Jeżeli Damon porwał Stefano, to powinna spróbować go wezwać, prawda? Kto wie, dokąd trafił tym razem. Dlaczego żadne z nich o tym nie pomyślało?

No cóż, po pierwsze, Stefano miał być teraz taki silny, a po drugie, zostawił wiadomość w dzienniku Eleny.

- No właśnie! - krzyknęła.

- Meredith! - zawołała, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenie doktor Alpert. - Kiedy byłam nieprzytomna, rozmawiałam z Mattem. On też był nieprzytomny...

- Czy coś mu się stało?

- Tak, zdecydowanie tak. Damon zadawał mu straszny ból. Ale powiedział, żebym nie zwracała na to uwagi. Coś niepokoiło go w wiadomości, którą Stefano zostawił dla Eleny. Coś było nie tak ze stylem. Pamiętał jakieś rozmowy Stefano z nauczycielką angielskiego. I ciągle powtarzał, sprawdź kopię zapasową. Sprawdź kopię... zanim Damon to zrobi.

Bonnie wpatrywała się w Meredith. Gdy samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu, doktor Alpert i Jim wbili w nią wzrok. Nie mogli pozostać obojętni na to, co mówiła Bonnie.

Meredith przerwała ciszę.

- Pani doktor. Muszę panią o coś poprosić. Jeżeli skreśli tu pani w lewo, a potem pojedzie ulicą Laurel i kawałek przez Stary Las, nie nadłoży pani dużo drogi. Ale proszę podrzucić mnie do pensjonatu pani Flowers. Tam jest komputer, o którym mówiła Bonnie. Może pani pomyśleć, że zwariowałam, ale muszę coś sprawdzić w tym komputerze.

- Nie zwariowałaś. Zauważyłabym, gdyby tak było. - Lekarka uśmiechnęła się smutno.

- Słyszałam też nieco o Bonnie... Nic złego, oczywiście, ale rzeczy, w które trudno uwierzyć. Po tym, co widziałam dzisiaj, zaczynam jednak zmieniać zdanie. Tu też ktoś usunął znak stopu - wymruczała pod nosem, skręcając w lewo. Po czym ciągnęła. - Pojadę tam. Odwiozę was do pensjonatu...

- Nie! To zbyt niebezpieczne!

- ...ale muszę zawieźć Isobel do szpitala tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie wspominając o Jimie. On chyba ma wstrząs mózgu. A Bonnie...

- Bonnie - weszła jej w słowo dziewczyna - też jedzie do pensjonatu.

- Nie, Bonnie - zaprotestowała Meredith. - Zamierzam biec, rozumiesz? Biec najszybciej, jak mogę. Nie możesz mnie spowalniać.

- Nie będę, obiecuję. Pobiegniesz, a ja za tobą. Głowa już mnie nie boli. Jeżeli będziesz musiała mnie zostawić, to pobiegniesz dalej. A ja dotrę tam w swoim tempie.

Meredith otworzyła usta i zamknęła je. Zrozumiała, że tym razem to Bonnie nie dopuszcza możliwości dyskusji.

- Już jesteśmy - oznajmiła po kilku minutach doktor Alpert. - Róg Laurel i Starego Lasu. - Wyciągnęła z torby małą latarkę i poświeciła najpierw do jednego, potem do drugiego oka Bonnie. - Cóż, chyba wszystko z tobą w porządku. Ale wiesz, Bonnie, że moim zdaniem nie powinnaś biegać. Nie mogę cię zmusić do odpoczywania, jeżeli nie chcesz. Ale mogę cię zmusić, żebyś wzięła to. - Podała jej latarkę. - Powodzenia.

- Dziękujemy za wszystko - odpowiedziała Bonnie, dotykając dłoni lekarki. - Proszę na siebie uważać. Strzec się przewróconych drzew i Isobel. I czerwonych stworzeń na drodze.

- Bonnie, wysiadam - przerwała jej Meredith.

- I proszę zamknąć drzwi! Nie wysiadać z samochodu, dopóki nie będzie pani daleko od lasu! - dodała Bonnie i pobiegła za Meredith.

Oczywiście, nie było mowy o tym, żeby Meredith zostawiła Bonnie z tyłu. Obie o tym wiedziały. Meredith chwyciła przyjaciółkę za rękę.

Bonnie wiedziała, jak bardzo ważny był czas. Żałowała, że nie mają samochodu. Żałowała wielu rzeczy, także tego, że pani Flowers nie mieszkała w środku miasta, zamiast po drugiej stronie straszego lasu.

Po chwili, tak jak przewidywała Meredith, Bonnie była wykończona, a jej dłoń tak spocona, że wyślizgnęła się z uścisku. Zatrzymała się i niemal zgięła w pół, opierając ręce na kolanach. Z trudem łapała oddech.

- Bonnie! "wytrzymaj rękę. Musimy biec dalej.

- Daj mi tylko chwilkę...

- Nie mamy chwili. Słyszysz? Chodź!

- Muszę tylko złapać... oddech...

- Bonnie, spójrz za siebie. I nie krzycz.

Bonnie spojrzała za siebie, krzyknęła i okazało się, że wcale nie jest tak bardzo zmęczona. Złapała dłoń Meredith i znów zaczęły biec.

Słyszała to za sobą, pomimo że w uszach dudniło jej własne walące jak oszalałe serce. Brzmiało jak robak, nie było brzęczeniem, ale brzmiało jak robak. Trochę jak odgłos śmigła helikoptera, ale dźwięk był wyższy, jakby helikopter zamiast łopat miał macki. Po jednym krótkim spojrzeniu wie-

działa już, że macki te tworzą ogromną szarą masę, z której gdzieniegdzie wystają głowy - i paszcze z białymi, ostrymi zębami.

Z trudem wyciągnęła z kieszeni i włączyła latarkę. Zapadał już mrok. Nie miała pojęcia, ile jeszcze czasu do wschodu księżyca. Wiedziała tylko, że drzewa wyglądały, jakby same były źródłem ciemności, i próbowały zatrzymać ją i Meredith.

Malaki.

Dźwięk macek świstających w powietrzu stawał się coraz głośniejszy. Był coraz bliżej. Bonnie nie chciała się oglądać. Strach zmusił ją do nadludzkiego wysiłku. Ciągłe słyszała w głowie słowa Matta: „Jakby moja ręka została poszatkowana. Jakby moja ręka została...”

Dłonie obu dziewczyn były znów tak spocone, że wyslizgiwały się z uścisku. Malaki tymczasem były już znacznie bliżej niż przed chwilą.

Bonnie wydawało się że ma nogi z gumy. Nie czuła kolan.

Jak z gumy, która zamienia się w galaretkę.

Jakiś wyższy dźwięk wyodrębnił się z buczenia. Jeden z robaków wysforował się do przodu i już prawie je doganiał. Nagle znalazł się przed nimi, z otwartą paszczą.

Tak, jak opowiadał Matt.

Bonnie nie mogła nawet krzyknąć, brakowało jej tchu. Pozbawiona twarzy, nawet oczu, istota - tylko przerażająca paszcza i setki macek - czekała na nią. Gdyby spróbowała uderzyć to coś, mogłaby stracić rękę. O Boże! To zbliża się do mojej twarzy...

- Pensjonat! - wysapała Meredith, szarpiąc ją za rękę. -Biegnij!

Bonnie schyliła się w ostatniej chwili i malak przeleciał nad jej głową. Poczowała, jak macki wplątują się w jej włosy. Nagle szarpnięcie zmusiło ją do wyprostowania się i zatrzymania. Puściła dłoń Meredith.

- Boże, Meredith, złapał mnie! Biegnij! Nie daj się złapać!

Przed sobą zobaczyła pensjonat rozświetlony jak hotel. Zwykle we wszystkich oknach było ciemno, najwyżej u Stefano i może w jeszcze jednym pokoju paliło się światło. Teraz budynek błyszczał jak klejnot.

- Bonnie, zamknij oczy!

Meredith nie zostawiła jej. Wciąż była z nią. Bonnie czuła, jak podobne do pnący macki ocierają się o jej ucho, o spocone czoło, przesuwały się po twarzy, zmierzając do gardła... Zaczęła szlochać.

A potem usłyszała odgłos, jakby ktoś roztrzaskał melon o kamienną ścianę. Coś stoczyło się po jej plecach. Otworzyła oczy. Meredith trzymała w dłoniach grubą gałąź. Macki wysunęły się z włosów Bonnie.

Nie chciała się oglądać.

- Meredith...
- Szybko, biegniemy!

Ruszyły pod górę, na podjazd pod pensjonatem, ścieżką do drzwi. Na progu czekała na nie pani Flowers, ze starą lampą naftową w ręce.

- Wchodźcie, wchodźcie - powiedziała. Dziewczyny wbiegły do środka i zatrzymały się, rozpaczliwie próbując złapać oddech. Pani Flowers zatrzasnęła drzwi.

Z zewnątrz dobiegł je hałas, podobny do tego, jakie spowodowało uderzenie gałęzią, ale dużo głośniejszy i powtórzony wielokrotnie.

Bonnie zatkała uszy i opierając się o ścianę, osunęła się na podłogę.

- Co wy robiłyście dziewczyny, na miłość boską? - zapytała pani Flowers. Były w oplakanyim stanie,

- Zbyt długo by wyjaśniać... - wydusiła Meredith. -Bonnie! Usiądziesz na górze.

W jakiś sposób udało im się dotrzeć do pokoju Stefano. Meredith natychmiast usiadła do komputera i włączyła go.

Bonnie ostatkiem sił zdjęła podkoszulek Na plecach był cały umazany śluzem z macek małaka. Zwinęła go i rzuciła w kąt. Sama rzuciła się na łóżko.

- Co dokładnie powiedział Matt? - Meredith w końcu odzyskała oddech.

- Powiedział: „Sprawdź kopię zapasową”. Czy coś takiego. Meredith, moja głowa... nie jest dobrze...

- W porządku. Odpocznij. Poradziłaś sobie świetnie.

- Bo mnie uratowałaś. Dzięki... raz jeszcze...

- Daj spokój. Ale jednej rzeczy nie rozumiem. - Meredith mówiła już bardziej do siebie niż do przyjaciółki. -W tym samym folderze jest kopia zapasowa, ale niczym się nie różni. Nie wiem, o co chodziło Mattowi.

- Może coś mu się pomyliło. Bardzo cierpiał, na pewno nie myślał jasno.

- Kopia, kopia... Zaraz! Czy Word przypadkiem nie zapisuje automatycznie zapasowych kopii w jakimś dziwnym miejscu, w jakimś katalogu systemowym czy coś? - Meredith pospiesznie przeglądała zawartość dysku. W końcu westchnęła rozczarowana. - Nic tu nie ma.

Odchyliła się na krzesło, wypuściła głośno powietrze, myśląc intensywnie. Bonnie pomyślała, że ich desperacki bieg przez las nie może okazać się daremny. Po prostu nie może.

W końcu Meredith się odezwała.

- Tu jest dużo tymczasowych plików jak na jedną krótką wiadomość.
- Co to jest tymczasowy plik?
- Tymczasowa kopia pliku, na którym pracujesz. Zwykle to po prostu śmieci. - Znowu zaczęła klikać. - Ale trzeba to wszystko przejrzeć... och! - urwała. Klikanie ustało.

- Co się stało? - zapytała niespokojnie Bonnie. Wciąż cisza.

- Meredith? Co się stało? Znalazłaś coś?

Meredith nic nie powiedziała. Wydawało się, że nie słyszy Bonnie. Czytała coś zafascynowana i przerażona.

ROZDZIAŁ 6

Po plecach Eleny przebiegł dreszczy. Damon nie prosi o pocałunki.

Coś jest nie tak.

- Nie - szepnęła.

- Tylko raz.

- Nie pocałuję cię, Damonie.

- Nie mnie. Jego. - Damon skinął głową w stronę Matta. - Pocałuj swojego rycerza.

- Czego chcesz?! - Matt nagle otworzył szeroko oczy i wykrzyknął, zanim Elena zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Ty tego chcesz. - Damon mówił łagodnie. - Chcesz ją pocałować. I nikt cię nie będzie powstrzymywał.

- Damon. - Matt wyrwał się z ramion Eleny. Wydawało się, że odzyskał siły, ale Elena słyszała, jak nierówno bije jego serce. Zastanawiała się, jak długo leżał, udając nieprzytomnego, żeby poczuć się lepiej. - Ostatnie, co pamiętam, to to, że próbowałeś mnie zabić. To raczej nie wróży mi nic dobrego z twojej strony. Po drugie, nie mam w zwyczaju całować dziewczyn tylko dlatego, że są ładne albo ich chłopak akurat wyjechał.

- Nie? - Damon uniósł brew. - Ja mam.

Matt tylko pokręcił głową, zdezorientowany. Wyraźnie próbował nie stracić jakiegś myśli.

- Przetawisz samochód, żebyśmy mogli odjechać? - zapytał.

Elena miała wrażenie, że patrzy na niego z bardzo daleka, jak na człowieka uwięzionego w klatce z tygrysem, którego jeszcze nie zauważył. Polana wydawała się niezwykle piękna, dzika i niebezpieczna. Tego Matt też nie zauważył. Poza tym, pomyślała z troską, on ledwo stoi. Musimy odjechać jak najszybciej, zanim Damon znowu zrobi mu krzywdę.

Ale czy możemy odjechać?

O co naprawdę chodzi Damonowi?

- Możecie odjechać - powiedział Damon. - Gdy tylko ona cię pocałuje. Albo tyją.

Powoli, jakby z trudem uświadamiał sobie, co to znaczy, Matt spojrział na Elenę i znów na Damona. Elena próbowała coś mu powiedzieć spojrzeniem, ale nie zrozumiał. Wbił wzrok w wampira.

- Nie ma mowy.

Wzruszając ramionami, jakby chciał powiedzieć „Zrobiłem wszystko, co mogłem”, Damon podniósł gałąź, którą przed chwilą upuścił...

- Nie! - krzyknęła Elena. - Damon, zrobię to. Wampir uśmiechnął się, tak jak uśmiechał się tylko

w chwilach triumfu. Elena odwróciła wzrok i podeszła do Matta. Jego twarz wciąż była blada i zimna. Przysunęła policzek do jego twarzy i szepnęła mu do ucha:

- Matt, miałam już do czynienia z Damonem. Nie da się go wykiwać. Musimy grać według jego reguł, na razie. Potem może uda nam się uciec... - Zmusiła się do dodania. - Dla mnie? Proszę?

Prawda była taka, że zbyt dobrze знаła upartych facetów. I wiedziała, jak nimi manipulować. Nie lubiła tego w sobie, ale w tej chwili najważniejsze było uratowanie Mattowi życia, żeby rozważyć moralne aspekty swojego postępowania.

Żałowała, że zamiast niego nie była to Meredith albo Bonnie. Nie, żeby komukolwiek życzyła takiego bólu, ale Meredith miałaby już plany C i D, zanim ona sama opracowałaby B. A Bonnie już patrzyłaby na Damona wielkimi brązowymi, pełnymi łez oczami...

Nagle Elena pomyślała o czerwonym ognikach, które dostrzegła w oczach Damona mimo ciemnych okularów, i zmieniła zdanie. Lepiej, żeby Bonnie nie zbliżała się teraz do Damona.

Ze wszystkich facetów, których znała, Damon był jedynym, którego złamać mogła tylko ona, Elena.

Och, Matt jest taki uparty. A Stefano czasem potrafi być niemożliwy. Ale obaj mają guziki z napisem „Naciśnij mnie”. Wystarczy je znaleźć - no,

czasem trzeba się nieco wysilić -i w końcu stają się potulni jak baranki. Jak każdy mężczyzna.

Oprócz tego jednego...

- W porządku, dzieci, dosyć tego ociągania się. Więc na czym skończyliśmy? - Damon przechadzał się tam i z powrotem, uderzając gałęzią o wnętrze otwartej dłoni. - Och, wspaniale - rzucił, jakby nagle się zorientował. - Dziewczyna i jej rycerz będą się całować.

Tymczasem w pokoju Stefano Bonnie zaczynała się niecierpliwić.

- Meredith, odpowiedz mi wreszcie, znalazłaś kopię wiadomości Stefano czy nie?

- Nie. Znalazłam zupełnie inną wiadomość.

- Inną? Co w niej jest?

- Możesz wstać i podejść do komputera? Bo chyba powinnaś to zobaczyć.

Bonnie jakoś dokużyła do komputera. Przeczytała tekst - brakowało w nim chyba tylko kilku ostatnich słów -i serce jej stanęło.

- Damon zrobił coś Stefano! - stwierdziła stanowczo. Więc Elena nie miała racji. Damon był do szpiku zły. Teraz Stefano może już nawet...

- Nie żyć - dokończyła jej myśl Meredith.

- Kiedy ostatni raz próbowałaś się kontaktować z Mattem i Eleną?

- Nie wiem. Nie wiem nawet, która jest godzina. Ale dzwoniłam do nich dwa razy po wyjściu od Caroline i raz, gdy byliśmy u Isobel. A potem próbowałam jeszcze kilka razy, ale zawsze byli poza zasięgiem.

- Ja też próbowałam, z takim samym skutkiem. Jeżeli pojechali do Starego Lasu... Sama zresztą wiesz, co tam się dzieje z telefonami.

- Mają też zapchaną skrzynkę głosową, więc nawet nie możemy zostawić im wiadomości, żeby odsłuchali, jak wyjadą. To samo z esemesami.

- Mejl - powiedziała Meredith. - Stary dobry mejl. Możemy wysłać Elenie mejla, którego odbierze z komórki.

- Tak! - Bonnie zawołała niemal radośnie. Ale potem zawahała się chwilę i szepnęła - Nie.

Miała wciąż przed oczami słowa z prawdziwej wiadomości Stefano „Ufam opiekuńczości Matta, osądowi Meredith i intuicji Bonnie. Powiedz im, żeby o tym pamiętali”.

- Nie możemy napisać jej, co zrobił Damon. - Położyła rękę na ramieniu przyjaciółki, która zaczynała już pisać. - Przypuszczalnie już wie.

A jeżeli nie, to może jej to tylko przysporzyć kłopotów. Damon jest przy niej.

- Matt ci to powiedział?

- Nie. Ale Matt był nieprzytomny z bólu.

- A może to z powodu tych robaków? - Meredith spojrzała w dół, na swoją kostkę. Na gładkiej oliwkowej skórze odcinało się kilka czerwonych bąbli.

- To możliwe, ale nie, to nie było to. Ani drzewa. To był po prostu czysty ból. I nie wiem, skąd to wiem, ale jestem przekonana, że to sprawka Damona. Na pewno.

- Cóż, mój osąd każe mi ufać tobie. Skądinaś, teraz już widzę, o co chodziło Mattowi. Styl tej wiadomości idealnie pasuje do Stefano.

- Tak jakby Stefan mógł naprawdę zostawić Elenę z tym wszystkim, co się tutaj dzieje - dodała oburzona Bonnie.

- No tak, Damon oszukał nas wszystkich.

- Ciekawe, czy ukradł pieniądze? - rzuciła Bonnie.

- Nie sądzę, ale sprawdźmy. Podaj mi wieszak. Bonnie sięgnęła do szafy i przy okazji wyciągnęła z niej jedną z bluzek Eleny żeby się w nią ubrać. Była za duża, bo naprawdę należała do Meredith, ale przynajmniej zrobiło się jej cieplej. Tymczasem jej przyjaciółka odsunęła bujany fotel i wieszakiem próbowała podważyć kolejno kilka desek. Gdy już znalazła tę właściwą, ktoś zapukał do drzwi. Dziewczyny podskoczyły.

- To tylko ja. - Pani Flowers niosła worek z ubraniami Stefano i tacę, na której były kubki, kanapki, bandaże i ziołowe okłady.

- Pomożemy pani - zaoferowała Meredith.

Bonnie zabrała tacę, a pani Flowers położyła worek na podłodze. Meredith wróciła do podważania desek.

- Jedzenie! - zawołała Bonnie z wdzięcznością.

- Tak, kanapki z indykiem i pomidorem. Częstujcie się. Przepraszam, że nie było mnie tak długo, ale musiałam przygotować okłady. Pamiętam, jak mój brat, przed laty, mawiał... na miłość boską! - Urwała, wpatrując się w miejsce, gdzie przed chwilą leżała deska usunięta przez Meredith. Sporych rozmiarów dziura w podłodze była wypełniona studolarowy-mi banknotami, w jednakowych paczkach owiniętych banderolami.

- Wow - skomentowała ten widok Bonnie. - Nigdy nie widziałam takiej masy pieniędzy!

- Tak. - Pani Flowers wręczyła dziewczynom kanapki i kubki z kakao.
- Kiedyś ludzie chowali różne rzeczy za cegłą w kominku. Ale widzę, że nasz młody przyjaciel potrzebował więcej miejsca.

- Dziękujemy za kanapki i kakao - powiedziała Meredith. - Ale jeżeli chce pani opatrzyć nam rany, to niestety, nie możemy zwlekać.

- Och, poczekajcie chwilę. - Pani Flowers przyłożyła jej do nosa niewielki kompres pachnący herbata. - Opuchlizna zniknie w ciągu kilku minut. A ty, Bonnie, wybierz sobie właściwy okład i przyłóż do czoła.

- Cóż, skoro to tylko kilka minut... I tak nie wiemy, co mamy teraz robić - przyznała Bonnie. Spojrzała na tacę i podniosła jeden z kompresów pachnący kwiatami i piżmem.

- Oczywiście, to właśnie ten - skomentowała pani Flowers, nie oglądając się nawet, by zobaczyć. - A ten podłużny, rzecz jasna, jest na twoją kostkę.

Meredith odstawiła kubek i dotknęła bąbli na nodze.

- To nic takiego... - zaczęła.

- Twoja noga musi być sprawna, gdy wyjdziemy z pensjonatu.

- Gdy wyjdziemy?

- Do Starego Lasu. Szukać waszych przyjaciół.

Na twarzy zwykle odważnej Meredith malowało się przerażenie.

- Jeżeli Elena i Matt są w Starym Lesie, to zgadzam się: my musimy po nich iść. Ale nie pani! Poza tym i tak nie wiemy, gdzie ich szukać.

Pani Flowers wzięła łyk kakao i wyrzała przez okno.

- Podejrzewam, że uważacie mnie za zdziwaczalą starszą panią, której nigdy nie ma, gdy jest potrzebna.

- Nigdy tak nie uważaliśmy - zaprotestowała Bonnie. Pomyślała jednak, że w ostatnie dwa dni dowiedziały się o pani Flowers więcej niż przez dziewięć miesięcy, kiedy Stefano tu mieszkał. Wcześniej słyszały tylko tajemnicze opowieści i plotki o zwariowanej staruszce z pensjonatu. Krążyły po Fell's Church, odkąd pamiętała.

Pani Flowers się uśmiechnęła.

- Nie jest łatwo, kiedy nikt nie wierzy, że masz moc. A poza tym żyję już tak długo. A ludzie tego nie lubią. To ich niepokoi. Zaczynają zmyślać jakieś opowieści i plotki.

Bonnie wywróciła oczami. Pani Flowers znów się uśmiechnęła i nieznacznie skinęła głową.

- To była wielka przyjemność gościć takiego uprzejmego młodego człowieka - powiedziała, owijając kompres wokół kostki Meredith. - Oczywiście, musiałam przewyciężyć swoje uprzedzenia. Moja ukochana matka zawsze mówiła, że jeżeli zatrzymam pensjonat, nie powinnam nigdy przyjmować cudzoziemców. A ten młody człowiek jest zarówno wampirem, jak i...

Bonnie niemal upuściła kubek. Zakrztusiła się kakao. Twarz Meredith nie zdradzała niczego.

- ...ale po jakimś czasie zaczęłam go rozumieć i współczuć mu. A teraz ta blondynka też wpadła w tarapaty, biedactwo. Często rozmawiam o tym z matką.

- Ile lat ma pani matka? - zapytała Meredith tonem uprzejmej ciekawości, ale Bonnie dostrzegła w jej oczach błysk chorobliwej fascynacji.

- Och, umarła na przełomie stuleci.

Zapadła kłępująca cisza. W końcu Meredith zebrała się na odwagę.

- Tak mi przykro - powiedziała. - Musiała żyć bardzo...

- Tak, zaraz na początku wieku, w 1901 roku.

Tym razem to Meredith się zakrztusiła, chociaż dawno już odstawiła kubek.

- Byłam kiedyś medium - kontynuowała pani Flowers, patrząc na nią łagodnie. - W wodewilu. Bardzo trudno wejść w trans przed publicznością. Ale tak naprawdę jestem białą wiedźmą. Jestem obdarzona mocą. A teraz, jeżeli skończyłyście już kakao, myślę, że powinniśmy iść do lasu poszukać waszych przyjaciół. Wprawdzie jest lato, ale lepiej ubierzcie się ciepło.

ROZDZIAŁ 7

Niewinnym buziakiem nie da się zbyć Damona, pomyślała Elena. Z drugiej strony, Matta będzie musiała po prostu uwieść. Na szczęście знаła go na wylot, wiedziała o nim wszystko. I zamierzała tę wiedzę bezlitośnie wykorzystywać.

Ale Matt potrafił być tak strasznie uparty. Pozwolił jej się objąć i musnąć wargami swoje usta. Ale kiedy próbowała zrobić cokolwiek więcej

- przebiec palcami po jego plecach albo dotknąć koniuszkiem języka jego warg - zacisnął zęby. Nie objął jej.

Puściła go i westchnęła. Czuła świerzbienie między łopatkami, jakby ktoś ją obserwował, ale sto razy mocniejsze. Obejrzała się i zobaczyła, że Damon stoi w pewnej odległości od nich, w rękę wciąż trzymał gałąź. Nie zauważyła jednak niczego niezwykłego. Spojrzała na Matta i obejrzała się raz jeszcze. Musiała zasłonić sobie usta dłonią, żeby nie krzyknąć.

Damon stał za nią - tuż za nią. Prawie jej dotykał. Znalazła się teraz między dwoma mężczyznami.

Jak on to zrobił? W ciągu sekundy pokonał sporą odległość. Nawet on nie mógł być tak szybki. Poza tym nie słyszała jego kroków, igieł, które musiały skrzypieć pod czarnymi butami. Po prostu nagle się tam pojawił, jak żółte ferrari.

Elena wciąż powstrzymywała krzyk, który cisnął się jej na usta. Starła się złapać oddech. Zesztywniała ze strachu. Matt drżał. Damon nachylał się nad nią. Jedyne, co czuła, to zapach sosnowej żywicy.

Coś z nim jest nie tak. Coś jest nie tak.

- Wiesz co - powiedział, pochylając się jeszcze bardziej, tak że musiała się oprzeć o Matta, a i tak patrzyła w jego ciemne szkła z odległości ledwie kilku centymetrów. - Za to dostaniesz dwóję z minusem.

Elena zaczęła drżeć tak samo jak Matt. Ale wiedziała, że musi się opanować i stawić czoła Damonowi.

Rozpaczliwie próbowała wymyślić jakiś plan ucieczki. Może i Damon nie czyta w naszych myślach, ale na pewno potrafi ocenić, czy kłamiemy. Każdy wampir pijący ludzką krew to potrafi. Czy to nam coś da? Jak możemy to wykorzystać?

- To był pocałunek na powitanie - powiedziała hardo. - Służy zidentyfikowaniu osoby, którą spotykasz, tak że potem już zawsze ją rozpoznajesz. Nawet chomiki to robią. A teraz, czy mógłbyś, proszę, trochę się przesunąć? Połamiesz mi żebra.

Poza tym to zdecydowanie zbyt dwuznaczny układ.

- Druga szansa - stwierdził Damon, nie uśmiechając się tym razem. - I teraz chcę zobaczyć pocałunek, prawdziwy pocałunek. Bo jak nie...

Elena odwróciła się do niego plecami. Szukała wzroku Matta. W końcu byli parą przez jakiś czas rok temu. Widziała w jego oczach, że chce ją pocałować, tak bardzo jak tylko mógł czegokolwiek chcieć w tym stanie. A on uświadomił sobie, że przeszła przez to wszystko, żeby uratować go przed Damonem.

Jakoś się z tego wyplączemy pomyślała Elena, mając nadzieję, że Matt odczyta ten komunikat w jej spojrzeniu. Będziesz współpracował? Niektórych chłopców interesują tylko własne doznania i nie mają żadnych skrupułów. Tacy jak Matt mają wypisane na twarzy „Honor” i „Poczucie winy”.

Matt nie ruszał się, kiedy ujęła jego twarz w dłonie i stanęła na palcach, żeby go pocałować. Przypomniała sobie ich pierwszy prawdziwy pocałunek, w jego samochodzie, gdy wracali do domu ze szkolnej potańcówki. Był przerażony, miał spocone dłonie, ściśnięty żołądek. Ona była spokojna, doświadczona, delikatna.

Taka była też teraz, gdy koniuszkami języka próbowała rozchylić jego wargi. Na wypadek gdyby Damon jednak podsłuchiwał jej myśli, skupiła je wyłącznie na Matcie, na jego przystojnej twarzy i sylwetce, na ich bliskiej przyjaźni, na uprzejmości, z jaką zawsze ją traktował, nawet kiedy z nim zerwała. Nie zauważyła, kiedy ją objął i odwzajemnił pocałunek. Całował ją łapczywie, jakby umierał z pragnienia, a ona była źródłaną wodą. Słyszała jego myśli: nigdy nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś będzie całował w ten sposób Elenę Gilbert.

Nie wiedziała, jak długo to trwało. W końcu puściła go i odsunęła się o krok.

Obejrzała się i uświadomiła sobie, że Damon mówił do nich dziwnie stylizowanym głosem -jak reżyser na planie filmowym. Nic dziwnego - trzymał w dłoni małą kamerę wideo i wpatrywał się w ekran. Wszystko nagrywał.

Twarz Eleny musiała być doskonale widoczna. Nie miała pojęcia, co stało się z jej okularami i czapką. Włosy miała w nieładzie. Oddech krótki i urywany. Wypieki na twarzy Matt nie wyglądał lepiej.

Damon spojrzał nad nich.

- Po co ci to? - warknął Matt. Na niego też podziałął ten pocałunek, pomyślała Elena. Bardziej niż na mnie.

Damon znów podniósł upuszczoną gałąź i machnął nią w powietrzu jak wachlarzem. Elena poczuła sosnowy zaspach. Wampir wyglądał na zamyślonego, jakby rozważał, czy nie należałoby powtórzyć tego ujęcia. Rozmyślił się jednak, uśmiechnął promiennie i wepchnął kamerę do kieszeni.

- Wystarczy wam wiedzieć, że to było doskonałe ujęcie.

- Więc teraz odjedziemy. - Pocałunek dodał chyba sił

Mattowi, nawet jeżeli tylko do buńczucznych odpowiedzi. -Już.

- Och, nie. Ale nie zmieniaj tego agresywnego, dominującego tonu, kiedy będziesz zdejmował jej koszulę.

- Co?!

Damon powtórzył tonem reżysera udzielającego aktorowi wskazówek, jak powinien zagrać kolejną scenę.

- Rozepnij, proszę, jej koszulę, a potem ją zdejmij.

- Oszalałeś. - Matt obrócił się do Eleny i osłupiał, widząc wyraz jej twarzy i łzę spływającą po policzku.

- Eleno...

Nie patrzyła na niego. Poruszył się, żeby stanąć przed nią, ale się odwróciła. Nie mógł skłonić jej do spojrzenia mu w oczy. Za pierwszą łzą popłynęły kolejne.

Eleno, musimy go powstrzymać. Czy nie pamiętasz już, jak pokonałaś te złe istoty w pokoju Stefano?

Ale to jest dużo gorsze, Matt. Nigdy wcześniej nie czułam czegoś takiego. Tak silnego. To mnie obezwładnia.

- Chyba nie mówisz, że mamy się na to zgodzić...? -Tyle Matt powiedział na głos. Jego jasne niebieskie oczy powiedziały coś dużo prostszego. Nie. Choćby miał mnie zabić za odmowę.

- Ja... - Elena odwróciła się nagle do Damona. - Puść go. To jest sprawa między tobą i mną. Załatwmy ją sami. -Zamierzała zrobić wszystko, żeby ocalić Matta, nawet jeżeli on tego nie chciał.

Zrobię to, co chcesz, pomyślała, z nadzieją, że Damon odczyta tę myśl. W końcu już raz wypił jej krew wbrew - przynajmniej początkowo -jej woli. Może to zrobić jeszcze raz.

- Tak, zrobisz wszystko, co chcę - przytaknął jej na głos Damon, dowodząc, że może czytać w jej myślach łatwiej, niż sądziła. - Pytanie brzmi, ile wytrzymasz.

Nie powiedział czego. Nie musiał.

- No więc, czekam. Wiecie, co macie robić.

Elena spojrzała na Matta i zobaczyła coś w jego oczach. Wiedziała już - i rozpaczliwie próbowała ukryć tę wiedzę przed Damonem - co jej przyjaciel zamierza zrobić.

Popełnić samobójstwo.

- Skoro nie możemy pani przekonać, to nie możemy pani przekonać - powiedziała Meredith do pani Flowers. -Ale tam są rzeczy...

- Tak, skarbie, wiem. A słońce już zachodzi. To zła pora, żeby wychodzić z domu. Ale jak mawiała moja matka, co dwie wiedźmy, to nie

jedna. - Uśmiechnęła się do Bonnie. - A jak uprzejmie nie zauważyłyście, jestem bardzo stara. Pamiętam jeszcze czasy, gdy nie było samolotów ani samochodów. Mam wiedzę, która może wam pomóc w poszukiwaniu przyjaciół. Poza tym jednak jestem zbędna.

- Z pewnością nie - zaprzeczyła żarliwie Bonnie. Przetrasały właśnie szafę Eleny, wkładając kolejne warstwy I letnich ubrań. Meredith podniosła worek z rzeczami Stefano i wyrzuciła je na łóżko.

- Bonnie, może weź coś z rzeczy Stefano. Przyjrzyj się im, coś tu na pewno znajdziesz. Może pani też by coś jeszcze włożyła, pani Flowers?

Bonnie włożyła jedną z koszul Stefano jako ostatnią i warstwę, a pani Flowers wepchnęła do kieszeni jedną skarpetkę.

- Ale nie wyjdę frontowymi drzwiami - oznajmiła Bonnie. Nie chciała sobie nawet wyobrażać, co się tam I działo.

- W porządku, więc wyjdziemy tyłem - uspokoiła ją Meredith, gasząc światło.

- Chodźmy.

Właśnie wychodziły tylnymi drzwiami, gdy ktoś zadzwonił od frontu.

Meredith zawróciła.

- To mogą być oni! - zawołała. Pobiegnęła do frontowych drzwi. Bonnie i pani Flowers podążyły za nią trochę wolniej.

Na dźwięk otwieranych drzwi Bonnie zamknęła oczy. Gdy Inie usłyszała okrzyków radości, otworzyła je niepewnie.

Na zewnątrz nie było widać śladów po niczym nadzwyczajnym. Żadnych martwych ani umierających malaków.

Dostała gęziej skórki. Nie żeby miała ochotę oglądać martwe malaki. Ale chciałaby wiedzieć, co się z nimi stało. Odruchowo uniosła rękę do włosów, żeby sprawdzić, czy wciąż są tam zaplątane wąsy-macki. Nic nie znalazła.

- Szukam pana Matthew Honeycutta. - Otworzyła szerzej oczy.

Tak, to był szeryf Rich Mossberg. Naprawdę stał przed drzwiami, w mundurze.

- To nie jest jego dom - odpowiedziała spokojnie Meredith, zanim Bonnie zdążyła cokolwiek pomyśleć.

- Byłem już w domu Honeycuttów. A także u państwa Sulez i u państwa McCullough. Wszyscy oni twierdzili, że jeżeli Matta nie ma w jednym z tych miejsc, to może być tu z wami.

Bonnie miała ochotę kopnąć policjanta w gołęń.

- Matt nie kradnie znaków drogowych! Nigdy, przenigdy by tego nie zrobił. I naprawdę chciałabym wiedzieć, gdzie teraz jest! Ale żadne z nas tego nie wie! - Urwała z nieprzyjemnym poczuciem, że mogła powiedzieć za dużo.

- A panie nazywają się?

Pani Flowers włączyła się do rozmowy.

- To jest Bonnie McCullough, a to Meredith Sulez. Ja nazywam się Flowers, jestem właścicielką tego pensjonatu. Mogę potwierdzić słowa Bonnie, że Matt nigdy nie przesunąłby znaków drogowych.

- Obawiam się, że sprawa jest poważniejsza. Pan Matthew Honeycutt jest podejrzany o napaść na młodą kobietę. Istnieją poważne poszlaki wskazujące na niego. A ta kobieta twierdzi, że znają się od dzieciństwa, więc nie ma mowy o pomyłce.

Na chwilę zapadła ponura cisza.

- Ona? Kto? - krzyknęła w końcu Bonnie.

- Caroline Forbes. Pozwolę sobie poradzić, żeby przekazały panie panu Honeycuttowi, by się ze mną skontaktował, jeżeli go panie zobaczą. W przeciwnym razie będziemy musieli go aresztować. - Szeryf zrobił krok do przodu, jakby chciał wejść do środka. Pani Flowers zastąpiła mu drogę.

- Obawiam się - powiedziała Meredith, odzyskawszy w końcu zimną krew - że musi pan mieć nakaz, żeby wejść do środka. Czy ma pan nakaz?

Szeryf Mossberg nie odpowiedział. Odwrócił się na pięcie, odszedł do samochodu i zniknął.

ROZDZIAŁ 8

Matt rzucił się na Damona z prędkością, która dowodziła, że nie bez powodu otrzymał sportowe stypendium. Próbował go dopaść i przewrócić na ziemię.

- Uciekaj! - krzyknął w tej samej chwili.

- Uciekaj! Elena nie poruszyła się, rozpaczliwie próbując wymyślić sposób, by powstrzymać tę tragedię. Musiała oglądać, jak Damon upokorzył Stefano, ale nie sądziła, że jest w stanie patrzeć, jak znęca się nad Mattem.

Ale kiedy znów spojrzała w ich kierunku, Matt stał w odległości około dziesięciu metrów od Damona. Dyszał i był blady, ale żywy i w jednym kawałku. Przygotowywał się do kolejnego ataku.

A Elena nie mogła uciekać. Wiedziała, że to mogłoby być najlepsze rozwiązanie. Damon pewnie zostawiłby Matta w spokoju i skupił się na pościgu za nią.

Ale nie miała pewności. Nie wiedziała, czy najpierw by go nie zabił ani czy Matt zdążyłby się oddalić, zanim Damon dopadłby ją i miał znów chwilę, żeby się nim zająć.

Nie, nie ten Damon, bezlitosny i okrutny. Musi być jakieś wyjście. Niemal czuła, jak w jej głowie obracają się jakieś tryby.

I nagle zobaczyła. Nie, nie to...

Ale co innego może zrobić?

Matt znów ruszył na Damona. A Damon po prostu odsunął się w ostatniej chwili. Chłopak z rozpędu przebiegł kilka metrów, a wampir tylko odwrócił się i znów stanął przodem do niego, po czym podniósł tę cholerną gałąź. Była

ułamana - Matt nadepnął ją, gdy rzucił się na Damona.

Wampir wzruszył ramionami, uniósł gałąź i obaj zamarli. Z boku coś nadleciało i opadło powoli na ziemię między nimi. Leżało tam, poruszane lekkim wietrzykiem.

Granatowa koszula.

Matt i Damon odwrócili się w stronę Eleny. Miała na sobie biały koronkowy stanik, drżała z zimna i obejmowała się ramionami. Rzeczywiście, było niezwykle zimno jak na tę porę.

Damon bardzo powoli opuścił uniesioną rękę.

- Ocaliła cię twoja inamorała - powiedział do Matta.

- Wiem, co to znaczy, i to nie jest prawda. To moja przyjaciółka, a nie dziewczyna.

Damon uśmiechnął się do siebie. Elena czuła jego wzrok na swoich nagich ramionach.

- No więc... kontynuujmy.

Nie była zaskoczona. Zdegustowana, ale nie zaskoczona. Nie zdziwił jej też czerwony błysk za ciemnymi szklami Damona, gdy ten spojrzał na Matta, a potem z powrotem na nią.

- Teraz - ciągnął - chyba umieścimy cię na tym kamieniu, półleżąca. Ale najpierw jeszcze jeden pocałunek. - Obejrzał się na Matta. - Do dzieła,

Matt. Tracisz tylko czas. Mógłbyś najpierw pocałować jej włosy, potem ona odrzuci głowę, a ty pocałujesz jej szyję. A ona cię obejmie...

Matt, pomyślała Elena. Damon powiedział „Matt”. Wyszło mu to bez trudu, zupełnie naturalnie. Nagle jej ciało, jej umysł, przeszył dreszcz, jakby jedna wysoka nuta. To, co mówiła ta nuta, nie zdumiało jej, bo w jakiś już wiedziała...

To nie jest Damon.

To nie jest osoba, którą знаła od... czy to naprawdę było tylko dziesięć miesięcy? Spotkała go, gdy była jeszcze normalną dziewczyną, pożądała go i opierała mu się jednocześnie. A on wydawał się kochać ją najbardziej właśnie wtedy, gdy się opierała.

Spotkała go, będąc wampirem, i całym swoim jestestwem go pragnęła, a on troszczył się o nią jak o dziecko.

Spotkała go, gdy była duchem, i wtedy wiele się dowiedziała.

Był kobieciarzem, bywał nieczuły, przesiąkał przez życie swoich ofiar jak chimeryczny katalizator, zmieniając innych, podczas gdy sam pozostawał wciąż taki sam. Manipulował ludźmi, oszukiwał ich, wykorzystywał i porzucał - odurzonych jego diabelskim czarem.

Ale nigdy nie widziała, żeby złamał słowo. Wyczuwała, że to nie była kwestia decyzji, że to było tak głęboko zakorzenione w nim, w jego podświadomości, że nie mógłby tego zmienić, choćby chciał. Nie mógł złamać danego słowa. Prędzej umarłby z głodu.

Damon wciąż mówił do Matta, wydając mu polecenia.

- ...a potem zdejmij jej...

Więc co z jego obietnicą, że będzie ją chronił, że nie pozwoli jej skrzywdzić?

Teraz zwrócił się do niej.

- Rozumiesz wszystko? Wiesz co masz...?

- Kim jesteś?

- Co?

- Słyszałeś. Kim jesteś? Gdybyś rzeczywiście widział Stefano, gdy odchodził, i obiecał mu, że się mną zaopiekujesz, nie robiłbyś tego, co robisz. Tak, mógłbyś skrzywdzić Matta, ale nie na moich oczach. Nie jesteś... Damon nie jest głupi. Wie, co znaczy opieka. Wie, że patrzeć na cierpienie Matta również mnie boli. Nie jesteś Damonem. Kim... jesteś?

Siła i zwinność Matta nie przyniosły żadnych efektów. Może inne podejście zadziała. Mówiąc, powoli sięgała do twarzy Damona. Gdy skończyła, jednym szybkim ruchem zdjęła mu okulary.

Zobaczyła za nimi oczy czerwone jak świeża krew.

- Co zrobiłeś? - szepnęła. - Co zrobiłeś z Damonem?

Matt stał za daleko, żeby słyszeć słowa Eleny, ale próbował zwrócić jej uwagę. Ona tymczasem miała nadzieję, że jej przyjaciel ucieknie. Zostając tutaj, dawał tylko tej okrutnej istocie kolejny atut do ręki.

Bez żadnego wysiłku sobowtór Damona wyrwał jej okulary z ręki tak szybko, że nie zdążyła zareagować. Po czym mocno chwycił ją za nadgarstek.

- To wszystko byłoby dużo prostsze, gdybyście współpracowali. Chyba nie zdajecie sobie sprawy z tego, co może się stać, jeżeli mnie rozgniewacie.

Zacisnął chwyt, zmuszając ją, by uklęknęła. Postanowiła do tego nie dopuścić. Niestety, jej ciało zdradziło ją: czuła przeszywający, palący ból. Myślała, że potrafi to zignorować, pozwolić, by czerwonoooka istota złamała jej nadgarstek. Myliła się. W którymś momencie jej umysł wyłączył się zupełnie. Gdy po ułamku sekundy odzyskała świadomość, klęczała, a jej nadgarstek wydawał się niemożliwie opuchnięty.

- Ludzka słabość - rzucił niby-Damon pogardliwie. - Zawsze ulegnicie. Teraz już wiesz, że lepiej być mi posłuszną.

To nie Damon, pomyślała Elena z wielką siłą.

- Dobra - słyszała jednak nad sobą głos Damona, pogodny, jakby tylko udzielał jej przyjacielskich rad. - Ty usiądź na tym kamieniu, odchyl się trochę, a ty, Matt, podejdź tu i stań twarzą do niej. - Matt zignorował jednak to polecenie i stanął obok Eleny, przyglądając się palcom odcisniętym na jej nadgarstku, jakby nie dowierzał temu, co widzi.

- Matt stoi, Elena siada. Albo zaraz stracę cierpliwość. No, dzieci, bawcie się. - Damon znów trzymał w dłoni kamerę.

Matt spojrział pytająco na Elenę. Dziewczyna patrzyła na sobowtóra.

- Idź do diabła, kimkolwiek jesteś - powiedziała, starannie wypowiadając każdą sylabę.

- Och, bywałem u niego - odparowała piekielna istota. Uśmiechnęła się do Matta w sposób zarazem olśniewający i przerażający. Machnęła gałęzią.

Matt zignorował to. Stał z kamienną twarzą, czekając na ból.

Elena z trudem podniosła się i stanęła obok niego. Razem mogli stawić Damonowi opór. A on przez chwilę wydawał się naprawdę wściekły.

- Próbujecie udawać, że się mnie nie boicie. Ale jeszcze będziecie się bać. Gdybyście mieli choć trochę rozsądku, balibyście się już teraz.

Zrobił krok w stronę Eleny

- Dlaczego się mnie nie boicie?

- Jesteś tylko zadufanym w sobie potworem. Skrzywdziłeś Matta. Skrzywdziłeś mnie. Jestem pewna, że możesz nas zabić. Ale my się nie boimy takich typów.

- Będziecie się bać. - Zniżył głos do złowieszczego szeptu. - Tylko poczekajcie.

Coś zadzwoniło w uszach Eleny, te ostatnie słowa z czymś się jej kojarzyły - z czym? Nagły ból przerwał jej rozważania.

Zwaliło ją z nóg. Nie uklękła, ale przewróciła się i zaczęła wić na ziemi. W głowie miała pustkę. Wyczuwała obok obecność Matta, próbującego ją przytrzymać, ale nie mogła się z nim skomunikować, nie mogła też latać. Dostała drgawek, jakby w ataku epilepsji lub opętania. Cały wszechświat stał się dla niej bólem, dźwięki dochodziły do niej z bardzo daleka.

- Przestań! - krzyczał rozpaczliwie Matt. - Przestań! Czy ty oszalałeś? To Elena, na miłość boską! Czy chcesz ją zabić?

- Nie robiłbym tego - poradził łagodnie sobowtór Damona. Matt odpowiedział na to krzykiem, w którym słychać było nieopanowaną furję.

- Caroline! - Bonnie była wściekła, nerwowo chodziła tam i z powrotem po pokoju Stefano, podczas gdy Meredith znów szukała czegoś w komputerze. - Jak ona śmie?

- Nie ośmieli się zaatakować Stefano ani Eleny wprost z powodu przysięgi - odpowiedziała Meredith. - Więc próbuje w ten sposób zaszkodzić nam wszystkim.

- Ale Matt...

- Och, Matt to łatwy cel. No i, niestety, jest kwestia poszlak u nich obojga.

- Co masz na myśli? Matt przecież nie...

- Zdrapania, moja droga - wtrąciła pani Flowers - po tych robakach o ostrych zębach. Okład, który nałożyłam, powinien już je uleczyć i teraz przypuszczalnie wyglądają jak ślady po długich paznokciach. A ślad na szyi... - odchrząknęła - wygląda jak coś, co w moich czasach nazywało się „ukąszeniem miłości”. Można to zinterpretować jako ślady po schadzce, która skończyła się aktem fizycznego przymusu. Oczywiście wiem, że wasz przyjaciel nie zrobiłby nic takiego.

- A pamiętasz, jak wyglądała Caroline, gdy ją widziałyśmy? - dodała Meredith. - Nie chodzi mi o to pelzanie, na pewno stoi już jak człowiek. Ale jej twarz. Miała podbite oko i opuchniętą szczękę.

Bonnie nie nadała za ich tokiem rozumowania.

- Miała, ale...

- Pamiętasz noc, kiedy robak zaatakował Matta. Następnego ranka szeryf dzwonił do niego. Matt przyznał, że matka nie widziała go przez całą noc, a jakiś człowiek ze straży obywatelskiej twierdzi, że Matt podjechał pod dom i praktycznie zemdlął.

- To od trucizny! Dopiero co walczył z malakiem!

- My to wiemy. Ale oni pomyślą, że właśnie wrócił po tym, jak zaatakował Caroline. Jej matka nie będzie mogła zeznawać; sama widziałas, w jakim jest stanie. Więc kto zaświadczy, że Matta tam nie było w nocy? Zwłaszcza jeżeli planował to wcześniej.

- My! Możemy potwierdzić, że tam nie pojechał... -Bonnie urwała nagle. - Nie, to wszystko miało się niby zdarzyć po tym, jak od nas odjechał. Ale, nie, tak nie można! - Znów zaczęła chodzić po pokoju. - Widziałam z bliska takiego robaka i wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Matt.

- A co teraz z niego zostało? Nic. Poza tym wiedzą, że dla niego powiedziałyby wszystko, co byłoby potrzebne.

Bonnie miała już dość chodzenia w kółko bez celu. Wiedziała, że muszą ostrzec Matta, jeżeli tylko uda im się znaleźć jego i Elenę.

- Myślałam, że to ty się najbardziej niecierpliwiłaś, żeby ich szukać - rzuciła oskarżycielskim tonem pod adresem Meredith.

- Wiem. Tak było. Ale muszę coś znaleźć. Poza tym chcę jeszcze raz spróbować z tą stroną, którą mogą przeczytać tylko wampiry. Tą od Shi no Shi. Ale zmieniałam już ustawienia ekranu na wszelkie możliwe sposoby i nawet jeżeli coś tu jest napisane, to ja nie potrafię tego odcyfrować.

- Lepiej nie traćmy na to czasu - zaproponowała pani Flowers. - Włóż kurtkę, skarbie. Czy weźmiemy mój żółty wózek?

Bonnie stanął przed oczami konny pojazd, coś jak karoca Kopeiuszka, ale nie w kształcie dyni. Potem przypomniała sobie, że widziała zabytkowy model T - pomalowany na żółto - w budynku obok, który kiedyś musiał być stajnią.

- Poradziłyśmy sobie lepiej na piechotę, niż kiedy jechałyśmy samochodem. Albo kiedy Matt jechał samochodem - odpowiedziała

Meredith, sprawdzając jeszcze ostatnią możliwą konfigurację ekranu. - Pieszko będziemy bardziej... Boże! Udało się!

- Co się udało?
- Strona. Spójrzcie na to.

Pani Flowers i Bonnie podeszły do komputera. Ekran był jasnozielony, z pewnym trudem można było zobaczyć na nim trochę ciemniejsze litery.

- Jak to zrobiłaś? - zapytała Bonnie, gdy Meredith sięgała po notes i długopis, żeby przepisać tekst.

- Nie wiem. Spróbowałam po prostu po raz ostatni zmienić ustawienia. Myślałam, że już wcześniej wypróbowałam wszystkie parametry jasności i kolorów.

Wszystkie trzy wpatrywały się teraz w ekran.

Znudzony tym lapis-lazuli? Chcesz wyjechać na wakacje na Hawaje? Masz dość żywieniowej monotonii? Przyjdź i odwiedź Shi no Shi.

Pod napisem znajdowała się reklama „Śmierci Śmierci”, miejsca, gdzie wampiry mogą być uwolnione od klątwy i znów stać się ludźmi. A niżej adres. Tylko ulica, bez nazwy stanu ani nawet miasta. Ale to już była wskazówka.

- Stefano nie wspominał nic o adresie - zauważyła Bonnie.
- Może nie chciał przestraszyć Eleny. A może kiedy on oglądał tę stronę, adresu tam nie było.

Bonnie zadrżała.

- Shi no Shi, nie podoba mi się ta nazwa. I nie śmieję się ze mnie, Meredith. Pamiętasz, co Stefano powiedział o ufaniu mojej intuicji?

- Nikt się nie śmieje, Bonnie. Musimy znaleźć Elenę i Matta. Co twoja intuicja mówi na ten temat?

- Ze wpakujemy się w niezłe kłopoty. I że Elena i Matt już mają kłopoty.

- To zabawne, bo mój osąd mówi mi dokładnie to samo.

- Czy jesteśmy już gotowe? - Pani Flowers podała im latarki.

Meredith wypróbowała swoją. Dawała mocne, jasne światło.

- Ruszamy - oznajmiła.

Bonnie i pani Flowers zeszły za nią na dół. Szły drogą, którą nie tak dawno uciekały. Serce Bonnie waliło jak szalone; nasłuchiwała odgłosu wirujących macek. Ale Stary Las był niesamowicie cichy i ciemny, nie licząc świateł ich latarek. Nie słychać było nawet jednego ptaka.

Wkroczyły w mrok i już po kilku minutach się zgubiły.

Matt ocknął się, leżąc na boku. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Las. Polana. Piknik? Spacer? Zasnął?

A potem spróbował się poruszyć i potworny ból przeszył jego ciało jak płomień. Przypomniał sobie wszystko. Ten drań. Torturował Elenę, pomyślał.

Torturował Elenę.

To nie pasowało. Nie do Damona. Co takiego Elena mu powiedziała, że tak go rozwścieczyło?

Uwieriała go ta myśl, ale pozostała tylko kolejnym pytaniem bez odpowiedzi - jak wiadomość Stefano.

Zorientował się, że może się poruszyć, byle delikatnie. Rozejrzał się ostrożnie. Zobaczył Elenę leżącą obok niego jak strzaskana lalka. Wszystko go bolało, czuł nieznośne pragnienie. Ona na pewno czuła się tak samo. Musieli dostać się do szpitala.

Podczas gdy rozsądna, pragmatyczna część jego umysłu zastanawiała się nad tym, z tyłu głowy wciąż czaiło się pytanie, które wprawiało go w osłupienie.

Skrzywdził Elenę? Tak jak mnie? Nie wierzę w to. Wiem, że jest chory, zły, zepsuty, ale nigdy nie słyszałem, żeby krzywdził kobietę. A na pewno nie Elenę. Nigdy. Jeżeli mnie potraktuje tak jak Stefano, zabije mnie. Nie mam odporności wampira.

Muszę wydostać stąd Elenę, zanim mnie zabije. Nie mogę jej zostawić z nim samej.

Instynktownie wyczuwał obecność Damona w pobliżu. Potwierdziło się to, gdy usłyszał cichy dźwięk z boku. Odwrócił głowę zbyt gwałtownie i zobaczył tuż przed swoją twarzą rozmazany i chyboczący się czarny but. Rozmazanie i chybotanie musiały być efektem zbyt gwałtownego ruchu. Już po chwili jednak poczuł, że jego twarz wciskana jest w warstwę sosnowych igieł na ziemi.

Butem, który przyciskał mu kark. Wydał z siebie nieartykułowany jęk wściekłości i obiema rękami chwycił nogę Damona, próbując ją odepchnąć. Ale chociaż udało mu się złapać cholewę buta, nie mógł poruszyć jej ani o milimetr. Miał wrażenie, że wampir zamienił się w spiżowy posąg.

Zaczynał tracić oddech, czuł jak jego twarz nabrzmiewa i czerwienieje. Napiął mięśnie i podjął jeszcze jedną desperacką próbę. W końcu odpuścił i tylko czekał.

Damon wsunął but pod jego podbródek i pociągnął do góry.

- Co za szkoda - wycedził pogardliwie. - Wy, ludzie, jesteście tacy słabi. Nie ma z wami żadnej zabawy.

- Stefano... wróci - wykrztusił Matt, próbując spojrzeć wampirowi w twarz, choć nie było to łatwe w jego sytuacji. - Zabije cię.

- Zgadnij co? - Damon przybrał ton towarzyskiej pogawędki. - Masz strasznie rozwaloną twarz z jednej strony. Jakieś zadrapania, wiesz? Trochę upiornie to wygląda.

- Jeżeli nie on, to ja to zrobię. Nie wiem jak, ale zrobię to. Zabiję cię. Przysięgam.

- Uważaj, co obiecujesz.

Damon chwycił go za włosy i potrząsnął nim.

- Stefano - syknął, patrząc Mattowi prosto w twarz i nie pozwalając mu odwrócić wzroku - był silny tylko przez kilka dni, bo pił krew bardzo potężnego ducha, który jeszcze nie przystosował się do ziemskich warunków. Ale spójrz na nią teraz. - Obrócił jego głowę gwałtownie, niemal wrywając mu włosy. - Też mi duch. Leży na ziemi. Moc wróciła do prawowitego właściciela. Rozumiesz? Rozumiesz, chłopcze?

Matt wbijał wzrok w Elenę.

- Jak mogłeś to zrobić? - szepnął.

- Lekcja pogładowa na temat konsekwencji sprzeciwiania się mi. Chyba nie chciałbyś, żebym okazał się seksistą i ją pominął? To już nie te czasy.

Matt nie odpowiedział. Myślał tylko o tym, by uratować Elenę.

- Martwisz się o dziewczynę? Ona tylko udaje nieprzytomną z nadzieją, że zostawię ją w spokoju i zajmę się tobą.

- Kłamiesz.

- Więc zajmę się tobą. Skoro już mowa o równouprawnieniu, wiesz, nie licząc zadrapań i tak dalej, to całkiem przystojny młody człowiek z ciebie.

W pierwszej chwili Matt nie zrozumiał, o czym Damon mówi. Kiedy w końcu do niego dotarło, poczuł, jak krew zamarza w jego żyłach.

- Jako wampir, mogę ocenić to obiektywnie i uczciwie. Jako wampir, robię się też głodny. Jesteś tu ty. Jest tu też ta dziewczyna, która wciąż udaje, że śpi. Jestem pewien, że wiesz, do czego zmierzam.

Wierzę w ciebie, Eleno, pomyślał Matt. On kłamie, zawsze kłamie.

- Wypij moją krew - powiedział.

- Jesteś pewien? - Damon udawał teraz zatroskanego. - Jeżeli będziesz się opierał, będzie strasznie bolało.

- Przestań gadać, pij.

- Jak sobie życzysz. - Wampir przykląkł na jedno kolano, jednocześnie obracając głowę Matta. Chłopak jęknął z bólu. Damon przelożył go sobie przez kolano, tak że głowa opadała do tyłu, a szyja była wyeksponowana. Nigdy wcześniej Matt nie czuł się tak bezradny i bezbronny.

- Zawsze możesz zmienić zdanie. Matt zamknął oczy, milcząc uparcie.

Niemniej w ostatniej chwili, gdy Damon nachylał się już, kierując kły ku jego szyi, dłoń Matta niemal mimo jego woli, poza jakąkolwiek kontrolą, zwinęła się w pięść i nagle niespodziewanie uderzyła w skroń Damona. Wampir jednak - szybki jak kobra - podniósł się i bez trudu zatrzymał cios otwartą dłonią. Zaciśnął ją na pięści Matta, prawie łamiąc mu palce. Następnie pochylił się ponownie, ostrymi jak brzytwa kłami otworzył żyłę i zaczął łapczywie pić ciekącą krew.

Elena - przytomna, ale niezdolna się poruszyć ani nawet wydać dźwięku czy obrócić głowy - musiała słuchać

rozmowy, a potem jęku Matta, gdy opierał się do końca, nie chcąc oddać wampirowi swojej krwi, swojego życia.

W jej głowie pojawiła się jeszcze jedna myśl. Choć już na skraju przytomności, omal nie zemdląła ze strachu.

ROZDZIAŁ 9

Linie mocy. Stefano wspominał o nich, a teraz, kiedy wciąż znajdowała się pod wpływem świata duchów, widziała je wyraźnie. Używając resztek mocy, która jej pozostała, spojrzała na ziemię.

To właśnie sprawiło, że omal nie zemdląła ze strachu. Gdziekolwiek spojrzała, wszędzie krzyżowały się linie biegnące z różnych kierunków. Grubsze, bijące fosforescencyjnym chłodem, średnie o matowym połysku grzybów w piwnicy i te najcieńsze, jakby doskonale proste pęknięcia na powierzchni świata. Wyglądały jak żyły i tętnice albo nerwy pod skórą gigantycznego zwierzęcia.

Nie dziwnego, że polana wydawała się żywa. Elena leżała w miejscu, gdzie krzyżowały się linie mocy. A jeśli na cmentarzu było jeszcze gorzej, to nie potrafiła sobie tego nawet wyobrazić.

Jeżeli Damon znalazł metodę, żeby podłączyć się do tej sieci, stawało się zrozumiałe, dlaczego wydawał się tak odmieniony, bezlitosny niepokonany. Od chwili, kiedy zostawił ją, żeby zaspokoić głód krwią Matta, próbowała nie myśleć o upokorzeniu, jakiego doznała. Przestała w końcu, aby poszukać sposobu na wykorzystanie mocy, który czaiła się tuż pod gruntem. Musi istnieć jakiś sposób.

Nie widziała zbyt dobrze, wszystko wydawało się jej szare i niewyraźne. W końcu uświadomiła sobie, że to nie z powodu jej osłabienia, ale dlatego że robi się ciemno. Zapadający zmierzch przykrywał polanę głęboką ciemnością.

Znowu spróbowała się podnieść, tym razem się udało. Niemal natychmiast ktoś wyciągnął do niej dłoń. Odruchowo chwyciła ją i pozwoliła postawić się na nogi.

Stanęła twarzą w twarz z Damonem czy cokolwiek to było, co posługiwało się jego ciałem. Pomimo mroku nie zdjął ciemnych okularów.

- Teraz - powiedziała istota w okularach. - Pójdiesz ze mną.

Było już niemal całkiem ciemno i znajdowali się na polanie, która była żywym stworzeniem.

To miejsce było nienaturalne, chore. Elena bała się go bardziej niż jakiegokolwiek osoby czy zwierzęcia. Emanowało wrogością - nie mogła tego nie czuć.

Nie mogła też przestać myśleć, i to myśleć jasno.

Potwornie bała się o Matta; obawiała się, że Damon mógł odebrać mu za dużo krwi albo zbyt mocno go poturbować; mógł go zabić.

Bała się też o siebie. Nie wiedziała, jaki wpływ to miejsce mogło mieć na Damona - jeżeli ta istota w ogóle miała z nim coś wspólnego poza wyglądem. Las wokół mógł co najwyżej skrzywdzić wampira. Czy prawdziwy Damon, ukryty wewnątrz tej istoty - o ile tam był - został skrzywdzony? Jeżeli rozumie, co się dzieje, czy potrafi oddzielić swoje cierpienie od gniewu na Stefano?

Nie wiedziała tego. Pamiętała za to wzrok Damona, gdy Stefano kazał mu wynosić się z pensjonatu. Miała też świadomość, że w Starym Lesie są istoty, malaki, które mogą opanować czyjś umysł. Bała się, naprawdę bała się, że jeden z nich może sterować Damonem, intensyfikując jego najmroczniejsze żądze, aż przerodziły się w coś potwornego, coś do czego sam nie byłby zdolny nawet w najgorszych chwilach.

Ale jak mogła się upewnić? Jak się przekonać, czy poza malakami jest jeszcze ktoś lub coś, co nimi kieruje? Miała przeczucie, że tak właśnie jest,

że Damon może być zupełnie nieświadomy tego, co robi jego ciało. A może tylko chciałyby, żeby tak było.

Wyczuwała wokół siebie obecność mnóstwa małych, złych istot. Czują, że otaczają polanę - dziwne, podobne do insektów stworzenia takie jak to, które zaatakowało Matta. Były podekscytowane, ich wirujące macki wydawały odgłos podobny do śmigła helikoptera.

Czy wpływały w tej chwili na Damona? Na pewno nigdy wcześniej nie skrzywdził żadnego z ludzi, których znała, w taki sposób jak dzisiaj. Muszę zabrać stąd nas troje, pomyślała. To miejsce jest zatrute, zakażone. Nagle zateęskniła za Stefano. On wiedziałby, co robić.

Odwróciła się powoli, by spojrzeć na Damona.

- Czy mogę wezwać kogoś, żeby pomógł Mattowi? Nie chcę go tu zostawiać. Obawiam się, że one go dorwą. - Chciała, żeby dowiedział się, że ona też wie o obecności malaków ukrytych wśród krzewów i drzew.

Damon zawahał się; chyba rozważał tę kwestię. W końcu pokręcił głową.

- Nie chcemy dawać im zbyt wielu wskazówek co do twojej lokalizacji - powiedział z uśmiechem. - To będzie zresztą ciekawy eksperyment zobaczyć, czy malaki go dopadną i w jaki sposób.

- Nie dla mnie - odpowiedziała Elena. - Matt to mój przyjaciel.

- Niemniej zostawimy go tutaj. Nie ufam ci nawet na tyle, żeby samemu przekazać wiadomość Bonnie lub Meredith.

Elena milczała. Skądinąd słusznie jej nie ufał, bo razem z Meredith i Bonnie opracowały wyrafinowany kod, wykorzystujący najbardziej niewinnie brzmiące frazy, gdy tylko dowiedziały się, że Damon jej szuka. To było tak dawno, jakby w innym życiu - w istocie to było w innym życiu - ale wciąż pamiętała ten kod.

W milczeniu podążyła za Damonem do samochodu.

Była odpowiedzialna za Matta.

- Widzę, że tym razem postanowiłaś nie dyskutować. Ciekawe, co knujesz.

- Nic takiego. Myślę tylko, że moglibyśmy już przejść do rzeczy, o ile tylko powiesz mi o co chodzi - odezwała się śmieiej, niż się spodziewała.

- To już zależy od ciebie. - Mijając Matta, Damon kopnął go w zębra. Przechadzał się teraz w kółko po polanie, która wydawała się znacznie mniejsza niż wcześniej. Elena zrobiła kilka kroków w stronę Matta i potknęła się. Nie wiedziała, jak to się stało; może po prostu zwierzę będące

polaną odchrząknęło. A może igły sosnowe okazały się bardziej śliskie, niż myślała.

W każdym razie w jednej chwili szła w stronę Matta, a już w kolejnej upadła na ziemię.

Upadała, ściśle rzecz biorąc, bo w ostatnim momencie, jak zwykle zwinnie i bez wysiłku, złapał ją Damon.

- Dziękuję - odpowiedziała odruchowo, jak dobrze wychowana młoda dama.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Tak, pomyślała. Dosłownie. I nic innego nie ma znaczenia.

Zauważyła, że zmierzają teraz w stronę jej samochodu.

- O nie, nie ma mowy - zaprotestowała.

- O tak, jeżeli będę miał taki kaprys. Chyba że chcesz jeszcze raz zobaczyć, jak twój przyjaciel Matt cierpi. Obawiam się jednak, że jego serce może w końcu tego nie wytrzymać.

- Damon - wyrwała się z jego ramion i stanęła o własnych siłach. - Nie rozumiem. To nie jest do ciebie podobne. Weź, co tylko chcesz, i odejdz.

Popatrzył na nią.

- Właśnie zamierzałem to zrobić.

- Nie musisz - bardzo się starała, ale nie potrafiła mówić bez drżenia w głosie - nigdzie mnie zabierać, żeby wypić moją krew. A Matt nic nie zobaczy, jest nieprzytomny.

Na długą chwilę na polanie zapadła cisza. Absolutna cisza. Nocne ptaki i świerszcze zamilkły. Elena poczuła się, jakby jechała kolejką górską, która nagle zanurkowała gwałtownie w dół, podczas gdy jej żołądek i serce zostały jeszcze u góry. W końcu Damon powiedział to wprost.

- Chcę ciebie. Wyłącznie ciebie.

Elena próbowała się opanować i zachować jasność myśli pomimo mgły, która wydawała się przykrywać jej umysł.

- Wiesz, że to niemożliwe.

- Wiem, że było to możliwe dla Stefano. Kiedy byłeś z nim, nie myślałaś o niczym innym. Nie widziałaś, nie słyszałaś, nie czułaś niczego poza nim.

Elena dostała gęsiej skórki.

- Damon. - Mówiła bardzo ostrożnie, czując, że jej głos zaraz się załamie. - Czy zrobiłeś coś Stefano?

- Ależ dlaczego miałbym chcieć zrobić coś takiego?

- Oboje wiemy dlaczego.

- Czy masz na myśli - zaczął Damon spokojnie, ale jego ton stawał się coraz bardziej stanowczy, gdy złapał ją za ramiona - że mógłbym zrobić to po to, żebyś nie widziała nic poza mną, nie słyszała nic poza mną, nie myślała o niczym poza mną?

- Zdejmij okulary, Damon - odpowiedziała Elena, wciąż powoli, wciąż opanowując przerażenie.

Damon rozejrzył się, jakby chciał się upewnić, że żaden promień słońca nie przebije się już przez mrok, który owładnął polaną. Zdjął okulary

Elena zobaczyła oczy tak czarne, że nie dało się odróżnić źrenicy od tęczówki. Skupiła wszystkie swoje zmysły na twarzy Damona, na jego minie, na mocy krążącej między nią a nim.

Jego oczy wciąż były czarne jak dno niezbadanej jaskini. Żadnej czerwieni. Ale tym razem miał czas, żeby się przygotować, żeby ukryć przed nią to, co miał do ukrycia.

Wierzę w to, co widziałam wcześniej, pomyślała Elena.

- Damon, zróbę wszystko, wszystko, co chcesz. Ale musisz mi powiedzieć. Czy zrobiłeś coś Stefano?

- Stefano wciąż był nabuzowany mocą z twojej krwi, kiedy cię opuszczał - przypomniał jej. Zanim zdążyła zaprzeczyć, ciągnął dalej. - Jeżeli mam odpowiedzieć szczerze na twoje pytanie, to nie, nie wiem, gdzie on jest. Masz na to moje słowo. Ale w każdym razie prawdą jest to, co myślałaś wcześniej. Jestem tym jedynym, Eleno. Jedynym, którego nie udało ci się przejrzeć i opanować. Jedynym, którym nie potrafisz manipulować. Intrygujące, prawda?

Pomimo strachu wpadła w gniew.

- Więc dlaczego krzywdzisz Matta? To tylko przyjaciel. Co on ma do tego wszystkiego?

- Tylko przyjaciel. - Damon roześmiał się w ten niesamowity, straszny sposób.

- Cóż, wiem, że on nie miał nic wspólnego z odejściem Stefano - rzuciła Elena.

Było już tak ciemno, że nie mogła rozpoznać wyrazu twarzy Damona.

- A kto powiedział, że ja miałem z tym coś wspólnego? Co nie znaczy, że nie zamierzam wykorzystać tej okazji. - Podniósł Matta. W dłoni trzymał jakiś błyszczący przedmiot.

Jej kluczyki. Z kieszeni spodni. Musiał je wyciągnąć, gdy była nieprzytomna.

Niczego nie potrafiła odgadnąć z jego głosu, poza tym że był zgorzkniały i ponury - jak zawsze, gdy mówił o Stefano.

- Póki wciąż miał w sobie twoją krew, nie mógłbym zabić mojego brata, nawet gdybym próbował, kiedy ostatni raz go widziałem.

- Próbowałeś?

- Prawdę mówiąc, nie. Na to też daję ci słowo.

- I nie wiesz, gdzie jest?

- Nie.

- Co zamierzasz zrobić z Mattem?

- Zabrać go z nami. Jako gwarancję, że będziesz grzeczna.

- O nie - wykrztusiła Elena. - To jest sprawa między nami dwojgiem. Dość już go skrzywdziłeś. - Niemal krzyknęła, gdy Damon nagle znalazł się tuż przy niej. - Zrobię, co chcesz. Wszystko, co chcesz. Ale nie tutaj i nie w obecności Matta.

No dalej, Eleno, pomyślała. Co się stało z twoim urokiem wampa? Kiedyś potrafiłaś uwieść każdego faceta. Z tym sobie nie radzisz tylko dlatego, że jest wampirem?

- Zabierz mnie stąd - powiedziała łagodnie, chwytając go pod ramię. - Ale twoim ferrari. Nie chcę jechać moim samochodem. Zabierz mnie ferrari.

Damon odszedł w stronę swojego auta, otworzył bagażnik i zajrzał do środka. Rzucił okiem na Matta. Było jasne, że wysoki, dobrze zbudowany chłopak się tam nie zmieści, a przynajmniej nie w jednym kawałku.

- Nawet o tym nie myśl. Wsadź go po prostu do jaguara z kluczykami w rękę i zamknij drzwi. Będzie bezpieczny. - Elena modliła się, żeby to była prawda.

Przez chwilę Damon nic nie mówił, po czym odwrócił się do niej, uśmiechając się tak promiennie, że widziała to pomimo ciemności.

- W porządku - powiedział. Położył Matta na ziemi. -Ale jeżeli spróbujesz uciec, gdy będę przestawiał samochody, przejadę go.

Damonie, Damonie, czy ty nigdy nie zrozumiesz? Ludzie nie robią takich rzeczy przyjaciółom, pomyślała Elena, podczas gdy wampir odstawiał ferrari, żeby wjechać na polanę jaguarem i wsadzić do niego Matta.

- Dobrze - szepnęła zbyt przestraszona, aby na niego spojrzeć. - Czego teraz chcesz?

Damon skłonił się bez słowa, wskazując ręką na swój samochód. Zastanawiała się, co będzie, gdy do niego wsiądzie. Gdyby był każdym

innym napastnikiem - gdyby nie musiała martwić się o Matta - gdyby nie bała się lasu jeszcze bardziej niż Damona...

Zawahała się, po czym wsiadła do ferrari.

Włożyła koszulę, którą podniosła z trawy, ukrywając nią fakt, że nie zapięła pasów. Nie sądziła, żeby Damon kiedykolwiek je zapinał albo zamykał drzwi. Ostrożność do niego nie pasowała. Miała nadzieję, że obecnie inne sprawy zaprzętają jego myśli.

- Szczerze, Damon, dokąd jedziemy? - zapytała, gdy wsiadał.

- Może jednego na drogę? - zaproponował, markując sarkastyczny uśmiech.

Elena spodziewała się czegoś takiego. Siedziała biernie, gdy Damon unosił jej podbródek lekko drżącymi palcami. Zamknęła oczy, czując ukłucie ostrych kłów przebijających jej skórę. Nie otworzyła ich, kiedy wampir przywarł ustami do rozciętej żyły i zaczął łapczywie chleptać. Łatwo było przewidzieć, co Damon rozumiał przez „jednego na drogę”: taką ilość, która oboje ich wystawiała na ryzyko. Ale dopiero, gdy niemal straciła przytomność, poruszyła się niespokojnie.

Pił jeszcze przez kilka sekund, żeby pokazać jej, kto tu rządzi. Potem przerwał, oblizał ze smakiem usta, a jego oczy zajaśniały zza ciemnych okularów, które z powrotem wsunął na nos.

- Doskonała - powiedział. - Niewiarygodna. Jesteś... Tak, powiedz mi, że jestem jak dwudziestoletnia whisky.

W ten sposób zdobędziesz moje serce.

- Czy możemy już jechać? - zapytała z naciskiem. - Jedź ostrożnie. Droga strasznie się wiję - dodała, przypominając sobie styl jazdy Damona.

Osiągnęła taki efekt, na jaki liczyła. Damon wcisnął gaz i ruszyli z ogromną prędkością. Ostre zakręty w Starym Lesie pokonywali szybciej, niż Elena kiedykolwiek sobie wyobrażała. Szybciej niż kiedykolwiek jechała nawet najprostszą drogą.

Ale w końcu to był jej las. Bawiła się tu od dzieciństwa. Na jego skraju mieszkała tylko jedna rodzina - ich dom znajdował się po prawej, po jej stronie. Była gotowa. Najpierw będzie ostry skręt w lewo, a potem kolejny, przy którym zaczyna się podjazd Dunstanów. Tam wyskoczy.

Przy drodze przez Stary Las nie było, oczywiście, chodnika, ale w tej części rosły na poboczu gęste zarośla. Wszystko, co mogła zrobić, to się modlić. Modlić się, żeby nie skręciła karku, gdy upadnie na ziemię. Żeby nie złamała ręki albo nogi, zanim dobiegnie do celu. Żeby Dunstanowie

byli w domu, kiedy zacznie walić do ich drzwi, i żeby posłuchali jej, gdy powie im, aby nie wpuszczali wampira, który ją goni.

Zobaczyła właściwy zakręt. Nie wiedziała, dlaczego Damon - czyjego sobowtór - nie czyta w jej myślach, ale najwidoczniej tego nie robił. Nic nie mówił i wydawało się, że jedynym zabezpieczeniem, żeby nie pozwolić jej wysiąść, jest prędkość.

Kiedy brał zakręt, pociągnęła klamkę i kopnęła w drzwi tak mocno jak mogła. Siła odśrodkowa otworzyła je szeroko i niemal wyszarpnęła nogi Eleny na zewnątrz.

Połowa jej ciała znajdowała się już poza samochodem, gdy Damon sięgnął, żeby ją złapać. W dłoni została mu jednak tylko garść włosów. Przez chwilę myślała, że uda mu się ją zatrzymać przy użyciu samej mocy, nie dotykając jej. Była już na zewnątrz, obracała się w powietrzu, unosząc się pół metra nad ziemią, rozpaczliwie chwytając się krzewów i gałęzi, żeby wytracić prędkość. Magia i fizyka spotkały się. Wciąż przytrzymywana nad ziemią przez moc Damona, zwolniła znacznie, chociaż znalazła się w ten sposób dużo dalej od domu Dunstanów, niż planowała.

Spadła na jakiś krzak, odbiła się, zrobiła, co mogła, żeby obrócić się i upaść na pośladki albo na łopatkę, ale coś się nie udało i pierwsza na ziemi znalazła się jej stopa - Boże! -Elena potknęła się, obróciła, uderzyła kolanem w drzewo -Boże! Boże! - odbiła się od niego i w końcu upadła na prawą rękę z takim impetem, że omal nie wyłamała sobie barku.

Już pierwsze uderzenie odebrało jej dech, po drugim i trzecim myślała, że już go nie odzyska.

Mimo że przez tych kilka sekund świat gwałtownie wirował, jednej rzeczy nie mogła przegapić - samotnego świerku, rosnącego na krawędzi drogi, który zauważyła jakieś trzy metry wcześniej, gdy wyleciała z samochodu. Łzy strumieniami ciekły jej po policzkach, kiedy próbowała oderwać pnącza jakiegoś krzewu, które oplatały jej kostkę. Ale to dobrze. Kilka łez mogło zamglić jej wzrok, przestraszyć ją - tak jak przy poprzednich dwóch atakach bólu - że może zemdleć. Ale znajdowała się na dobrej drodze, widziała świerk i resztki zachodu słońca tuż przed sobą, była w pełni świadoma. Co znaczyło, że jeżeli, patrząc na słońce, skreśli o czterdzieści pięć stopni w prawo, na pewno trafi do domu Dunstanów. Za jakieś dwadzieścia kroków znajdzie podjazd, a potem pole kukurydzy i stodołę, które doprowadzają na miejsce.

Ledwie wyswobodziła się z krzewów, już stała na nogach, wyciągając jeszcze ostatnie gałęzie z włosów. Kierunek obliczyła zupełnie

automatycznie, oglądając się na ścieżkę, którą utorowała w locie, i ślady krwi na gałęziach.

Spojrzała przestraszona na swoje podrapane dłonie - nie mogły aż tak krwawić. I nie krwawiły. Miała jedno kolano prawie obdarte ze skóry i bardzo podrapaną nogę, co było dużo bardziej bolesne. Nawet nie próbując się ruszać, czuła ból przesywający jej ciało jak błyskawica. Krew ciekła również z ramion.

Nie miała jednak czasu, żeby szacować szkody albo zastanawiać się, co stało się z jej barkiem. Usłyszała pisk hamulców. Boże, jaki on jest wolny. Nie, to ja jestem szybka, napędzana bólem i przerażeniem. Biegnij! Rozkazała swoim nogom popędzić przez las. Prawa posłuchała, ale gdy uniosła lewą, a potem postawiła ją, znów się przewróciła. Zobaczyła iskry przed oczami. Miała jednak tak nadwrażliwe zmysły, że upadając, zdążyła zauważyć odpowiedni kij. Przeturlała się raz i drugi, co przyprawiło ją o kolejne parokszymy bólu, i udało jej się go chwycić. Wyglądał, jakby został specjalnie przygotowany do użycia w charakterze kuli. Był odpowiedniej długości, na jednym końcu ostry, na drugim tępy. Wcisnęła go pod lewe ramię i jakoś zmusiła się do wstania. Stanęła, odbijając się na prawej nodze i wspierając na kiju, lewą stopą ledwie dotykając ziemi.

Odwróciła się przy upadku, musiała teraz znów zwrócić się we właściwym kierunku. Spojrzała w stronę ostatnich promieni zachodzącego słońca, skrzyła o czterdzieści pięć stopni w prawo. Dzięki Bogu, że to prawe ramię sobie uszkodziłam, lewym mogę się wesprzeć na kiju, pomyślała. Bez chwili wahania, nie dając Damonowi nawet ułamka sekundy forów, ruszyła przez las.

Przez Stary Las.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy Damon się ocknął, mocował się właśnie z kierownicą ferrari. Jechał wąską drogą, kierując się prosto na zachód słońca. Drzwi pasażera były otwarte na oścież.

Jak zwykle tylko kombinacja błyskawicznego refleksu i perfekcyjnej konstrukcji samochodu pozwoliła mu uniknąć wjechania w jeden z

szerokich, błotnistych rowów po obu stronach drogi. Udało mu się zatrzymać. Nie zjechał jednak na bok; postawił samochód na środku drogi. Słońce zachodziło teraz za jego plecami. Przyglądał się długim cieniem na drodze i próbował odgadnąć, co do diabła się stało.

Czy zasnął za kółkiem? Dlaczego drzwi są otwarte?

Gdy się nad tym zastanawiał, czerwone promienie słońca rozświetliły długą, cienką nić, która, lekko powiewając, zwisała na brzegu szyby w drzwiach pasażera jak pojedyncze włókno pajęczyny.

Wsiadł z samochodu, obszedł go i sięgnął po nią. Gdy obejrzał ją pod słońce, wydawała się całkiem biała, kiedy jednak uniósł ją na de ciemnego lasu, przybrała swój naturalny kolor: złoty.

Był to długi złoty włos.

Elena.

Gdy tylko sobie to uświadomił, wsiadł z powrotem do samochodu i zaczął cofać. Coś wyciągnęło Elenę z jego samochodu, nie zostawiając żadnego śladu, nawet jednego zadrapania. Co to mogło być?

Skąd w ogóle wzięła się w jego samochodzie? Dlaczego tego nie pamięta? Czy zostali zaatakowani...?

Kiedy cofnął się o kilkanaście metrów, wszystko stało się jasne. Zgniecione zarośla po prawej stronie drogi nie pozostawiały wątpliwości. Z jakiegoś powodu Elena była tak wystraszona, że wyskoczyła z samochodu. Albo coś ją z niego wyciągnęło. Damon miał wrażenie, że jego skóra paruje. Wiedział, że w całym lesie są tylko dwie istoty, które mogły być za to odpowiedzialne.

Wysondował najbliższe otoczenie, posyłając wokół siebie niewielki krąg mocy, tak słaby, że powinien być niezauważalny.

Omam znowu nie stracił panowania nad kierownicą. Do diabła! To, co miało być niewinną sondą, okazało się niewyobrażalnie potężną eksplozją o wielkim zasięgu, która przedarła się przez Stary Las, przez Fell's Church i jego okolice, aby wygasnąć kilkaset kilometrów dalej. Blisko była tak silna, że zabiła kilka ptaków w locie.

Moc? Nie był wampirem, ale Wcieloną Śmiercią. Pomyślał przez moment, że powinien zatrzymać się i poczekać, aż się uspokoi. Skąd się wzięła taka moc?

Stefano mógłby się zatrzymać, zawahać, zastanowić. Damon uśmiechnął się tylko gniewnie, zgasił silnik i rozesał we wszystkich kierunkach tysiące małych - tym razem naprawdę małych - sond, nastawionych na znalezienie podobnej do lisa istoty ukrywającej się w Starym Lesie.

Po ułamku sekundy miał już trafienie.

Tam. Pod krzakiem świecznicy, jeżeli się nie mylił - pod jakimś krzakiem w każdym razie, mniejsza o nazwę. Shinichi wiedział, że Damon już się zbliża.

Dobrze. Damon skierował w niego uderzenie mocy, formując *kekkaï*, niewidzialną barierę z lin, które zaciskał powoli, mocno, wokół szamoczącego się zwierzęcia. Shinichi odpowiedział na ten atak z morderczą siłą, ale bezskutecznie. Damon użył *kekkaï*, by podnieść go i następnie uderzyć nim o ziemię. Powtórzył to kilka razy, aż w końcu Shinichi przestał się szarpać i zaczął udawać martwego. To usatysfakcjonowało Damona. Uważał, że w takiej pozycji Shinichi wygląda najlepiej, chociaż nie jest już tak zabawny.

W końcu musiał zjechać na pobocze i pobiec szybko w kierunku zarośli, gdzie Shinichi zmagał się z pułapką, próbując przybrać ludzką postać.

Stojąc w niewielkiej odległości, ze zmrużonymi oczami i skrzyżowanymi ramionami, Damon przyglądał się przez chwilę jego wysiłkom. Potem zluzował więzy na tyle, żeby umożliwić mu przemianę.

W tej samej chwili, w której Shinichi stał się człowiekiem, dłonie Damona zacisnęły się na jego gardle.

- Gdzie jest Elena, kono bakayaroul - Przez tyle stuleci wampirzego życia można nauczyć się wielu przekleństw. Damon najchętniej używał tych, które były w ojczystym języku ofiary. Wyzywał Shinichiego na wszelkie sposoby, jakie przyszły mu do głowy, podczas gdy ten wciąż się szarpał i telepatycznie wzywał swoją siostrę. Damon miał coś do powiedzenia na ten temat po włosku. Włosi uważali chowanie się za plecami swojej młodszej siostry za coś... cóż, godnego prawdziwego potoku wyrafinowanych wyzwisk.

Wyczuł, że kolejna podobna do lisa istota szarżuje na niego. Wiedział, że nic nie powstrzyma Misao przed zabiciem go, jeżeli tylko jej się uda. Przybrała swoją prawdziwą postać kitsune: tej rudawej istoty, którą próbował przejechać, gdy był z Damaris. Lis, tak, ale lis z dwoma, trzema... w sumie sześcioma ogonami. Te dodatkowe były zwykle niewidzialne, jak zauważył, również ją zamykając w *kekkaï*. Ale Misao była gotowa je pokazać, gotowa użyć wszelkich swoich sił, by uratować brata.

Damon na razie zadowolił się uwięzieniem jej - wciąż daremnie próbowała się uwolnić - i zwrócił się do Shinichiego.

- Twoja siostrzyczka walczy lepiej od ciebie, bakayarou. A teraz oddaj mi Elenę.

Shinichi błyskawicznie zmienił postać i skoczył Dantonowi do gardła, szczerząc ostre, białe zęby. Obaj byli zbyt blisko, zbyt nabuzowani testosteronem - a Damon swoją nową mocą - żeby odpuścić.

Damon poczuł zadraśnięcie kłów na szyi, zanim zdążył znów złapać lisa za gardło. Tym razem Shinichi pokazał wszystkie swoje ogony, układając je w szeroki wachlarz. Damon nie zamierzał ich jednak liczyć.

Zamiast tego przydepnął je ciężkim butem i szarpnął w górę. Misao, widząc to, wrzasnęła z wściekłości i bólu. Shinichi wyginał się i rzeził, wbijając spojrzenie złotych oczu w Damona. Jeszcze chwila i jego kręgosłup pęknie.

- Nie mam nic przeciwko - powiedział Damon najbardziej przymiłny tonem, na jaki było go stać. - Jestem pewien, że Misao wie wszystko to, co ty. Szkoda, że nie zobaczysz, jak ona umiera.

Shinichi drżał z wściekłości. Wydawał się gotowy umrzeć i skazać Misao na łaskę wampira, byle tylko nie musieć się poddać. Nagle jednak jego oczy zgasły, a ciało stało się bezwładne. W głowie Damona pojawiły się słowa:

...boli... nie mogę... myśleć...

Damon spojrzał na niego surowo. Stefano w tej chwili poluzowałby uchwyt, żeby biedny lisek mógł się zastanowić.

Damon jednak na krótką chwilę pociągnął jeszcze mocniej, po czym przywrócił poprzedni stan.

- Czy tak lepiej? - zapytał z troską. - Czy słodki mały lisek może już myśleć?

Ty... draniu...

Damon z trudem opanował furję, przypominając sobie, jaka jest przyczyna tej awantury.

- Co się stało z Eleną? Jej ślad prowadzi do tamtego drzewa. Czy jest w nim? Masz kilka sekund życia. Mów.

- Mów - dorzucił drugi głos. Damon obejrzał się szybko na Misao. Zostawił jej tyle swobody, że zdołała przybrać ludzki kształt. Przyjął to do wiadomości. Nie robiło mu to zresztą żadnej różnicy.

Była drobną, szczupłą dziewczyną. Wyglądała jak każda inna japońska licealistka, tyle że miała włosy całkiem jak jej brat - czarne z czerwonymi, ognistymi końcówkami. Czerwień Misao była jednak nieco jaśniejsza - prawdziwy szkarłat. Grzywka opadała jej na oczy, poza tym włosy sięgały do ramion. Co zaskakujące, jedyną reakcją Damona na widok tej

demonicznej dziewczynki była myśl o ogniu, niebezpieczeństwie i oszustwie.

Mogła wpaść w pułapkę, telepatycznie powiedział Shinichi.

Pułapkę? Damon zmarszczył brwi. Jaką pułapkę?

Pokażę ci, odpowiedział wymijająco Kitsune.

- O, lisek nagle znowu może myśleć. Ale wiesz co? Wcale nie jesteś słodki - szepnął Damon, po czym upuścił go na ziemię. Shinichi poderwał się na nogi, już pod postacią człowieka. Damon uwolnił go na krótką chwilę, wystarczająco długą, by demon spróbował go uderzyć. Uchylił się bez trudu i oddał cios. Shinichi odleciał do tyłu, uderzył plecami w drzewo i się odbił. Opadł na ziemię, oszołomiony. Damon chwycił go, przerzucił sobie przez ramię i ruszył z powrotem do samochodu.

A ja? Misao próbowała stłumić gniew i brzmieć nieszczęśliwie, ale nie do końca jej to wyszło.

- Ty też nie jesteś słodka - odpowiedział Damon.

Zaczynał lubić tę swoją super moc. - Ale jeżeli chodzi ci o to, kiedy będziesz wolna, to wypuszczę cię, gdy odzyskam Elenc. Całą i zdrową, w jednym kawałku.

Gdy odchodził, słyszał za sobą jej przekleństwa. Spieszył się, chcąc zabrać Shinichiego gdziekolwiek musi teraz jechać, zanim Kitsune się ocknie.

Elena liczyła. Jeden krok, drugi krok - wypłatać kij z pnączy - trzy, cztery, pięć. Robiło się coraz ciemniej. Sześć, coś zaplątało się jej we włosach, oj, siedem, osiem, cholera! Przewrócone drzewo. Zbyt wysokie, żeby przejść górą. Musi je obejść. W porządku, z prawej strony. Raz, dwa, trzy, długie drzewo, siedem kroków. Siedem z powrotem, teraz ostro w prawo i do przodu. Te kroki nie przybliżają cię do celu. Więc masz dziewięć. Drzewo leżało zupełnie w poprzek. Boże, jest już całkiem ciemno. Niech będzie jedenaście i...

...upadła. Nie wiedziała, na czym obsunęła się jej prowizoryczna kula. Było zbyt ciemno, żeby się rozglądać. Musiała teraz myśleć o jakichś innych rzeczach, o czymś, co pozwoli jej zapomnieć o piekielnym bólu w lewej nodze. I w prawym ramieniu - na pewno nie pomógł mu upadek, gdy odruchowo próbowała się czegoś złapać. Boże, jak to boli. Całe jej ciało...

Ale musi sprowadzić pomoc. Tylko w ten sposób może ocalić Matta.

Musisz wstać, Eleno. Wstają!

Nic już nie widziała w zupełnej ciemności, ale mniej więcej wiedziała, w którą stronę powinna iść. A jeżeli się myli, to dotrze do drogi i zawróci.

Dwanaście, trzynaście - wciąż liczyła, mówiąc do siebie. Kiedy doszła do dwudziestu, poczuła ulgę. Lada moment dotrze do podjazdu Dunstanów.

Lada moment.

Było całkiem ciemno, ale dokładnie badała ziemię przed sobą, żeby wiedzieć, czy już tam jest. Lada... moment...

Kiedy doliczyła do czterdziestu, wiedziała już, że coś jest nie tak.

Ale jak to możliwe? Za każdym razem, gdy z powodu jakiejś przeszkody musiała skrócić w prawo, potem skrupulatnie skręcała w lewo. A poza tym na jej drodze było tyle rzeczy trudnych do przeoczenia: stodoła, pole kukurydzy, dom. Jak mogła się zgubić? Jak? Była w lesie tylko przez chwilę... przez krótką chwilę w Starym Lesie.

Nawet drzewa się zmieniły. Przy drodze większość stanowiły orzechy. Teraz otaczały ją białe i czerwone dęby i jakieś drzewa iglaste.

Stare dęby, a na ziemi liście i igły, które wygłuszały wszelki odgłos jej kroków.

Cisza... Ale ona potrzebowała pomocy!

- Pani Dunstan! Panie Dunstan! Kristin! Jake! - wykrzykiwała imiona w świat, który robił, co mógł, by stłumić jej wołanie. W ciemności udało jej się zauważyć jakąś dygoczącą szarość, która wydawała się - tak, była mgłą.

- Pani Dunstaaan! Panie Dunstaaan! Kriiiiistiin! Jaaake!

Potrzebowała schronienia; potrzebowała pomocy. Wszystko ją bolało, zwłaszcza lewa noga i prawe ramię. Mogła sobie wyobrazić, jaki widok prezentowała: okryta błotem i liśćmi, które opadały z niej co kilka kroków, z kołtunem włosów, cała zakrwawiona.

Miało to swoje plusy: na pewno nie wyglądała jak Elena Gilbert. Elena Gilbert miała długie jedwabiste włosy, zawsze starannie ułożone albo w równie starannym nieładzie. Elena Gilbert ustanawiała trendy w Fell's Church i na pewno nie pokazałaby się w ubłoconych dżinsach i podartej, za dużej koszuli. Za kogokolwiek uznaliby tę nieszczęsną zabłąkaną dziewczynę, to na pewno nie za Elenę.

Zabłąkana dziewczyna czuła jednak narastający niepokój.

Przez całe życie chodziła po lesie i nigdy nie zdarzyło się, żeby coś wplątało się w jej włosy. Oczywiście, zwykle widziała cokolwiek wokół, ale nie przypominała też sobie, żeby tak często musiała omijać przeszkody.

Teraz wyglądało na to, że drzewa umyślnie opuszczają gałęzie, żeby złapać ją za włosy. Musiała iść powoli i niezdarnie przechylać głowę, żeby tego uniknąć. Co chwila jakieś pnącza owijały się wokół jej nóg.

Co przerażało ją dużo bardziej niż gałęzie we włosach, jakkolwiek bolesne.

Dorastała, bawiąc się w tym lesie. Zawsze dało się tędy chodzić, nie robiąc sobie krzywdy. Ale teraz... co rusz coś wystawało z ziemi, wici i pnącza chwytaly jej kostkę akurat w miejscu, w którym najbardziej bolała. Odrywanie ich, grubych, lepkich, twardych, sprawiało przejmujący ból.

Boję się, pomyślała, ubierając w końcu w słowa wszystkie uczucia, które ogarnęły ją, odkąd weszła do Starego Lasu. Była ubłocona i spocona, miała włosy tak mokre, jakby biegła w deszczu. Nic nie widziała w ciemności. Jej wyobraźnia zaczęła pracować, a w przeciwieństwie do wyobraźni większości ludzi miała dobry materiał do obróbki. Niemal uwierzyła, że chwytają właśnie dłoń wampira. Długo zwlekała, kontemplując ból w kostce i ramieniu, zanim sprawdziła, co to. Oczywiście, gałąź.

Dobra. Zignoruje ból i pójdzie tu, pod to wielkie drzewo, ogromną sosnę z dziuplą tak obszerną, że Bonnie mogłaby wejść do środka. Stanie plecami do niej i pójdzie prosto na zachód. Z powodu chmur nie widziała gwiazd, ale była pewna, że zachód jest po jej lewej stronie. Jeżeli ma rację, wkrótce dotrze do drogi. Jeżeli się myli i pójdzie na północ, znajdzie dom Dunstanów. Jeżeli to południe, prędzej czy później dotrze do kolejnego zakrętu. A jeśli to wschód... cóż, to będzie długi spacer, ale w końcu zaprowadzi ją do strumienia.

Ale najpierw musi zebrać moc, całą moc, której dotąd nieświadomie używała, by stłumić ból i zregenerować mięśnie - zbierze ją i rozświetli to miejsce, żeby zobaczyć stąd drogę albo lepiej dom. To była tylko zwykła ludzka siła, ale wiedziała, jak jej używać. Skupiła moc w jedną białą kulę i wypuściła ją przed siebie, rozglądając się wokół, dopóki nie rozplynęła się w powietrzu.

Drzewa. Drzewa. Drzewa.

Dęby i orzechy, sosny i buki. Żadnego wzniesienia, z którego mogłaby mieć lepszy widok. Wszędzie dookoła tylko drzewa, jakby znalazła się w jakimś upiornym, zaczarowanym lesie, z którego nie ma wyjścia.

Ale znajdzie wyjście. W którymkolwiek kierunku pójdzie, w końcu dotrze do jakichś ludzi. Nawet jeżeli to będzie na wschód. Gdy znajdzie strumień, może iść wzdłuż niego.

Gdyby tylko miała kompas.

Gdyby tylko widziała gwiazdy.

Cała się trzęsała i to nie tylko z zimna. Była ranna i przerażona. Ale musiała o tym zapomnieć. Meredith by nie płakała. Meredith by się nie bała. Meredith miałaby jakiś rozsądny pomysł, jak się stąd wydostać.

Musi uratować Matta.

Zaciskając zęby z bólu, znowu ruszyła. Gdyby miała tylko jedną - którąkolwiek - z tych ran, rozkleiłaby się, szlochając i jęcząc. Ale przy tylu obrażeniach ból z całego ciała stopił się w potworne cierpienie.

Bądź teraz ostrożna. Idź prosto, nie skręcaj. Wybierz jakiś cel na linii wzroku.

Gdyby tylko była jakaś linia wzroku. Ledwie udawało jej się dostrzec najbliższe drzewo. Chyba czerwony dąb. W porządku, idź w jego stronę. Raz - boli! - raz - łzy ciekną po policzkach - raz - jeszcze trochę - raz - dasz radę - raz. Oparła dłoń o pień dębu. W porządku, teraz spójrz przed siebie. Coś szarego, dużego i nieregularnego. Może biały dąb. Raz - boli!

- raz - pomocy! - raz - jak długo jeszcze? - raz - już niedaleko - raz. Jestem. Dotknęła szorstkiej białej kory.

Powtórzyła całą operację z następnym drzewem.

I jeszcze raz. I jeszcze.

I jeszcze.

- Co to jest? - zapytał Damon. Musiał pozwolić Shinichiemu prowadzić, kiedy znowu wysiedli z samochodu, ale wciąż nie zwalniał więzów *kekkaï* i obserwował każdy jego ruch. Nie ufał mu na tyle... nie ufał mu ani trochę. - Co jest za tą barierą? - powtórzył bardziej stanowczo, zaciskając nieco pętlę na szyi Kitsune.

- Nasz mały domek.

- Ale to przypadkiem nie jest pułapka, prawda?

- Jeżeli tak uważasz, dobrze! Wejść sam... - Shinichi przybrał ostatecznie postać pół lisa, pół człowieka: czarno-czerwone włosy sięgały mu do pasa, miał jeden puszysty ogon w tym samym kolorze i dwoje lisich uszu na głowie.

Damon uznał to za całkiem wdzięczną postać, ale co ważniejsze, miał teraz za co pociągnąć Shinichiego. Złapał za ogon.

- Przestań!

- Przestanę, kiedy znajdę Elenę, chyba że umyślnie wciągnąłeś ją w pułapkę. Jeżeli coś jej się stało, zamierzam znaleźć winnego i pokroić go na plastry. Jest już martwy.

- Niezależnie od tego, kto to był?
- Niezależnie od tego.
- Zimno ci? - Shinichi drżał lekko.
- Tylko podziwiam twoją stanowczość. - Zaczął mocniej dygotać. Cały się trząsał. Śmiał się?
- Jeżeli Elena tak zechce, pozwolę mu żyć. Ale w męczarniach. - Damon szarpnął mocniej za ogon. - Idź!

Shinichi zrobił kilka kroków i przed nimi ukazał się uroczy wiejski domek, z kamienną ścieżką prowadzącą pomiędzy szeregami krzewów. Cała weranda ozdobiona była pnączami.

Miejsce było niezwykle malownicze.

Chociaż ból narastał, Elena odzyskiwała nadzieję. Niezależnie od tego, jak bardzo się zgubiła, w końcu musi wyjść z lasu. Uda się jej. Grunt pod jej stopami był twardy. Ani śladu wilgoci. Nie schodził w dół. Więc nie zmierzała w kierunku strumienia. Zmierzała do drogi. Była tego pewna.

Skupiła wzrok na odległym drzewie o gładkiej korze. Dokuśtykała do niego, niemal zapominając o bólu, zagłuszonym nowym uczuciem pewności i nadziei.

Oparła się o wysoki, szary pień. Nagle coś ją zaniepokoiło. Jej skaleczona noga, wisząca w powietrzu, nie dotykająca ziemi. Dlaczego nie obją się boleśnie o drzewo. Zawsze tak się działo, gdy wcześniej opierała się o jakiś pień. Odepchnęła się od niego, odwróciła i - z wrażeniem, że musi to sprawdzić - zebrała całą swoją moc, po czym uwolniła ją w postaci białego płomienia.

Noga nie objąła się o pień, bo trafiła na dziuplę. Wielką dziuplę. Wielką dziuplę w drzewie, od którego zaczęła koślawy marsz.

Przez chwilę stała w kompletnym bezruchu, tracąc moc na podtrzymanie światła. Może to inne drzewo...

Nie. Przyszła z drugiej strony, ale to na pewno było to samo drzewo. Na pniu został strzępek jej włosów. I ślad krwi. A także krwawy ślad na ziemi, tam gdzie stała.

Odeszła od niego, idąc prosto przed siebie. Idąc wciąż prosto przed siebie, wróciła w to samo miejsce.

- Neeeeee!

Pierwszy raz krzyknęła, gdy wyskoczyła z pędzącego samochodu. Zniosła ból, oddychając tylko ciężko. Ale nie płakała ani nie klęła. Teraz miała ochotę robić jedno i drugie.

Może to nie jest to samo drzewo...

Nie, nie, nie!

Może zaraz odzyska moc i przekona się, że to tylko halucynacja...

Nie, nie, nie, nie, nie!

To niemożliwe...

Nie!

Kij wysliznął się spod jej ramienia. Zdażył się już wbić w jej pachę tak mocno, że bolała niemal tak jak inne miejsca. Wszystko ją bolało. Ale najgorsze było to, co działo się w jej głowie. Wyobraziła sobie szklaną kulę, taką, jakie kupuje się na święta, ze sztucznym śniegiem, który pada, gdy się nią potrząśnie. Ale w tej znajdowały się jedynie drzewa. Od góry do dołu i we wszystkie strony: drzewa, skierowane czubkami do środka. A pomiędzy nimi ona, błakając się... dokądkolwiek by poszła, znajdzie tylko kolejne drzewa, bo w świecie, w którym się znalazła, nie ma nic innego.

Ta kula była tylko koszmarem wyobrażeniem, ale rzeczywistość nie wydawała się daleko od niego odbiegać.

W dodatku te drzewa są inteligentne, uświadomiła sobie. Drobne, pełzające pnącza - nawet w tej chwili próbowały zabrać jej kij. Poruszał się, jakby mnóstwo bardzo małych ludzi podawało go sobie z rąk do rąk. Sięgnęła i ledwo udało jej się go chwycić.

Nie przypominała sobie, żeby upadała, ale leżała na ziemi. Czula słodki, ziemisty zapach żywicy. Pnącza dotykały jej, próbowały, smakowały jej ciała. Wplątywały się w jej włosy, żeby nie mogła podnieść głowy. Poczula je na swoich ramionach, na krwawiącym kolanie. Nie zwróciła na to uwagi.

Zacisnęła oczy. Łzy pociekły po jej policzkach. Pnącza pociągnęły za ranną nogę. Odruchowo spróbowała je strząsnąć. Ból obudził ją na chwilę. Muszę dostać się do Matta, pomyślała, ale po chwili znów wszystkie myśli rozplynęły się we mgle. Wciąż czuła ten słodki zapach. Długie wasy pnączy dotknęły jej piersi, objęły ją w pasie.

I zaczęły się zaciskać.

Zanim uświadomiła sobie niebezpieczeństwo, niemal pozbawiły ją tchu. Nie mogła się poruszyć. Gdy wypuszczała powietrze, zaciskały się jeszcze mocniej. Pracowały razem: mnóstwo małych pnączy jak jedna wielka anakonda.

Nie była w stanie się uwolnić. Twarde i sprężyste, nie dawały się przeciąć paznokciami. Wepchnęła dłoń pod kilka z nich i szarpnęła tak mocno jak mogła, wykręcając nadgarstek. W końcu jeden wąż puścił, wydając odgłos pękającej struny i świszcząc w powietrzu.

Pozostałe zacisnęły się jeszcze mocniej.

Z coraz większym trudem łąpała powietrze. Miażdżyły jej klatkę piersiową. Sięgnęły już do ust, prześlizgiwały się po twarzy jak setki małych żmij. W końcu owinięły jej głowę.

Umrę.

Ogarnął ją wielki żal. Dostała szansę na drugie życie -trzecie, jeśli liczyć żywot wampira - i nie wykorzystwała jej. Podążała tylko za własną przyjemnością. Zostawiała Fell's Church w niebezpieczeństwie, a Matta porzucała na pewną śmierć. Nie tylko nie mogła im pomóc, ale miała poddać się i umrzeć tutaj, w Starym Lesie.

Co powinna zrobić? Jaki miała wybór? Współpracować ze złym z nadzieją, że później go pokona? Może. Może jedyne, co trzeba zrobić, to poprosić o pomoc.

Brak powietrza coraz bardziej mącił jej myśli. Nigdy nie uwierzyłaby, że Damon każe jej przeżyć to wszystko, że pozwoli jej umrzeć. Jeszcze kilka dni temu broniła go przed Stefano.

Damon i malaki. Może była jego ofiarą dla nich. Z pewnością żądały wiele.

A może po prostu chciał, żeby błagała o pomoc. Może czeka w ciemności, gdzieś blisko, wpatrując się w nią, w jej myśli, czekając na jedno słowo: „Pomóż”.

Próbowała wykrzesać z siebie resztki mocy. Nie zostało jej wiele, ale po kilku próbach zdołała zapalić mały biały płomień.

Wyobraziła sobie, że światło przenika przez jej czoło. Do jej głowy, do jej wnętrza.

Teraz.

Ostatkiem sił, pokonując ból, pomyślała: Bonnie, Bonnie. Usłysz mnie. Nie było odpowiedzi, ale i tak by jej nie usłyszała.

Bonnie, Matt jest na polanie, na końcu bocznej drogi w Starym Lesie. Może potrzebować krwi albo innej pomocy. Zajmij się nim. W moim samochodzie.

Nie martw się o mnie. Już za późno. Znajdź Matta.

To wszystko, co mogę powiedzieć, pomyślała już do siebie. Miała mgliste, smutne przecucie, że nie udało jej się dotrzeć do Bonnie. Jej płuca pękały. To okropna śmierć. Zrobi jeszcze najwyżej jeden wydech, ale nie zrobi kolejnego wdechu.

Niech cię diabli, Damon.

wszystkie myśli skupiła na wspomnieniu Stefano. Kiedy ją obejmował, kiedy uśmiechał się do niej, kiedy go dotykała.

Zielone oczy, piękne zielone oczy, w kolorze liścia uniesionego pod słońce...

Jego uczciwość, którą jakimś cudem zachował, nieskazitelna ...

Stefano... Kocham cię...

Zawsze cię będę kochać...

Kochałam cię... Kocham...

ROZDZIAŁ 11

Matt nie miał pojęcia, która jest godzina, ale pod drzewami zapadł już zmrok. Leżał w samochodzie Eleny, jakby został wrzucony tam i zapomniany. Bolał go każdy centymetr ciała.

Pierwszą jego myślą po przebudzeniu była Elena. Ale nigdzie nie widział jej białego stanika, a kiedy ją zawołał, najpierw cicho, potem dużo głośniejsze, nie dostał żadnej odpowiedzi.

Wysiadł z samochodu i zaczął przeszukiwać polanę, kuśtykając i od czasu do czasu opadając na czworaki. Damon najwyraźniej zniknął, co podniosło go na duchu, rozświetlając jego umysł wątlm płomykiem nadziei i odwagi. Płomyk zgasł jednak, gdy tylko przekonał się, że nigdzie nie ma Eleny.

Przypomnił sobie o jaguarze. Pospiesznie obszukał kieszenie, ale nie miał kluczyków. Po chwili jednak zauważył, że w jakiś tajemniczy sposób tkwią w stacyjce.

Przez chwilę przeżywał prawdziwe męczarnie, kiedy samochód nie chciał odpalić, a potem oszołomił go blask jego świateł. Zastanowił się krótko, jak zawrócić, jednocześnie uważając, by nie przejechać gdzieś po ciele Eleny. Przegrzebał schowek, wyciągając jakieś papiery i okulary słoneczne. Znalazł też pierścień z lapis-lazułu. Widocznie ktoś trzymał tu jeden na zapas. Wsunął go na palec; nawet pasował.

W końcu dokopał się do latarki, co pozwoliło mu przeszukać polanę tak dokładnie, jak tylko chciał.

Nie ma Eleny.

Ani ferrari.

Damon musiał ją gdzieś zabrać.

W porządku, pójdzie ich śladem. Będzie musiał zostawić samochód Eleny, ale widział już, co te potwory robiły z samochodami, więc nie miało to większego znaczenia.

Musi oszczędzać latarkę. Kto wie, na jak długo wystarczy baterii? Wiedząc, że to daremne, spróbował jednak zadzwonić na komórkę Bonnie, potem do jej domu, w końcu do pensjonatu. Nie było sygnału, chociaż telefon pokazywał kilka kresek zasięgu. Nie było sensu się nad tym zastanawiać -w Starym Lesie nic nie było tak, jak powinno. Nie zastanawiał się też, dlaczego właściwie zadzwonił do Bonnie, skoro to Meredith na pewno zareagowałyby rozsądniej.

Bez trudu znalazł ślad ferrari. Damon wystrzelił z polany jak nietoperz... Matt uśmiechnął się ponuro, kończąc zdanie w myślach.

Najwyraźniej zamierzał opuścić Stary Las. Łatwo było to odkryć - albo Damon jechał zbyt szybko, by do końca panować nad samochodem, albo może szarpał się z Eleną, bo na ostrzejszych zakrętach na poboczu zostały ślady opon.

Matt uważał, by nie nadepnąć na nic, co mogłoby być wskazówką. Być może będzie musiał jeszcze wrócić. Starał się też ignorować odgłosy nocnego życia wokół niego. Wiedział, że malaki czają się gdzieś niedaleko, ale nie pozwalał sobie o nich myśleć.

Nie zadał też sobie pytania, dlaczego właściwie to robi, dlaczego umyślnie naraża się na jeszcze większe niebezpieczeństwo, zamiast wycofać się, wsiąść do jaguara i opuścić Stary Las jak najszybciej. W końcu to nie jego Stefano wyznaczył do opieki nad Eleną.

Ale przecież nie może zaufać niczemu, co mówił Damon.

A poza tym zawsze miał oko na Elenę, nawet przed ich pierwszą randką. W porównaniu z ich obecnymi przeciwnikami może być niezdamny, powolny i słaby, ale będzie walczył aż do końca.

Zapadła już zupełna ciemność. Gdy spojrzął w górę, zobaczył chmury i gdzieś tam gwiazdy. I drzewa nachylające się złowieszczo po obu stronach drogi.

Zbliżał się już do skraju lasu. Dom Dunstanów powinien być już niedaleko. Zapyta ich...

Krew.

W pierwszej chwili umysł podsunął mu absurdalne alternatywne wyjaśnienia, w rodzaju czerwonej farby. Ale to, co zobaczył w świetle latarki na skraju drogi, tam, gdzie skręcała ostro, było krwią. I było jej dużo.

Obchodząc plamy ostrożnie i przyglądając się dokładnie drodze i krzacom przy niej, próbował zrekonstruować przebieg wydarzeń.

Elena wyskoczyła.

Albo Damon wypchnął ją z pędzącego samochodu - ale po wysiłku, jaki włożył w porwanie jej, nie miałyby to za dużo sensu. Oczywiście, mógł już wysączyć z niej całą krew - dłoń Matta odruchowo powędrowała do obolałego gardła - ale w takim razie po co w ogóle zabierał ją do samochodu?

Żeby zabić ją, wyrzucając w biegu? Dostyc głupi pomysł, ale może liczył na to, że jego mali przyjaciele zajmą się ciałem.

Możliwe, ale niezbyt prawdopodobne. A co jest prawdopodobne?

Cóż, dom Dunstanów stał niedaleko, chociaż stąd nie było go widać. A to byłoby w stylu Eleny, wyskoczyć z pędzącego samochodu, gdy brał ostry zakręt. Trzeba było mieć do tego stalowe nerwy, wielką odwagę i irracjonalne zaufanie do losu, żeby liczyć na to, że upadek jej nie zabije.

Powoli przesunął snop światła z latarki nad dużą kępą krzewów zaraz przy drodze.

Mój Boże, zrobiła to. Tak. Wyskoczyła i próbowała się przetoczyć. Miała szczęście, że nie złamała karku. Ale przeleciała niezły kawałek, chwytając się gałęzi i krzewów, żeby się zatrzymać. Dlatego są połamane i powyrywane.

Wszystko to podniosło Matta na duchu. Tak, robił to. Tropił Elenę. Widział jej upadek tak wyraźnie, jakby przy tym był.

Ale potem chyba zahaczyła o ten korzeń, pomyślał, podążając jej śladem. To musiało boleć. A potem upadła tutaj i przetoczyła się jeszcze kawałek. Mnóstwo krwi, musiała się poważnie poobijać.

I co dalej? Nie widział więcej śladów. Co się stało? Czy Damon zawrócił wystarczająco szybko i złapał ją?

Nie, doszedł do wniosku, badając dokładnie grunt. Jest tylko jeden ciąg śladów. Należą do Eleny. Tutaj wstała i musiała się znowu przewrócić - pewnie z powodu obrażeń. Potem znowu się podniosła, ale dalej ślady są dziwne, widać tylko jedną stopę, a zamiast drugiej nieduże wgłębienie.

Kula. Znalazła sobie jakiś kij jako podpórkę. Tak, a to jest ślad nogi, którą ciągnęła po ziemi. Doszła do tego drzewa - dokuśtykała raczej - a potem obeszła je i skierowała się w stronę domu Dunstanów.

Sprytna dziewczyna. Pewnie była teraz nie do poznania, a zresztą co by się stało, gdyby nawet zauważyli podobieństwo między nią a Eleną Gilbert? Mogła być jej kuzynką z Filadelfii.

Więc zrobiła jeden, dwa, trzy... osiem kroków... i stąd już było widać światła Dunstanów. W powietrzu unosił się zapach stajni. Podekscytowany przebiegł resztę drogi, przewracając się kilka razy, co nie pomogło jego obolałemu ciału, ale kierując się stale ku światłu werandy na tyłach domu. Dunstanowie nie należeli do ludzi, którzy mają werandę z przodu.

Dobiegł do drzwi i zaczął w nie walić. Znalazł Elenę. Znalazł ją!

Po dłuższej chwili drzwi się uchyliły. Matt odruchowo wsunął stopę w szparę. Ostrożni ludzie, to dobrze, pomyślał. Tacy nie wpuszczają do domu wampira, po tym jak przybiegła do nich zakrwawiona dziewczyna.

- Tak? Czego pan chce?

- To ja, Matt Honeycutt - powiedział do oka, które wyglądało przez wąską szparę. - Przyszedłem po El... po tę dziewczynę.

- Jaką dziewczynę? - zdziwił się głos z drugiej strony.

- Proszę się nie obawiać. To ja, Jake zna mnie ze szkoły. Kristin też. Przyszedłem, żeby pomóc.

Szczerłość w jego głosie musiała zrobić wrażenie na osobie za drzwiami, bo uchyliła je szerzej. Był to duży, czarnowłosy mężczyzna, w podkoszulku i nieogolony. Za jego plecami widać było salon, a w nim wysoką, szczupłą, kościstą wręcz kobietę. Wyglądała, jakby dopiero przestała płakać. Był tam też Jake, starszy o rok kolega Matta ze szkoły.

- Jake - zwrócił się do niego Matt. Ale chłopak odpowiedział tylko zbolałym spojrzeniem.

- Co się stało? - Matt się przestraszył. - Przed chwilą przybiegła tu dziewczyna, była ranna, ale... ale wpuściliście

ją

- Nie było tu żadnej dziewczyny - zdziwiła się pani Dunstan.

- Na pewno była. Szedłem po jej śladach. Zostawiła ślady, krew, naprawę, prowadziły prawie do państwa drzwi. - Matt nie pozwalał sobie na myślenie, jakby wierzył, że powtarzając fakty na głos, jakoś przywoła Elenę.

- Kolejny kłopot - rzucił Jake, głosem równie zbolałym, jak jego spojrzenie.

Pani Dunstan wydawała się najbardziej zyczliwa dla przybysza.

- Usłyszeliśmy jakiś głos na zewnątrz, ale nikogo nie widzieliśmy. Tymczasem mamy własne kłopoty.

W tej samej chwili do pokoju wpadła Kristin.

Matt miał przerażające wrażenie deja-vu. Była ubrana podobnie jak Tami Bryce. Majtki, tak skąpe, że prawie nic nie zakrywały, powstały chyba przez obcięcie dzinsowych szortów. Miała też top od bikini, ale - Matt pospiesznie odwrócił wzrok - z dwiema dziurami wyciętymi w tych samych miejscach, w których Tami przykleiła sobie kawałki tektury. Cała wysmarowana była brokatem.

Boże! Ile ona ma lat? Dwanaście? Trzynaście? Jak może się zachowywać w ten sposób?

W następnej chwili doznał szoku. Kristin podbiegła i przywarła do niego.

- Kochany Matt! Przyszedłeś do mnie!

Matt odetchnął głęboko, próbując się uspokoić. Tami przywitała go dokładnie tymi samymi słowami. To nie mógł być przypadek.

Starał się zebrać myśli. Zwrócił się do pani Dunstan, która wydawała się najbardziej chętna do pomocy.

- Czy mogę skorzystać z telefonu? Muszę, naprawdę muszę zadzwonić do paru osób.

- Telefon nie działa od wczoraj - warknął pan Dunstan. Nie próbował odciągnąć Kristin od Matta, chociaż wyraźnie nie podobała mu się ta sytuacja. - Pewnie jakieś drzewo się przewróciło i zerwało linię. A wiesz, że komórki tu nie działają.

- Ale... - Umysł Matta pracował na najwyższych obrotach. - Naprawdę chcecie państwo powiedzieć, że żadna młoda dziewczyna nie przyszła tu prosić o pomoc? Blondynka, z niebieskimi oczami? Przysięgam, to nie ja ją skrzywdziłem. Naprawdę chcę jej pomóc.

- Matt? Robię sobie tatuaż, specjalnie dla ciebie. - Wciąż go obejmując, Kristin wyprostowała lewą rękę. Matta przeraziło to, co zobaczył. Najwidoczniej użyła igły albo szpilki, żeby nakłuć sobie przedramię, a potem atramentu do pióra, żeby zrobić sobie dzieciinną wersję więziennego tatuażu. Widać już było koślawe litery MAT oraz smugę tuszu, która przypuszczalnie miała być kolejnym T.

Nic dziwnego, że nie mają ochoty mnie wpuścić, pomyślał. Kristin obejmowała go teraz obiema ramionami, ściskając tak mocno, że z trudem oddychał. Stała na czubkach palców i mówiła coś do niego, szeptała mu do ucha te same sprostowania, co Tami.

Matt wpatrywał się tymczasem w panią Dunstan.

- Przysięgam, że nie widziałem Kristin od prawie roku. Pomagała przy organizacji balu na koniec roku, ale...

Pani Dunstan smutno kiwała głową.

- To nie twoja wina. W ten sam sposób zachowywała się wobec Jake'a. Jej własnego brata. I wobec ojca. Ale mówię ci szczerze, że nie widzieliśmy żadnej dziewczyny. Nikt poza tobą do nas dzisiaj nie pukał.

- Rozumiem. - Oczy Matta zaczęły łzawić. Jego umysł podpowiadał mu, żeby nie dyskutował, tylko spróbował odzyskać dech. - Kristin, nie mogę oddychać...

- Aleja cię kocham, Matt. Nie chcę, żebyś mnie kiedykolwiek zostawił. Zwłaszcza dla tej starej dziwki. Tej starej dziwki z robakami w oczodołach...

Matt znów poczuł, jakby świat wokół niego zatrzęsł się w posadach. Co gorsza, naprawdę nie mógł oddychać. Spojrzał bezradnie na pana Dunstana.

- Nie mogę... oddychać...

Jak trzynastoletnia dziewczynka może być tak silna? Pan Dunstan i Jake musieli razem ją odciągać. Nie, nawet to nie wystarczyło. Obraz przed jego oczami zaczynał zamieniać się w pulsującą szarą plamę. Rozpaczliwie potrzebował powietrza.

Coś chrupnęło. Potem jeszcze raz. Nagle mógł oddychać.

- Nie, Jacob! Już nie! - krzyczała pani Dunstan. - Puściła go, nie bij jej już!

Kiedy Matt znów otworzył oczy, zobaczył pana Dunstana unoszącego pasek. Kristin szlochała.

- Tylko poczekaj! Tylko poczekaj! Będziesz żałował! -piszczala. W końcu uciekła z pokoju.

- Nie wiem, czy to pomoże, czy jeszcze pogorszy sprawę - powiedział Matt, gdy trochę się uspokoił. - Ale Kristin nie jest jedyną dziewczyną, która zachowuje się w ten sposób. Przynajmniej jeszcze jedna...

- Mnie martwi tylko Kristin - stwierdziła pani Dunstan. - A to... coś nie jest moją córką.

Matt skinął głową. Ale musiał teraz zająć się czymś innym. Musiał znaleźć Elenę.

- Jeżeli jakaś blondynka zapuka do drzwi i poprosi o pomoc, czy wpuścicie ją? - zapytał. - Proszę? Ale nie wpuszczajcie żadnych mężczyzn. Nawet mnie, jeżeli nie będziecie chcieli.

Przez chwilę jego oczy i oczy pani Dunstan się spotkały. Zobaczył w jej wzroku zrozumienie. Opuścił dom.

Dobrze, pomyślał, będąc już na zewnątrz, Elena zmierzała tutaj, ale nie dotarła. Spójrzmy jeszcze raz na ślady.

Spojrzał. Pokazały mu, że Elena ledwie o kilka kroków od posiadłości Dunstanów nagle skręciła w prawo i ruszyła w głąb lasu.

Dlaczego? Czy coś ją przestraszyło? Czy może - Matt poczuł jak serce przesuwa mu się do gardła - zwiodło ją i odciągnęło daleko od jakiegokolwiek pomocy?

Jedyne, co mógł zrobić, to ruszyć jej tropem.

ROZDZIAŁ 12

Elena!

Coś ją niepokoiło.

- Elena!

Proszę, żadnego więcej bólu. W tej chwili nic nie czuła, ale pamiętała... nie, nie chce już więcej walczyć o oddech...

- Elena!

Nie... chcę tak zostać. Elena odepchnęła od siebie rzecz, która nie dawała jej spokoju.

- Elena, proszę...

Chciała tylko zasnąć. Na zawsze.

- Niech cię diabli, Shinichi!

Damon uniósł śnieżną kulę z miniaturowym lasem w środku, kiedy Shinichi pokazał, że promieniuje z niej aura Eleny. Wewnątrz rosły dziesiątki świerków, orzechów, sosen i innych drzew - wszystkie wyrastały z idealnie przezroczystej powłoki. Ktokolwiek znalazłby się w środku - zakładając, że ktoś mógłby zostać pomniejszony i umieszczony w tym kloszu - widziałby tylko drzewa ponad sobą, drzewa za sobą, drzewa dookoła i mógłby, idąc prosto przed siebie w dowolnym kierunku, wrócić do punktu wyjścia.

- To tylko zabawka - wyjaśnił Shinichi, obserwując Damona spod przymrużonych powiek. - Dla dzieci. Taka zabawka pułapka.

- Uważasz, że to zabawne? - Damon uderzył kulę o blat stolika w ślicznym domku, który służył rodzeństwu za kryjówkę. Wtedy odkrył, dlaczego zabawka przeznaczona była dla dzieci - nie tłuła się.

Potrzebował chwili, krótkiej chwili, żeby się opanować. Elenie zostały ostatnie sekundy życia. Musiał wyrażać się precyzyjnie.

Wyrzucił z siebie potok słów, głównie po angielsku i zasadniczo bez zbędnych przekleństw i wyzwisk. Nie warto było obrażać Shinichiego. Po prostu zagroził mu - nie, przysiągł - że wypróbuje na nim wszystkie

wymyślne rodzaje tortur, jakie widział w swoim długim życiu, a spotykał w nim ludzi i wampiry o najbardziej spaczonych wyobraźni. W końcu do Shinichiego dotarło, że Damon mówi poważnie, więc przeniósł go do wnętrza kuli.

Elena leżała tuż przed nim, w dużo gorszym stanie niż zakładał nawet w najbardziej ponurych przecuciach. Miała wybity bark, wiele stłuczeń i poharataną goleń.

Przeraziła go wizja zakrwawionej dziewczyny przedzierającej się przez las, ciągnącej za sobą jedną nogę jak ranne zwierzę. Jej włosy były mokre od potu i błota. Majaczyła, mówiła coś do ludzi, których z pewnością tam nie było.

Robiła się sina.

Mimo ogromnych wysiłków udało jej się oderwać dokładnie jedno pnącze. Damon natychmiast zajął się pozostałymi, całymi garściami wrywając je z ziemi i odrzucając daleko. Stawiały opór, wijąc się, próbując oplatać jego dłoń. Elena gwałtownie połknęła powietrze, ale nie odzyskała przytomności. Jeszcze sekunda i udusiłaby się.

Nie była Elena, którą pamiętał. Kiedy ją podnosił, nie czuł oporu, żadnego przyzwolenia, nic. Nie znała go. Majaczyła od gorączki, wycieńczenia i bólu, ale w pewnym momencie, półprzytomna, pocałowała jego dłoń, szepcząc „Znajdź... Matta... znajdź... Matta". Nie wiedziała, kim jest człowiek, który ją niesie - ledwie wiedziała, kim sama jest, ale troszczyła się jedynie o przyjaciela. Pocałunek przepłynął po jego dłoni i ramieniu jak płynne żelazo.

Damon wnikał w jej umysł, próbując odwrócić męczarnie, które czuła, skierować je gdzieś indziej - w noc - ku sobie samemu.

Odwrócił się do Shinichiego.

- Lepiej żebyś znał sposób na uleczenie wszystkich jej ran. Natychmiast - powiedział głosem tak lodowatym jak śnieżna burza.

Uroczy domek otoczony był tymi samymi drzewami, które rosły w kuli. Ogień w kominku, w którym grzebał Shinichi, płonął na fioletowo i zielono.

- Woda zaraz się zagotuje. Napój ją herbatą z tego. - Podał Damonowi poczerńiałą filiżankę - niegdyś z połyskliwego srebra, teraz raczej smutne wspomnienie świetności - i czajniczek pełen pokruszonych liści i innych nieapetycznych rzeczy. - Musi wypić przynajmniej trzy czwarte kubka. Zaśnie i obudzi się prawie jak nowo narodzona.

Szturchnął Damona łokciem w żebra.

- Możesz też dać jej tylko kilka łyków, to uleczy ją częściowo i będzie wiedziała, że to ty decydujesz, czy dostanie więcej. Wiesz... zależnie od tego, na ile będzie skłonna do współpracy.

Damon nie odpowiedział i się odwrócił. Jeżeli jeszcze raz będę musiał na niego spojrzeć, pomyślał, zabiję go. A może mi się jeszcze przydać.

- A jeżeli naprawdę chcesz przyspieszyć leczenie, dodaj trochę swojej krwi. Niektórzy lubią tak robić - dodał Shinichi, a jego głos drżał z podniecenia. - Możesz zobaczyć, ile człowiek jest w stanie znieść, a kiedy już będzie na skraju śmierci, dać mu herbaty i krwi i zacząć od początku. Jeżeli cię zapamięta, co niestety rzadko się zdarza, to zniesie jeszcze więcej, byle tylko nie poddać się bez walki - zachichotał szaleńczo.

Damon odwrócił się, by na niego spojrzeć, i wstrząsnęło nim to, co zobaczył. Shinichi przemienił się w płonący, błyszczący zarys samego siebie, uformowany z drobnych, pulsujących płomieni. Damon o mało nie stracił wzroku - taki zapewne miał być efekt. Chwycił mocno srebrny dzban, jakby puszczając go, mógł postradać rozum.

Może i tak było. Miał w umyśle puste miejsce, w którym nagle pojawiło się wspomnienie szukania Eleny albo Shinichiego. Bo Elena nagle zniknęła, a to mógł sprawić jedynie kitsune.

- Czy tu jest łazienka? - zapytał.

- Jest tu, co tylko chcesz; po prostu zdecyduj, zanim otworzysz drzwi i otwórz je tym kluczem. A teraz... - Przeciągnął się, przymykając oczy. Przesunął dłoń po czarno-czerwonych włosach. - Teraz chyba położę się spać gdzieś w lesie.

- Czy nic innego w życiu nie robisz? - Damon nie próbował pohamować zjadliwego sarkazmu.

- Jeszcze bawię się z Misao. I walczę. I chodzę na turnieje. Turnieje... cóż, musisz kiedyś to zobaczyć.

- Nie, dziękuję. - Damon naprawdę nie chciał nic wiedzieć o rozrywkach lisich demonów.

Shinichi sięgnął po małego kociątka, który wisiał nad ogniem. Zalał wrzątkiem kawałki kory, liści i leśnego poszycia, których pełen był czajniczek.

- To może idź poszukaj jakiegoś legowiska - zasugerował Damon. Nie była to propozycja. Miał już dość tego diabełka, który i tak nie był mu teraz potrzebny, a nie interesowało go zupełnie, jaką szkodę Shinichi może wyrządzić komu innemu. Chciał być tylko sam, z Eleną.

- Pamiętaj, musi wypić wszystko, jeżeli chcesz jeszcze ją zatrzymać. Bez tego nie ma szans na ocalenie jej. - Shinichi nalał herbaty do filiżanki przez gęste sitko. - Lepiej daj jej to, zanim się ocknie.

- Wyniesiesz się stąd wreszcie?

Kiedy Shinichi przeszedł przez portal, uważając, by skrócić we właściwą stronę i trafić do prawdziwego świata, a nie do innej kuli, buzował wściekłością. Miał ochotę wrócić i zmiażdżyć Damona. Chciałby uruchomić malaka w jego głowie i zmusić go do... no, oczywiście, nie do zabicia słodkiej Eleny. Nie całkiem. Shinichiemu bynajmniej nie spieszyło się, by pochować tę piękność.

Ale poza tym tak, postanowił. Wiedział już, co robić. To byłoby wspaniałe patrzeć jak Damon i Elena godzą się, a potem, w noc Festiwalu Wzejścia, wezwać z powrotem potwora. Mógłby trzymać Damona w przekonaniu, że są „sojuznikami”, a potem, w samym środku zabawy, uwolnić malaka. Pokazać, że to on, Shinichi, cały czas panował nad sytuacją.

Ukarałby Elenę na sposoby, których nigdy sobie nie wyobrażała, i zadałby jej śmierć we wspaniałej agonii ręką Damona. Jego ogony zdrząły z podniecenia. Ale teraz niech się śmieją. Zemsta dojrzeje z czasem, a Damona naprawdę trudno kontrolować, gdy się wścieka, jakkolwiek trudno to przyznać.

Bolał go ogon - ten rzeczywisty, na środku - po tym jak Damon dopuścił się aktu niezwykłego okrucieństwa wobec zwierząt. Gdy pochłaniała go taka furia, Shinichi musiał maksymalnie skoncentrować się na jego myślach, by nie stracić nad nim panowania.

Ale w noc Wzejścia Damon będzie spokojny, łagodny. Będzie zadowolony z siebie, skoro z Eleną przygotowują na pewno jakąś absurdalną intrygę, żeby zatrzymać Kitsune.

Cóż to będzie za zabawa.

Elena będzie piękną niewolnicą, dopóki nie umrze.

Kiedy Kitsune odszedł, Damon pozwolił sobie na bardziej naturalne zachowanie. Nie odwracając uwagi od umysłu Eleny, podniósł filiżankę. Skosztował mikstury i odkrył, że smakuje tylko trochę mniej obrzydliwie niż pachnie. Elena jednak nie miała wyboru, nie była zdolna do działania z własnej woli. Powoli przełknęła całą porcję. A potem kilka kropel jego krwi. W tej kwestii też nie miała żadnego wyboru. Po chwili zasnęła.

Damon niespokojnie przechadzał się po pokoju. Miał wspomnienie - bardziej przypominające sen - Eleny próbującej wyskoczyć z pędzącego ferrari, uciekającej... przed czym?

Przed nim?

Dlaczego?

W każdym razie, nie był to najlepszy początek.

Ale nic więcej nie potrafił sobie przypomnieć! Do diabła! Cokolwiek działo się chwilę wcześniej, było dla niego niedostępne. Czy zrobił coś Stefano? Nie, Stefano odszedł. Był z nią ten chłopak, Mutt. Co się stało?

Niech to piekło pochłonie! Musi dowiedzieć się, co się stało, żeby móc wszystko wyjaśnić Elenie, gdy się obudzi. Chciał, żeby mu wierzyła, żeby mu ufała. Nie chciał, żeby była tylko jednorazową przekąską. Pragnął, żeby go wybrała. Żeby przekonała się, o ile lepiej pasuje do niego niż do jego fajtłapowatego brata.

Moja księżniczka ciemności.

To jej przeznaczenie. On będzie jej królem, małżonkiem, czymkolwiek Elena zechce, by był. Kiedy zobaczy wszystko we właściwym świetle, zrozumie, że to nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia, oprócz tego, by byli razem.

Przyjrzał się jej ciału, okrytemu prześcieradłem... nie, nie beznamiętnie - z poczuciem winy. Mój Boże, co by było, gdybym jej nie znalazł? Nie mógł pozbyć się myśli o tym, jak wtedy wyglądała, bezwładna... bez tchu całując jego rękę.

Usiadł i przycisnął palce do skroni. Dlaczego jechała z nim ferrari? Była zła - nie, nie zła. Wściekła, ale też przestraszona. .. bała się... jego. Widział to teraz wyraźnie, tę chwilę, gdy wyskoczyła z samochodu, ale wciąż nie pamiętał niczego, co działo się wcześniej.

Czy tracił zmysły?

Co jej zrobiono? Nie... Zmusił się do porzucenia tej zbyt łatwej myśli i do zadania sobie prawdziwego pytania. Co on jej zrobił? W oczach Eleny, niebieskich, ze złotymi żyłkami, jak lapis-lazuli, łatwo było czytać nawet bez telepatycznych zdolności. Co... on... jej zrobił, czym przeraził ją tak bardzo, że wyskoczyła z pędzącego ferrari, żeby tylko od niego uciec?

Urągał temu delikatnemu ciału. Mutt... Knut... wszystko jedno... .

"wszyscy troje byli razem, a Elena... niech to! Od tamtego momentu aż do jego przebudzenia się za kierownicą wszystko było rozmazaną plamą. Pamiętał, że uratował Bonnie w domu Caroline; spóźnił się na spotkanie o czwartej czterdzieści cztery ze Stefano; ale potem wszystko się rozsypywało. Shinichi, maledicalo! Ten przeklęty lis! Wiedział więcej, niż przyznał się Damonowi.

Zawsze... byłem silniejszy... niż moi wrogowie, pomyślał. Zawsze... utrzymywałem... kontrolę.

Dobiegł go jakiś cichy dźwięk. Natychmiast znalazł się przy Elenie. Miała zamknięte oczy, ale jej rzęsy trzepotały. Budziła się?

Zmusił się do odsunięcia prześcieradła z jej ramienia. Shinichi miał rację. Całe było w zaschniętej krwi, ale poza tym wyczuwał, że Elena odzyskuje siły. Coś jednak było potwornie nie tak... nie, nie mógł w to uwierzyć.

O mało nie krzyknął w akcie frustracji. Cholerny Kitsune zostawił ją z wybitym barkiem.

Nic się nie układało dobrze tej nocy.

- I co teraz? Wezwać Shinichiego?

Nigdy. Nie mógł już na niego patrzeć.

Będzie musiał sam nastawić jej bark. Zwykle trzeba do tego dwóch ludzi, ale co ma zrobić?

Wciąż trzymając pod kontrolą jej myśli i upewniając się, że na pewno się nie obudzi, chwycił jej ramię i zaczął bolesną operację, mocno odciągając kość, aż poczuł luz i usłyszał charakterystyczny trzask oznaczający, że staw wrócił na miejsce. Puścił. Głowa Eleny kiwała się na boki; miała spierzchnięte usta. Nalał jeszcze trochę magicznego naparu Shinichiego do filiżanki, delikatnie uniósł dziewczynę i przystawił brzeg naczynia do jej ust. Na chwilę uwolnił jej umysł. Powoli uniosła prawą rękę, po czym opuściła ją.

Westchnął, uniósł jeszcze trochę jej głowę i przechylił filiżankę tak, by herbata spłynęła do jej gardła. Przełknęła posłusznie. Wszystko to przypominało mu Bonnie, ale Bonnie nie była tak ciężko ranna. Wiedział, że nie może oddać Eleny jej przyjaciółom w takim stanie. Nie w poszarpanym ubraniu, z zaschniętą krwią na rękach i nodze.

Może mógłby coś na to poradzić. Podeszedł do drzwi od łazienki i otworzył je kluczem. Znalazł tam dokładnie to, co sobie wyobraził: czyste, białe pomieszczenie z dużą stertą ręczników czekających na gości na brzegu wanny.

Zmoczył jeden z nich ciepłą wodą. Wiedział, że nie jest dobrym pomysłem rozbieranie Eleny i wkładanie jej do wanny. Na pewno by jej to pomogło, ale gdyby dowiedział się o tym ktokolwiek z jej przyjaciół, wyrwali by mu serce i nadziali je na rożen. Nie musiał nawet się nad tym zastanawiać

- po prostu to wiedział.

Wrócił do Eleny i zaczął delikatnie obmywać jej ramię. Mamrotała coś, kręcąc głową, ale nie przerwał, dopóki nie zmył całej krwi.

Wziął kolejny ręcznik i zajął się kolanem. Było wciąż opuchnięte - Elena nieprędko będzie znowu mogła biegać. Jej goleń zrosła się bez śladu. Shinichi najwyraźniej nie dbał o pieniądze, bo na swojej magicznej herbacie mógłby zbić fortunę.

- Nieco inaczej podchodzimy do życia - powiedział kiedyś Kitsune, wpatrując się w Damona swoimi złotymi oczami.

- Pieniądze nie mają dla nas znaczenia. Co ma? Przerazenie umierającego lotra, który wie, że idzie prosto do piekła.

Lubimy patrzeć, jak się poci, jak próbuje sobie przypomnieć swoje grzechy. Pierwsza łza samotności u dziecka. Uczucia niewiernej żony, gdy mąż zastanie ją z kochankiem. Pierwszy pocałunek i pierwszy... pierwsze doświadczenia dziewczęcia. Brat oddający życie za brata. Rzeczy tego rodzaju.

I jeszcze wiele innych, o których nie należy wspominać w kulturalnej rozmowie, pomyślał Damon. Wiele z nich zakładało ból i cierpienie. Kitsune to emocjonalne pijawki żywiące się przeżyciami śmiertelników, by zapelnąć pustkę własnej duszy.

Mdliło go na myśl o tym, ile bólu musiała znieść Elena, upadając na ziemię po wyskoczeniu z jego samochodu. Musiała spodziewać się śmierci w męczarniach, a jednak wołała to, niż zostać z nim.

Tym razem, zanim przeszedł przez drzwi do łazienki, pomyślał: kuchnia, nowoczesna, z zamrażarką pełną lodu.

Nie rozczarował się. Wszedł do dużej ascetycznej kuchni, z chromowanymi powierzchniami i czarno-białymi kafelkami. W zamrażarce: sześć worków z lodem. Zaniósł trzy do Eleny i położył jeden na jej barku, drugi na kolanie, trzeci na łyde. Potem wrócił do nieskazitelnej kuchni po szklankę wody.

Zmęczona. Tak bardzo zmęczona.

Elena miała wrażenie, że jej ciało jest z ołowiu.

Każda kończyła... każda myśl... obudowana ołowiem.

Na przykład teraz powinna coś robić - albo czegoś nie robić. Ale nie była w stanie skupić się na tej myśli. Była zbyt ciężka. Wszystko było zbyt ciężkie. Nie potrafiła nawet otworzyć oczu.

Coś zgrzytnęło. Ktoś tu było, obok niej, na krześle. Chłodny płyn na jej wargach, tylko kilka kropli, które jednak przekonały ją, by spróbowała sama chwycić szklankę i pić. Przepyszna woda. Potwornie bolało ją ramię,

ale warto było znieść ten ból, żeby tylko się napić. Nie! Ktoś zabrał jej szklankę. Próbowwała ją zatrzymać, ale była zbyt słaba.

Chciała dotknąć swojego ramienia, ale te opiekuńcze dłonie nie pozwoliły jej na to, dopóki nie obmyły jej ręk ciepłą wodą. Potem położyły na jej ramieniu, kolanie i kostce lód i owińczyły ją prześcieradłem jak mumię. Chłód złagodził ból, ale bolało ją jeszcze co innego, głęboko w środku.

Zbyt trudno było o tym myśleć. Kiedy dłonie zabrały lód - trzęsła się już z zimna - znów zapadła w sen.

Damon zajmował się Eleną, po czym ucinął sobie drzemkę; budził się, by znów podać jej wody, herbaty albo lodu i ponownie zasypiał. W doskonale wyposażonej łazience znalazł szczotkę do włosów i grzebień. Jednego był pewien: włosy Eleny nie wyglądały tak źle nigdy w jej życiu - ani wtedy, gdy była martwa. Próbował delikatnie rozczesać je szczotką, ale odkrył, że będzie to dużo trudniejsze, niż się spodziewał. Kiedy szarpnął trochę mocniej, Elena poruszyła się i wymamrotała coś w swoim dziwnym sennym języku.

Czesanie ją obudziło. Nie otwierając oczu, wyjęła szczotkę z jego dłoni. Trafiła na jakiś większy kołtun, zmarszczyła brwi i chwyciła włosy drugą dłonią, żeby sobie pomóc. Damon przyglądał się temu współczująco. Sam zapuszczał długie włosy wiele razy podczas swojego kilkusetletniego życia - kiedy nie mógł postąpić inaczej, i znał to uczucie, gdy wydaje ci się, że przy rozczesywaniu wrywasz je z korzeniami. Już miał odebrać jej szczotkę, kiedy otworzyła oczy.

- Co...? - zapytała, mrugając.

Damon skoncentrował się gotowy, by uśpić ją natychmiast, jeżeli będzie to konieczne. Ale nawet nie próbowała uderzyć go szczotką.

- Co... się stało? - Jednego była pewna: nie podobało jej się to wszystko. Miała już dość budzenia się bez bladego pojęcia, co działo się, kiedy spała.

Kiedy Damon, gotów walczyć lub uciekać, przyglądał się bacznie jej twarzy, powoli przypominała sobie wydarzenia ostatniej doby.

- Damon? - Obrzuciła go spojrzeniem, które pytało: „Czy jestem torturowana, leczona, czy może jesteś tylko bezstronnym widzkiem, który przygląda się cudzemu cierpieniu, popijając koniak?”

- Tutaj podają raczej armaniak. Ale ja nie piję ani jednego, ani drugiego - powiedział. Natychmiast dodał, znosząc wydźwięk tych słów - To nie jest groźba. Przysięgam, Stefano kazał mi się tobą opiekować.

W zasadzie była to prawda. Stefano krzyczał: „Lepiej dopilnuj, żeby nie stało się Elenie, ty dwulicowy bękartcie, albo znajdę jakiś sposób, żeby wrócić i wyrwać ci...” Nie zdążył skończyć, ale Damon zrozumiał przesłanie. Zamierzał traktować swoją misję poważnie.

- Nic już cię nie skrzywdzi, jeżeli pozwolisz mi nad sobą czuwać - dorzucił, sam nie będąc do tego przekonany, skoro cokolwiek wystraszyło ją albo wyciągnęło z samochodu, ewidentnie zrobiło to w jego obecności. Ale to się już nie powtórzy, przysięgał sobie. Ostatnim razem zawałił sprawę, ale od teraz nikt już nie zaatakuje Eleny Gilbert - albo skończy się to jego śmiercią.

Nie próbował czytać w jej myślach, kiedy jednak przez dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy, niemal je usłyszał - równie wyraźne jak tajemnicze: „wiedziałam, miałam rację, to cały czas był ktoś inny”. Za ścianą bólu Eleny wyczuwał zadowolenie.

- Zwichnęłam sobie bark. - Chciała go dotknąć, ale Damon powstrzymał ją.

- Wybiłaś go. Będzie bolał przez jakiś czas.

- Moja kostka... ktoś... Pamiętam, że byłam w lesie, spojrzałam w górę i to byłeś ty. Nie mogłam oddychać, ale zdarłeś ze mnie te pnącza i podniosłeś mnie... - Spojrzała na niego w zdumieniu. - Uratowałeś mnie?

Ostatnie zdanie brzmiało jak pytanie, ale nie było nim. Zastanawiało ją coś innego - coś, co wydawało się niemożliwe. Zaczęła płakać.

Pierwsza łza samotności u dziecka. Uczucia niewiernej żony...

I może również szloch dziewczyny, gdy uświadomi sobie, że jej wróg ocalił ją od śmierci.

Damon zazgrzytał zębami. Myśl o tym, że Shinichi może to wszystko oglądać, rozkoszować się emocjami Eleny, była nie do zniesienia. Shinichi odda Elenie jej wspomnienia, był tego pewien, ale wtedy, kiedy jemu samemu będzie to najbardziej pasowało.

- To był mój obowiązek. Przysięgałem, że będę cię chronił.

- Dziękuję. Nie, proszę, nie odchodź. Naprawdę. Och, czy są tu jakieś chusteczki albo cokolwiek suchego? -Zatrzęsała się od szlochu.

W eleganckiej łazience Damon znalazł pudełko chusteczek. Przyniósł je Elenie.

Odwrócił wzrok, gdy z nich skorzystała, wydmuchując nos raz za razem i wciąż płacząc. Nie było tu żadnego zaczarowanego ani czarodziejskiego ducha, żadnej ponurej wytrawnej wojowniczkii ze złem,

żadnej niebezpiecznej kokietki. Tylko cierpiąca dziewczyna, ranna, płacząca jak dziecko.

Jego brat na pewno wiedziałby, co powiedzieć. Damon nie miał pojęcia, jak ma się zachować. Wiedział tylko, że ktoś odpowie za to życiem. Shinichi przekona się, co to znaczy z nim zadzierać, zwłaszcza gdy chodzi o Elenę.

- Jak się czujesz? - zapytał niezręcznie. Nikt nie mógłby mu zarzucić, że wykorzystuje sytuację, że skrzywdził ją tylko po to, by ją wykorzystać.

Daleś mi swojej krwi - odpowiedziała zdziwiona. Kiedy spojrzął w dół, na podwinięty rękaw, dodała - Nie, po prostu znam to uczucie. Kiedy wróciłam na ziemię jako duch. Stefano dawał mi do picia swoją krew, aż poczułam się... w ten sposób. Bardzo ciepło. Nieprzyjemnie. Odwrócił się do niej.

- Nieprzyjemnie?

- Tutaj, tu jest zbyt... pełno. - Dotknęła szyi. - To chyba jakiś symbiotyczny mechanizm dla ludzi i wampirów mieszkających razem.

- Dla wampira zmieniającego człowieka w drugiego wampira, masz na myśli.

- Tyle że ja się nie zmieniłam, będąc ciągle duchem. Ale potem stałam się znowu człowiekiem. - Odchrząknęła, próbowała uśmiechnąć się żałośnie i wróciła do rozczesywania włosów. - Poprosiłabym, żebyś przyjrzał mi się i upewnił, czy się nie zmieniłam, ale... - Zrobiła bezradny gest.

Damon usiadł. Wyobrażał sobie, jakby to było opiekować się Eleną jako duchem-dzieckiem. Niezwykle pociągała go ta myśl.

- Kiedy mówiłaś o tym nieprzyjemnym uczuciu, czy miałaś na myśli, że powinienem wypić trochę twojej krwi?

Odwróciła wzrok na moment, po czym spojrzała znów na niego.

- Powiedziałaś ci, że jestem wdzięczna. Powiedziałam, że czuję, jakbym miała zbyt pełno... w żyłach. Nie wiem, jak inaczej mogę ci podziękować.

Gdyby nie wielowiekowy trening w panowaniu nad sobą, Damon rzuciłby czymś w ścianę. Nie wiedział, czy ma śmiać się, czy płakać. Ofiarowała mu swoją krew w podziękowaniu za ocalenie jej z niebezpieczeństwa, do którego nie powinien był nigdy dopuścić.

Ale nie był bohaterem. Nie był jak Stefano, który mógłby zrezygnować z tej najwspanialszej nagrody - niezależnie od stanu Eleny.

Pragnął jej.

ROZDZIAŁ 13

Matt darował sobie szukanie wskazówek. O ile mógł się domyślić, coś zmusiło Elenę do omińnięcia domu i stodoły Dunstanów, aż dokuśtykała do miejsca, gdzie znalazł mnóstwo powykręcanych i powyrywanych pnączy. Wyglądały dość niegroźnie, gdy je podniósł, ale przypomniały mu o mackach malaka i bólu, jaki sprawiły.

Z tego miejsca nie prowadziły już żadne ślady w jakimkolwiek kierunku, jakby UFO porwało ją na swój statek.

Odszedł w jedną, potem w drugą stronę, szukając jeszcze jakiegoś tropu, aż w końcu nie mógł już znaleźć miejsca, z którego zniknęła Elena. Zgubił się w Starym Lesie. Gdyby chciał, mógłby sobie wyobrazić, że otaczają go niepokojące dźwięki. Gdyby chciał, mógłby też pomyśleć, że światło latarki nie jest już tak jasne, jak było, ale robi się coraz słabsze...

Cały czas, szukając śladów, zachowywał się tak cicho, jak tylko mógł, na wypadek gdyby miał wpaść na cokolwiek, co niekoniecznie byłoby zadowolone z jego obecności. Teraz jednak coś zaczęło w nim narastać i puchnąć - z minuty na minutę coraz trudniej było mu to powstrzymać.

W końcu wybuchło, zaskakując go tak samo jak potencjalnych słuchaczy, jeżeli tacy byli gdzieś w okolicy. - Ellleeeeeeeeeena!

Od dzieciństwa uczono Matta odmawiać pacierz przed snem. Niewiele poza tym wiedział o religii, ale miał głębokie i szczerze poczucie, że jest Ktoś lub Coś, co troszczy się o ludzi, że w jakiś sposób to wszystko ma sens, że jest na świecie porządek i odpowiedź na każde pytanie.

Przez ostatni rok wiele rzeczy zachwiało tym przekonaniem.

Ale powrót Eleny z zaświatów rozwiął wszelkie jego wątpliwości. Wydawał się dowodzić, że wszystko jest tak, jak wierzył, że jest, jak chciał wierzyć.

Nie oddałbyś nam Eleny tylko na kilka dni, żeby potem znowu ją odebrać? - zastanawiał się, a może raczej modlił. Nie zrobiłbyś tego, prawda?

Nie chciał myśleć o świecie bez Eleny, bez jej energii, jej silnej woli, bez jej szalonych przygód - z których ratowała się zawsze w jeszcze bardziej szalony sposób - cóż, to byłaby zbyt wielka strata. Bez niej wszystko przybrałoby ponure odcienie szarości i brązu. Nie byłoby już ognistej czerwieni ani przebłysków seledynu, modrego błękitu ani żonkili,

nie byłoby już srebra ani złota. Żadnej szczypty złota w bezbrzeźnie niebieskich oczach.

-Elleeeena! Odpowiedz mi! To ja, Matt. Elena! Elleee... Przerwał nagle i zaczął nasłuchiwać. Na moment jego serce stanęło, a ciało zastygło w bezruchu. Po chwili udało mu się rozpoznać słowa.

-Eleena? Maaatt? Gdzie jesteście?

- Bonnie? Bonnie! Tu jestem! - Zwrócił światło latarki w górę, powoli zataczając nim krąg. - Widzisz mnie?

- A ty nas widzisz?

Odwrócił się. I tak! Zobaczył światło latarki, jednej, drugiej, trzeciej!

Trzy latarki! Jego serce zaczęło bić szybciej.

- Idę w waszą stronę - krzyknął. Nie skradał się już. Biegł do nich, potykając się o krzewy i korzenie, ale cały czas wołając - Nie ruszajcie się! Idę do was!

I nagle snopy światła pojawiły się tuż przed nim, oślepiając go, a Bonnie wpadła mu w ramiona. Płakała, co tylko sprawiało, że sytuacja wydawała się bardziej normalna. Dziewczyna szlochała wtulona w jego pierś, a Matt patrzył na Meredith, uśmiechając się niepewnie, i na panią Flowers? To musiała być ona, miała na głowie ten ogrodniczy kapelusz ze sztucznymi kwiatami. Ubrana była w co najmniej siedem lub osiem swetrów.

- Pani Flowers? - zapytał, gdy wreszcie odzyskał głos. -Ale gdzie jest Elena?

W ciszy, która mu odpowiedziała, poczuł nagły spadek napięcia, jakby wszyscy czekali niecierpliwie na wieści, a teraz spuścili głowy w rozczarowaniu.

- Nie widziałyśmy jej - powiedziała cicho Meredith. -Ty z nią byłeś.

- Byłem, tak. Ale potem pojawił się Damon. Skrzywdził ją. - Matt poczuł, jak Bonnie obejmuje go mocniej. - Aż wiła się z bólu. Chyba zamierzał ją zabić. Mnie zresztą też. Zdaje się, że zemdlałem, a kiedy się obudziłem, już ich nie było.

- Zabrał ją? - zapytała z naciskiem Bonnie.

- Tak, ale... nie jestem pewien, co stało się potem. - Z coraz bardziej ponurą miną opowiedział im o tym, co wywnioskował ze śladów w lesie.

Bonnie zadrżała w jego ramionach.

- A potem stały się jeszcze inne dziwne rzeczy - dodał Matt. Jąkając się trochę, wyjaśnił, że chodzi o Kristin, która zachowywała się podobnie do Tami.

- To bardzo, bardzo dziwne — skomentowała Bonnie. - Myślałam, że znam wyjaśnienie, ale Kristin nie miała żadnego kontaktu z pozostałymi dziewczynami.

- Pewnie myślałaś o wiedźmach z Salem, skarbie - wtrąciła pani Flowers. Matt wciąż nie mógł się przyzwyczaić do tego, że starsza pani rozmawia z nimi, i to wypowiadając tyle słów. - Ale tak naprawdę nie wiesz, kogo Kristin spotkała w ciągu ostatnich kilku dni. Albo Jim, zresztą. Dzieci mają w naszych czasach dużo swobody, a on może być, jak to się mówi, nosicielem.

- Poza tym nawet jeżeli to jest opętanie, to może być opętanie zupełnie innego rodzaju - dorzuciła Meredith. - Kristin mieszka w Starym Lesie. Tu jest pełno tych insektów, malaków. Kto wie, czy coś nie stało się jej, kiedy po prostu wyszła z domu? Czy coś na nią czekało?

Bonnie trzęsła się coraz bardziej. Wyłączyli wszystkie latarki oprócz jednej, żeby oszczędzać baterie, więc otaczała ich prawie zupełna ciemność.

- A telepatia? - zwrócił się Matt do pani Flowers. - To znaczy absolutnie nie wierzę, że te dziewczyny z Salem były atakowane przez prawdziwe wiedźmy. Nieszczęśliwe kobiety dostawały ataków hysterii, gdy się spotkały, i w którymś momencie sprawy wymknęły się spod kontroli. Ale dlaczego Kristin przywitała mnie dokładnie tymi samymi słowami co Tamra?

- Może w ogóle się mylimy - odezwała się Bonnie nieco przytłumionym głosem, bo wciąż wciskała twarz w sweter Matta. - Może to wcale nie przypomina historii z Salem. Tam histeria szerzyła się poziomo, rozumiecie? A tutaj może być ktoś na górze, kto rozsyłają, gdzie chce.

Na chwilę zapadła cisza

- Z ust dzieci i niemowląt - wyszeptała pani Flowers.

- Myśli pani, że to prawda? Ale kto to jest, na górze? Kto to wszystko robi? - dopytywała się Meredith. - To nie może być Damon, bo on dwa razy ocalał Bonnie. I mnie też. - Nikt nie zdążył o to zapytać, bo ciągnęła dalej. - Elena była pewna, że coś opętało jego samego. Więc kto to jest?

- Ktoś, kogo jeszcze nie spotkaliśmy. - Słowa Bonnie zabrzmiały złowrogo w ciemnym, strasznym lesie. - I raczej wolelibyśmy nie spotykać. W tym samym momencie, z doskonałym wyczuciem czasu, usłyszeli trzask łamanej gałęzi gdzieś za sobą. Wszyscy odwrócili się jednocześnie.

- Czego naprawdę chcę - mówił Damon do Eleny - to to, żebyś się jakoś rozgrzała. Co znaczy, że albo muszę ugotować ci coś ciepłego, albo włożyć

cię do wanny z gorącą wodą. A biorąc pod uwagę, co stało się ostatnim razem...

- Ja nie sądzę, żebym mogła coś zjeść.

- Daj spokój, to twoja narodowa tradycja. Zupę z jabłek. Ciasto z kurczakiem według przepisu babci?

Zachichotała mimo koszmarnego samopoczucia.

- Ciasto z jabłek i zupę z kurczaka, jeżeli już. Ale nieźle ci poszło jak na początek.

- Więc? Obiecuję, że nic już nie pomyłę.

- Mogłabym spróbować zupy. Ale przede wszystkim napiłabym się zwykłej wody. Proszę.

- Wiem, ale wypijesz za dużo, a to ci może zaszkodzić. Zrobię ci zupy.

- Jest zwykle w takich puszkach z czerwonymi etykietami. Otwierasz za uchwyt na wieczku... - przerwała, gdy Damon odwrócił się do drzwi.

Wiedział, że Elena ma poważne wątpliwości co do szans powodzenia tego planu, ale wiedział też, że wypije wszystko, co nie będzie zbyt obrzydliwe. Pragnienie zmusi ją do tego.

Damon znał się na pragnieniu i jego efektach, o tak.

Kiedy przeszedł przez drzwi, nagle rozległ się głośny, potworny dźwięk, jakby szcęk dwóch wielkich zderzających się ostrzy.

- Damon! — usłyszał cichy głos zza ściany. - Damon, wszystko w porządku? Damon! Odpowiedz!

Zamiast tego odwrócił się, przyjrzał drzwiom, które wyglądały zupełnie normalnie, i otworzył jej. Ewentualny obserwator mógłby być nieco zaskoczony jego zachowaniem, bo włożył klucz do drzwi, które nie były zamknięte na zamek, powiedział „pokój Eleny”, przekręcił klucz i otworzył je.

Szybko podbiegł do łóżka.

Elena leżała na ziemi, zaplątana w prześcieradło i koc. Próbowwała się podnieść, ale twarz wykrzywił jej grymas bólu.

- Co cię zepchnęło z łóżka? - zapytał. Zamierzał zabić Shinichiego powoli.

- Nic. Usłyszałam jakiś straszny odgłos, gdy tylko zamknąłeś drzwi. Chciałam biec do ciebie, ale...

Damon wpatrywał się w nią w zdumieniu. Ta słaba, wycieńczona, ranna dziewczyna chciała ratować jego? Mimo że nie może nawet wstać z łóżka.

- Przepraszam - powiedziała ze łzami w oczach. - Nie mogę się przyzwyczaić do grawitacji. Czy coś ci się stało?

- Nic poważnego - odpowiedział umyślnie szorstkim tonem, odwracając wzrok. - Zrobiłem coś głupiego, wychodząc z pokoju, i dom przypomniał mi o tym.

- O czym ty mówisz?

- O tym kluczu. - Damon uniósł go. Był wyjątkowo starannie wykonany, ze złota, z kółkiem, które pozwalało nosić go jako pierścień.

- Co z nim nie tak?

- Użyłem go niewłaściwie. Ten klucz ma w sobie zaklętą moc Kitsune. Otworzy wszystkie drzwi i zabierze cię w dowolne miejsce, ale działa w ten sposób, że musisz włożyć go do zamka, powiedzieć, gdzie chcesz iść, i przekreślić.

j Zapomniałem to zrobić, wychodząc z pokoju.

Elena nie do końca rozumiała.

- A co jeżeli drzwi nie mają zamka? Większość drzwi od zwykłych pokoi nie ma.

- Ten pasuje do każdego. Można powiedzieć, że tworzy własny zamek. To skarb Kitsune, którego oddanie wymusiłem

na Shinichim, kiedy byłem tak wściekły za to, że cię skrzywdził. Wkrótce będzie chciał go odzyskać. - Damon zmrugał

oczy i uśmiechnął się słabo. - Ciekawe, który z nas go zatrzyma. Widziałem drugi w kuchni, zapasowy.

- Damon, wszystko to bardzo interesujące, ale gdybyś ! pomógł mi podnieść się z podłogi...

Natychmiast to zrobił. Pojawiło się pytanie, czy położyć ją z powrotem na łóżko.

- Wezmę kąpiel - powiedziała. Odpięła guzik w dzinsach i próbowała je ściągnąć.

- Poczekaj! Możesz stracić przytomność i się utopić. ; Połóż się, a ja obiecuję, że cię umyję, tylko zjedz coś najpierw, i - Coraz mniej ufał domowi, w którym się znajdowali.

- Rozbierz się i przykryj prześcieradłem. Zrobię ci fantastyczny masaż - dodał, odwracając się tyłem.

- Damon, nie musisz odwracać wzroku. To coś, czego nie rozumiem, odkąd wróciłam. Tabu nagości. Nie wiem, dlaczego ktoś miałby się wstydzić swojego ciała. Jeżeli Bóg nas stworzył, to stworzył nas bez ubrań,

wszystkich, nie tylko Adama i Ewę. Gdyby uważał, że to takie ważne, czemu nie rodzimy się w pieluchach?

- Tak, to prawda, powiedziałem kiedyś coś takiego francuskiej królowej wdowie - powiedział Damon, zdecydowany, że Elena powinna się rozebrać, póki on wbija wzrok w drewniane panele na ścianie. - Mówiłem, że skoro Bóg jest wszechwiedzący i wszechmocny, to z pewnością zna nasze przeznaczenie, zanim my je poznamy, więc dlaczego sprawiedliwi mają rodzić się tak samo grzesznie nadzy jak złoczyńcy?

- I co na to odpowiedziała?

- Nic. Ale zachichotała i trzy razy dotknęła wachlarzem wierzchu mojej dłoni, co jak się później dowiedziałem, oznaczało zaproszenie na schadzkę. Niestety, miałem inne zobowiązania. Czy leżysz już na łóżku?

- Tak, pod prześcieradłem - odpowiedziała zmęczonym głosem. - Skoro to była królowa wdowa, to chyba nic nie straciłeś. Czy to nie są zwykle stare matrony?

- Nie, Anna Austriaczka, królowa Francji, do końca życia zachowała niezwykłą urodę. Była jedyną rudowłosą kobietą...

Damon urwał, rozpaczliwie szukając słów, gdy odwrócił się z powrotem w stronę łóżka. Elena zrobiła tak, jak prosił. Nie spodziewał się jednak, że tak bardzo będzie przypominać Afrodytę wyłaniającą się z morskich fal. Pomarszczone białe prześcieradło tylko podkreślało mleczną i gładką biel jej skóry. Potrzebowała kąpieli, z pewnością, ale zaparło mu oddech na myśl o tym, że pod tym cienkim okryciem jest naga.

Zwinęła ubrania i rzuciła je w najdalszy róg pokoju. Nie winił jej za to.

Nie dał sobie czasu na zastanawianie się. Wyciągnął tylko dłonie.

- Bulion z kurczaka, z cytryną i macierzanką, gorący, w miseczce. I olej z kwiatu śliwy, bardzo ciepły, w fiolce.

Kiedy Elena zjadła posłusznie zupę i położyła się z powrotem, zaczął delikatnie masować ją i nacierać olejkami. Kwiat śliwy zawsze jest dobry na początek. Tłumi ból i jest dobrą bazą dla innych, bardziej egzotycznych olejków, których zamierzał użyć.

Pod pewnymi względami było to znacznie lepsze niż włożenie jej do wanny albo jacuzzi. Wiedział, gdzie miała rany; mógł podgrzać olejek do odpowiedniej temperatury. Inaczej niż mechaniczny masaż wodny w jacuzzi, Damon mógł ominąć najbardziej bolesne miejsca.

Zaczął od włosów, namaszczając je niewielką ilością olejku, żeby łatwiej się rozczesywały. Połyskiwały teraz jak złoto - jak miód na tle mlecznej skóry. Potem zajął się jej twarzą: delikatnie głaszcząc kciukami

czoło, aż zupełnie się rozluźniła i uspokoiła. Następnie przyszedł czas na powolne, okrężne ruchy palców na skroni, z najlżejszym tylko naciskiem. Wiedział, że naciskając zbyt mocno, mógłby ją uspić.

Dalej przeszedł do barków, ramion i dłoni, pokonując wszelkie napięcie i ból delikatnymi, starannymi ruchami i doskonale dobranymi olejkami, aż Elena rozluźniła się tak bardzo, że przemieniła się pod prześcieradłem w pozbawioną kości, miękką, ciepłą i lśniąca istotę, nie stawiającą oporu.

Uśmiechnął się tym swoim jasnym i krótkim jak błyskawica uśmiechem, masując jej stopy. Uśmiech szybko stał się jednak ironiczny: mógłby mieć teraz wszystko, czego chciał. Elena nie byłaby w stanie odmówić niczego. Nie spodziewał się jednak, co to przekłete prześcieradło zrobi z nim samym. Każdy wie, że strzęp okrycia, choćby najlichszego, przyciąga uwagę do zakazanych rejonów bardziej niż nagość. A masowanie jej ciała centymetr po centymetrze tylko potęgowało ten efekt.

- Czy nie opowiesz do końca tej historii o Annie Austriaczce? - zapytała sennie Elena po długiej chwili milczenia. - Powiedziałeś, że była jedyną rudowłosą kobietą...

- ...która, tak, która do końca życia nie osiwiła i nie musiała farbować włosów - wymamrotał Damon. - Tak. Podobno kardynał Richelieu był jej kochankiem.

- Czy to nie ten zły kardynał z Trzech muszkieterów"?

- Tak, ale chyba nie był aż tak zły, jak go tam przedstawiono. Na pewno był zręcznym politykiem. I, jak mówią niektórzy, prawdziwym ojcem Ludwika... Obróć się.

- To dziwne imię dla króla.

- Hm?

- Ludwiku, obróć się - odpowiedziała, przewracając się na brzuch i pokazując przy tym nagie udo, podczas gdy Damon rozglądał się po pokoju.

- To zależy od tego, jakie zwyczaje panują w danym kraju - powiedział dość bezmyślnie. Przed oczami miał wciąż tylko widok jej białego uda wystającego spod prześcieradła.

- Co?

- Co?

- Pytałam...

- Czy jest ci dość ciepło? Już skończyłem - stwierdził Damon i nierozsądnie klepnął Elenę w pupę.

- Ej! - zawołała Elena, unosząc się. Damon, stojąc naprzeciw niej, nie mógł oderwać wzroku od jej fantastycznego ciała i uciekł.

Wrócił po chwili, proponując jej dokładkę bulionu. Przyjęła ją, siedząc teraz na łóżku, owinięta w prześcieradło jak w togę. Nie próbowała nawet klepnąć go w pośladki, gdy odwrócił się do niej tyłem.

- Co to za miejsce? - zastanawiała się. - To nie jest dom Dunstanów; to stara rodzina ze starym domem. Byli farmerzy.

- Och, powiedzmy, że to takie moje schronienie wśród lasu.

- Ha. Wiedziałam, że nie sypiasz na drzewach.

Damon próbował powstrzymać się od uśmiechu. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z Eleną w sytuacji, w której stawką rozmowy nie byłoby życie albo śmierć. Gdyby jednak powiedział, że zakochał się w jej intelekcie, po tym jak masował ją nagą pod prześcieradłem - nie... nikt by w to nie uwierzył.

- Czujesz się już lepiej? - zapytał.

- Jak zupa z jabłek i kurczaka.

- Nigdy mi tego nie zapomnisz, co?

Kazał jej zostać w łóżku, podczas gdy wyczarowywał szlafroki, we wszystkich rozmiarach i stylach, a także koszule nocne i kaptcie - wszystko to w chwili, gdy wchodził do pomieszczenia, które było wcześniej łazienką, a w którym znalazł teraz garderobę pełną wszystkiego, co może składać się na nocny strój: od jedwabnej bielizny przez staroświeckie koszule po kostki aż po szlafmyce. Wyszedł obciążony tym wszystkim i pozwolił Elenie wybrać.

Wzięła zapinaną pod szyję koszulę z jakiejś skromnej tkaniny. Damon zapatrzył się jednak na inną, w kolorze królewskiego błękitu, obrzeżoną czymś, co wyglądało jak prawdziwa walencjańska koronka.

- Nie w moim stylu - powiedziała Elena, szybko wpychając ją na spód sterty.

Nie w twojej obecności, chciałaś powiedzieć, pomyślał Damon rozbawiony. Mądre dziewczę z ciebie. Nie chcesz mnie kusić do niczego, czego jutro mogłabyś żałować.

- W porządku, teraz możesz się w końcu wyspać... -urwał, gdy zauważył, że dziewczyna patrzy na niego z wyrazem nagłego zdumienia i strachu.

- Matt! Damon, szukaliśmy Matta! Przypomniałam sobie. Szukaliśmy go i... nie wiem. Byłam ranna. Pamiętam, że upadłam, a potem byłam już tutaj.

Bo cię tu przyniosłem. Bo ten dom jest tylko myślą w głowie Shinichiego. Bo jedynymi rzeczywistymi bytami jesteśmy my dwoje.

Damon odetchnął głęboko.

ROZDZIAŁ 14

Pozwól nam chociaż ocalić godność i wyjść na własnych nogach czy może raczej, używając twojego własnego klucza? - pomyślał Damon pod adresem Shinichiego.

- Tak, szukamy twojego przyjaciela - zwrócił się do Eleny. - Ale upadłaś i poobijałaś się. Chciałbym, chcę cię prosić, żebyś została tu i odpoczywała, podczas gdy ja go poszukam.

- Myślisz, że wiesz, gdzie jest? - Tyle właśnie Elena usłyszała z jego wypowiedzi, odrzucając wszystko, co jej nie interesowało.

- Tak.

- Czy możemy już iść?

- Nie pozwolisz mi pójść samemu?

- Nie - odpowiedziała. - Muszę go znaleźć. Nie zasnę, jeżeli wyjdiesz sam. Proszę, czy możemy już iść?

Damon westchnął.

- W porządku. Tam w szafie były - (teraz będą) - jakieś ubrania, które powinny na ciebie pasować. Dżinsy i takie tam. Przyniosę je. Skoro nie mogę cię przekonać, żebyś położyła się i odpoczęła, kiedy ja go poszukam...

- Poradzę sobie. A jeżeli wyjdiesz sam, to wyskoczę przez okno i pobiegnę za tobą.

Mówiła poważnie. Przyniósł jej stertę ubrań i odwrócił się tyłem, podczas gdy wkładała dżinsy i koszulę identyczne z tymi, które miała na sobie wcześniej, ale w jednym kawałku i nie zaplamione krwią. Gdy wychodzili z domu, gorliwie rozczesywała włosy, co chwilę spoglądając za siebie.

- Co robisz? - zapytał Damon, postanawiając, że jednak będzie ją niósł.

Patrzę, kiedy dom zniknie. - Gdy obdarzył ją spojrzeniem typu „o czym ty mówisz?”, dodała - dżinsy Armaniego w moim rozmiarze? Stanik La Perla pasujący jak ulał? Koszula Pendletona dwa rozmiary za duża, dokładnie taka, jaką miałam? Albo to był jakiś magazyn, albo to była magia. Stawiam na magię.

Damon podniósł Elenę częściowo po to, żeby ją uciszyć, i podszedł do ferrari od strony pasażera. Zastanawiał się, czy są teraz w prawdziwym świecie, czy w kolejnej śnieżnej kuli Shinichiego.

- I co, zniknął?

- Tak.

Szkoda, pomyślał. Chętnie by go zatrzymał.

Mógłby próbować renegocjować układ z Shinichim, ale miał inne, ważniejsze rzeczy na głowie. Dużo, dużo ważniejsze. Myśląc o nich, uściśnął lekko Elenę.

Gdy wsiedli do samochodu, upewnił się co do trzech spraw. Po pierwsze, że dźwięk, który jego mózg automatycznie rozpoznał jako zapięcie pasów przez pasażera, rzeczywiście oznacza, że Elena zapięła pasy. Po drugie, że drzwi są zamknięte i że tylko on może je otworzyć. Po trzecie, że nie będzie jechał za szybko. Nie spodziewał się, żeby ktokolwiek będący w stanie Eleny chciał w najbliższej przyszłości znowu wyskakiwać z pędzącego samochodu, ale wołał nie ryzykować.

Nie miał pojęcia, jak długo ten czar będzie działać. Elena w końcu odzyska pamięć. To było logiczne, skoro on powoli ją odzyskiwał, a ocknął się dużo wcześniej. Więc i Elena wkrótce sobie przypomni... ale co? Ze wsadził ją do ferrari wbrew jej woli (to nieładnie, ale można wybaczyć - nie mógł wiedzieć, że dziewczyna postanowi wyskoczyć)? Ze nie najlepiej potraktował Mike'a czy Mitcha, czy jak mu tam i ją samą na polanie? Sam miał tylko mgliste wspomnienie tego wydarzenia, a może to był kolejny sen.

Chciałby znać prawdę. Kiedy przypomni sobie wszystko? Będzie wtedy w dużo lepszej pozycji do negocjacji.

Było mało prawdopodobne, żeby Mark właśnie wyziębiał się na śmierć w śnieżycy - w środku lata - nawet jeżeli wciąż leżał na tej polanie. Noc była chłodna, ale najgorsze, czego chłopak mógłby się spodziewać, to reumatyzm, gdy stuknie mu osiemdziesiątka.

Najważniejsze, żeby go nie znaleźli. Mógłby opowiedzieć Elenie jakąś nieprzyjemną historię.

Damon zauważył, że Elena znów wykonuje ten gest. Dotknięcie gardła, grymas, głęboki oddech.

- Czy źle się czujesz?

- Nie, ja... - W świetle księżyca mógł dostrzec, jak na jej policzkach pojawia się rumieniec i zaraz znika; na swojej twarzy czuł jej ciepło. - Mówiłam ci już. Czuję, jakbym zbyt dużo zjadła. Tak, właśnie tak.

Co miał zrobić wampir w takiej sytuacji? Powiedzieć: „Przepraszam, rzuciłem to”? Powiedzieć: „Przepraszam, rano będziemy tego żałować”? Powiedzieć: „Do diabła z ranem; to siedzenie się odchyła”?

Ale co jeżeli dotrą na polanę i odkryją, że Muttowi - Knutowi - temu chłopakowi - coś naprawdę się stało? Damon żałowałby tego przez resztę życia, czyli jakieś dwadzieścia sekund. Elena wezwałaby cały batalion duchów, żeby się z nim rozprawić. Damon wierzył w nią, nawet jeżeli miał być w tym osamotniony.

- Ufasz mi? - powiedział nagle, niemal mimowolnie i tonem równie uwodzicielskim, jak w rozmowie z Damaris czy Page.

- Co?

- Czy ufasz mi na tyle, żeby poświęcić piętnaście minut i pojechać w jedno miejsce, gdzie możemy znaleźć jak-mu-tam? - Jeżeli tam jest, dodał w myślach, to obstawiam, że przypomnisz sobie wszystko i nie będziesz chciała mnie nigdy więcej widzieć, ale przynajmniej zaoszczędzisz czas. Jeżeli go tam nie ma ani samochodu, mam szczęście, a Matt dostaje nagrodę. I szukamy dalej.

Elena przyglądała mu się uważnie.

- Damon, czy wiesz, gdzie jest Matt?

- Nie. - Cóż, to była prawda. Ale ona była jaskrawym świecidełkiem, małym ślicznym brylancikiem, a co więcej - była inteligentna... Damon przerwał te poetyckie rozważania nad inteligencją Eleny. O czym on właściwie myśli? Czy już całkiem oszalał? Już się chyba nad tym zastanawiał, prawda? Czy to nie dowodziło, że jednak nie jest szalony, skoro się nad tym zastanawia? Prawdziwie obłąkani nigdy nie wątpią, że są zdrowi, prawda? Prawda. A może jednak? Jedno jest pewne: całe to gadanie do siebie nikomu nie mogłoby wyjść na dobre.

Do diabła.

- Dobrze. Ufam ci.

Damon wypuścił powietrze, którego nie potrzebował, i skierował samochód w stronę polanki.

To była jedna z najbardziej ekscytujących gier jego życia. Po jednej stronie było jego życie - jeżeli zabił Matta, Elena znajdzie jakiś sposób, żeby go uśmiercić, to pewne. Po drugiej stronie... smak raju. Z chętną, uległą, otwartą Elena... Przełknął ślinę. Zauważył, że od pięciuset lat nie robił nic, co tak bardzo przypominałoby modlitwę.

Kiedy skręcali w dróżkę prowadzącą na polanę, wyczulił zmysły. Jechał bardzo powoli, nasłuchując uważnie wszystkiego, co przynosiło nocne

powietrze. Miał świadomość, że mogą wpaść w pułapkę. Ale droga była pusta. Kiedy nagle przyspieszył, wjeżdżając już na polanę, z ulgą zauważył, że nie ma tam ani samochodu, ani młodego mężczyzny o imieniu na „M”.

Usiadł wygodniej w fotelu.

Elena obserwowała go.

- Myślałeś, że on tu będzie.

- Tak. - Teraz przyszedł czas na najważniejsze pytanie. Gdyby go nie postawił, wszystko to byłoby jedynie oszustwem. - Czy pamiętasz to miejsce?

Rozejrzała się.

- Nie. A powinnam?

Damon się uśmiechnął.

Nie omieszkał jednak przejechać jeszcze kilkuset metrów do następnej polany na wypadek, gdyby jednak miała dostać nagłego ataku powracającej pamięci.

- Na tamtej polanie były malaki - wyjaśnił. - Ta jest zupełnie bezpieczna. - Ależ ze mnie kłamca, pomyślał z satysfakcją. Chyba wciąż to potrafię.

Był zaniepokojony, odkąd Elena wróciła z zaświatów. Ale o ile pierwszej nocy zbiło go to z tropu tak bardzo, że dosłownie oddał jej swoją ostatnią koszulę - cóż, nie miał słów, aby opisać to, jak czuł się, gdy stanęła przed nim tuż po powrocie, naga bez cienia wstydu, bez pojęcia wstydu. I potem, gdy masował ją, patrząc na delikatne żyły, znaczące niebieskim ogniem szlaki komet na mlecznym niebie. Czuł coś, czego nie zdarzyło mu się zaznać przez pół tysiąclecia.

Czuł pożądanie.

Ludzkie pożądanie. Wampiry tego nie czują. Dla nich wszystko sublimuje się w łaknienie krwi, zawsze i tylko krwi.

Ale teraz to czuł.

Wiedział dlaczego. To aura Eleny. Jej krew. Powróciła z czymś bardziej rzeczywistym niż skrzydła. Te ostatnie zniknęły, ale jej nowy talent wydawał się trwały.

Uświadomił sobie, jak wiele czasu minęło, odkąd ostatni raz ogarnęło go takie uczucie. Więc może się mylić. Ale nie, nie sądził, by się mylił. Aura Eleny sprawiłyby, że najbardziej zgorzkniały, skamieniały wampir stanąłby przed nią młody, męski i namiętny jak efeb.

Odsunął się od niej na tyle, na ile pozwalało na to ciasne wnętrze ferrari.

- Eleno, jest coś, co powinienem ci powiedzieć.
- O Mattcie? - Spojrzała na niego badawczo.
- Nacie? Nie, nie. O tobie. Wiem, że dziwisz się decyzji Stefano, żeby zostawić cię pod opieką kogoś takiego jak ja.

W samochodzie nie było miejsca na prywatność. Czuł ciepło jej ciała.

- Tak, to prawda.
- Cóż, to może mieć coś wspólnego...
- To może mieć coś wspólnego z tym, że wiemy, jak moja aura może podzielać nawet na najstarsze wampiry. Odtąd potrzebuję silnej ochrony. Tak powiedział Stefano.

Damon nie był pewien, czy Elena do końca rozumie, jak jej aura działa nawet na najstarsze wampiry, ale cieszył się, że nie musi jej tego tłumaczyć.

- Sądzę - powiedział ostrożnie - że Stefano przede wszystkim chciałby, żebyś była chroniona przed złymi istotami z całego globu, na które twoja aura może działać w sposób, którego byś sobie nie życzyła.

- I zostawił mnie, jak samolubny, głupi idealista, z tą moją aurą i jej poruszającym działaniem.

- Zgadzam się - przytaknął Damon, nie zamierzając podważać wersji o dobrowolnym odejściu Stefano. - I obiecałem już, że będę cię chronił. Dołożę wszelkich starań, Eleno, żeby nikt się do ciebie nie zbliżył.

- Tak - odpowiedziała. - Ale potem pojawia się coś takiego - jej gest miał prawdopodobnie wskazywać na Shinichiego i wszystkie problemy, które pojawiły się wraz z jego przybyciem - i nikt nie wie, co z tym zrobić.

- To prawda. - Damon wciąż musiał sobie przypominać, po co naprawdę się tu znalazł. A znalazł się tam... no, nie był po stronie Stefano. A prawdę mówiąc, byłoby dość łatwo...

Siedziała tam, rozczesując włosy... nadobna niewiasta, rozczesująca włosy... włosy tak złote jak złotym nigdy nie było słońce na niebie... Damon otrząsnął się. Od kiedy zaczął myśleć w ten sposób? Niemal pisać wiersze? Co się z nim stało?

- Jak się czujesz? - zapytał, żeby powiedzieć cokolwiek. Akurat w tym momencie Elena uniosła dłoń do gardła.

Skrzywiła się.

- Nieźle.

W efekcie tej krótkiej wymiany słów, spojrzeli sobie w oczy. Elena uśmiechnęła się, a Damon musiał odwzajemnić ten uśmiech, najpierw tylko lekko unosząc kącik ust, a potem już uśmiechając się szeroko.

Była, do diaska, była wspaniała. Dowcipna, czarująca, odważna, mądra i piękna. A on wiedział, że jego oczy mówią teraz to wszystko, a jednak ona nie odwracała wzroku.

- Moglibyśmy... przespacerować się trochę - powiedział. W odpowiedzi zagrały werble i fanfary, a z chmury opadającego confetti w niebo wystrzelił biały gołąb...

Innymi słowy Elena powiedziała: „Dobrze”.

Wybrali małą ścieżkę, prowadzącą od polanki w głąb lasu. Przyzwyczajony do mroku wzrok wampira ocenił ją jako bezpieczną. Damon nie chciał, by Elena się przemęczała. Wiedział, że jej rany muszą wciąż boleć, ale że dziewczyna nie da tego po sobie poznać. Coś podpowiedziało mu: „Więc poczekaj, aż powie, że jest zmęczona, i pomóż jej usiąść”.

Coś innego, nad czym nie panował, stanęło na baczność na widok pierwszego mniej pewnego kroku Eleny. Damon podniósł ją, przepaszając w dziesięciu różnych językach i w ogóle zachowując się jak wariat, dopóki nie posadził jej na wygodnej drewnianej ławeczce z oparciem i nie okrył kocem jej kolan. Cały czas dopytywał się też, czy na pewno powie mu, jeżeli będzie chciała jeszcze czegoś, czegokolwiek. Nieumyślnie przesłał jej jakiś fragment swojej myśli obejmujący kilka przedmiotów: szklanek wody, jego samego siedzącego obok niej i słoniątko, które - jak widział wcześniej -bardzo jej się podobało.

- Bardzo mi przykro, ale niestety, nie mam na podorędziu słoni - powiedział, klęcząc przed nią i poprawiając podnózek. Uchwycił jej myśl, że wcale tak bardzo nie różnił się od Stefano, jakby się mogło wydawać.

Inne imię nie skłoniłoby go do zrobienia tego, co wtedy zrobił. Żadne inne słowo, żadne pojęcie, nie miałyby na niego takiego wpływu. W jednej sekundzie zerwał z niej koc, odsunął podnózek, unióś ją i przytrzymał przechyloną do tyłu, z odsłoniętą szyją.

Różnica, powiedział jej, między mną a moim bratem jest taka, że on wciąż ma nadzieję, że jakoś wciśnie się bocznymi drzwiami do nieba. Ja się tak nie rozczulam nad moim losem. Wiem, dokąd trafię. I szczerze - uśmiechnął się szeroko, odsłaniając wspaniałe kły - nic sobie z tego nie robię.

Elena wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Zaskoczył ją zupełnie, wywołując spontaniczną, a przez to niezwykle szczerą odpowiedź. Bez trudu odczytał jej myśli. Wiem, ja też taka jestem. Wiem, czego chcę. Nie jestem tak dobra jak Stefano. I nie wiem...

Damon był podekscytowany. Czego nie wiesz, kochana?

Pokręciła tylko głową, zamykając oczy.
Po chwili ciszy zaczął szeptać do jej ucha.

- Więc co powiesz na to:

Powiedzcie, żem zuchwały
Powiedzcie, żem podły
Powiedzcie - zarzumiałcy - żem próżny
Ale wy, Erynie, dodajcie jedyne,
Żem całował Elenę.

Znów otworzyła szeroko oczy.

- Nie! Damon, proszę - szeptała. - Proszę, nie teraz! -Przełknęła ślinę. -
Poza tym pytałeś mnie, czy chciałabym się napić, a nie dałeś mi wciąż nic
do picia. Nie mam nic przeciwko, żebym ja tobie posłużyła za napój, ale
strasznie jestem spragniona. Ty pewnie też?

Uderzyła palcami w miejsce pod podbródkiem.

Damon poczuł, że traci kontrolę nad sobą.

Wyciągnął dłoń i natychmiast pojawił się w niej kryształowy kieliszek.
Zakręcił nim lekko, przyglądając się osiadaniu płynu na ściankach,
sprawdził bukiet - doskonały! - i zanurzył w nim wargi. To było to, czego
chciał. Czarna Magia, z winogron Clarion Loess Black Magie. Jedyne
wino, które pijała większość wampirów - można było usłyszeć historię o
tym, jak utrzymywało je przy życiu, gdy swojego bardziej podstawowego
pragnienia nie mogły zaspokoić.

Elena sączyła trunek ze swojego kieliszka, przyglądając się w
zdumieniu Damonowi, gdy ten opowiadał jej o Czarnej Magii. Uwielbiał
patrzeć na nią, gdy przybierała tę badawczą postawę, wyczulając wszystkie
zmysły i łapczywie chłonąc wszelkie informacje. Zamknął oczy i
przypomniał sobie kilka momentów z przeszłości. Kiedy je otworzył,
zobaczył Elenę, z miną spragnionego dziecka pijącą...

- Drugą szklanę? Eleno, skąd ją masz?

- Zrobiłam to co ty. Wyciągnęłam rękę. To przecież nie jest mocny
alkohol, prawda? Smakuje jak sok z winogron, a mnie się tak strasznie
chciało pić.

Czy naprawdę może być tak naiwna? Racja, to wino nie miało ostrego
zapachu ani posmaku większości alkoholi. Było subtelne, przystosowane do
wrażliwych podniebień wampirów. Damon wiedział, że winogrona, z
których jest robione, rosną na lessie, glebie, która powstaje tam, skąd wy-
cofał się lodowiec. Oczywiście, poznać cały proces mogły tylko najbardziej

długowieczne wampiry, bo narastanie odpowiedniej warstwy gleby trwało stulecia. A kiedy już było jej dość, hodowano winogrona i przetwarzano je. Od szczepienia aż do butelkowania nigdy jednak nie oglądały słońca. To nadawało trunkowi jego aksamitny, ciemny, delikatny smak. A teraz...

Elena miała wąsik z „soku z winogron”. Damon chciałby usunąć go pocałunkiem.

- Cóż, kiedyś będziesz mogła opowiadać, że osuszyłaś dwie szklanki Czarnej Magii w niecałą minutę. Na tych, którzy znają to wino, z pewnością zrobisz wrażenie.

Ona jednak znowu uderzyła palcami pod podbródkiem.

- Eleno, czy chcesz, żebym wypił trochę twojej krwi?

- Tak! - zawołała z radością kogoś, komu wreszcie postawiono pytanie, na które od dawna czekał.

Była pijana.

Odrzuciła ramiona do tyłu, zakładając je za oparcie ławki, której kształt dopasowywał się do pozy, jaką przyjmowała. Z drewnianego siedziska ławka przeobraziła się w czarną zamszową kanapę, z wysokim tylnym oparciem, na którego najwyższym punkcie opierała się teraz odchylona szyja Eleny. Damon odwrócił wzrok z cichym jękiem. Chciał doprowadzić ją w jakieś cywilizowane miejsce. Obawiał się o jej zdrowie, gdzieś w głowie miał też myśl o zdrowiu Mutta, ale teraz... mógł mieć wszystko, czego chciał.

Elena wymruczała jakieś słowo, które mogło być jego imieniem.

- Dmn? - powtórzyła. Jej oczy wypełniły się łzami.

Damon zrobił dla Eleny wszystko, co pielęgniarzka mogłaby zrobić dla pacjenta. Ale wyglądało na to, że dziewczyna wolałaby nie zwracać dwóch szklanek wina na jego oczach.

- Czarna Magia - czknęła. Kurczowo chwyciła Damona za nadgarstek.

- No tak, tego wina nie pije się w taki sposób. Poczekaj, usiądź prosto i pozwól... - Może dlatego, że powiedział to, nie zastanawiając się za bardzo, nie próbując być nadmiernie uprzejmym, nie manipulując nią w żaden sposób, odniósł pożądany skutek. Posłuchała go. Przycisnął lekko palce do obu jej skroni. Przez ułamek sekundy była na skraju katastrofy, ale potem zaczęła oddychać spokojnie. Wciąż nie uwolniła się całkiem od wpływu wina, ale nie była już pijana.

To był właściwy moment. Musiał w końcu powiedzieć jej prawdę.

Ale najpierw musiał się obudzić.

- Potrójne espresso, proszę - powiedział, wyciągając dłoń. Pojawiło się natychmiast, czarne i aromatyczne jak jego dusza. - Shinichi twierdzi, że wynalezienie espresso to jedyne usprawiedliwienie dla istnienia rasy ludzkiej.

Kimkolwiek jest Shinichi, zgadzam się z nim czy z nią. Potrójne espresso, proszę - zwróciła się do magii, która wypełniała las, tę śnieżną kulę, ten wszechświat. Nic się jednak nie stało.

- Może w tej chwili jest nastawione tylko na mój głos. - Damon posłał jej uspokajający uśmiech i podał swoją filiżankę.

- Powiedziałeś „Shinichi”. Kto to jest?

Damon niczego bardziej nie pragnął uniknąć niż tego, żeby Elena dowiedziała się czegoś o Kitsune, ale skoro miał jej powiedzieć wszystko, nie było wyboru.

- To Kitsune, lisi duch. To on dał mi adres strony internetowej, która skłoniła Stefano do odejścia.

Elena zamarła.

- Prawdę mówiąc - dodał Damon - chyba wolałbym zabrać cię do domu, zanim przejdziemy dalej.

Dziewczyna uniosła wzrok do nieba, ale pozwoliła mu podnieść się i zanieść do samochodu.

On tymczasem uświadomił sobie, w jakim miejscu najlepiej będzie z nią porozmawiać.

Całe szczęście nie musieli teraz dostać się nigdzie poza Stary Las. Nie mogli znaleźć bowiem żadnej drogi, która nie prowadziłaby do ślepego zaułka, jakiejś polanki albo kępy drzew. Elena nie wydawała się ani trochę zdziwiona, że jedna z drózek poprowadziła ich z powrotem do małego, ale tak dobrze wyposażonego domu, więc nic nie mówiąc, rozejrzał się po ich obecnym dobytku.

Mieli teraz w domku sypialnię z jednym dużym, luksusowym łóżkiem. Mieli kuchnię. I salon. Każde z tych pomieszczeń można było jednak przemienić w dowolne inne, jeżeli tylko pomyślało się o nim przed otwarciem drzwi. Co więcej, znaleźli tam klucze - najwidoczniej Shinichi był tak wstrząśnięty, że zapomniał je zabrać - które pozwalały na jeszcze więcej. Wystarczyło wsunąć jeden z nich do zamka i powiedzieć, czego się chce, a natychmiast się to dostawało - nawet jeżeli znajdowało się poza magicznym terytorium Shinichiego. Innymi słowy, klucze wydawały się łączyć ich z prawdziwym światem, ale Damon nie był tego do końca

pewny. Czy to rzeczywiście był prawdziwy świat, czy tylko kolejna zabawka Kitsune?

W domku znajdowały się też obecnie długie, spiralne schody, prowadzące do obserwatorium na dachu, takiego samego jak w pensjonacie. Był tam nawet pokój podobny do pokoju Stefano, co Damon zauważył, niosąc Elenę na górę.

- Idziemy na samą górę? - zapytała zdziwiona.

- Tak jest.

- I co tu będziemy robić? - dopytywała się, gdy posadził ją na krześle z podnóżkiem i przykrył kocem.

Damon sam usiadł na bujanym fotelu i zaczął się lekko kiwać, obejmując ramionami kolano i wpatrując się w zachmurzone niebo.

Zatrzymał fotel i spojrzał jej w oczy.

- Jesteśmy tutaj - powiedział lekko ironicznym tonem, który oznaczał, że mówi zupełnie serio - żebym powiedział ci prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

ROZDZIAŁ 15

Kto to? - odezwał się jakiś głos w ciemności. - Kto tam jest?

Bonnie rzadko czuła dla kogoś aż taką wdzięczność jak teraz do Matta, że wciąż ją obejmował. Bardzo potrzebowała kontaktu z ludźmi. Gdyby tylko mogła się jakoś schować między nimi, byłaby bezpieczna. Z wielkim trudem powstrzymała krzyk, gdy światło latarki objawiło jej surrealistyczną scenę.

- Isobel!

Tak, to była Isobel, tu w Starym Lesie zamiast w szpitalu Ridgemont. Stała w pewnej odległości od nich, prawie naga, nie licząc pokrywającej ją krwi i błota. W tym miejscu, na tle lasu wyglądała jednocześnie jak ofiara i jakaś leśna boginka, bogini zemsty i drapieżników, karząca okrutnie każdego, kto stanął jej na drodze. Była zdyszana, przy każdym ciężkim oddechu z jej ust unosiła się bańka śliny, ale nie wyglądała bynajmniej na wycieńczoną. Wystarczyło spojrzeć w jej oczy, połyskujące czerwienią, by się o tym przekonać.

Za nią stały dwie kolejne postaci, klnąc i mamrocząc pod nosem, jedna wysoka i chuda, ale dziwnie rozszerzająca się ku górze, druga niższa i bardziej krępa. Wyglądały jak gnomy próbujące nadażyć za leśną nimfą.

- Doktor Alpert! - Głos Meredith nie był tak spokojny jak zwykle.

W tej samej chwili Bonnie dostrzegła, że rany Isobel wyglądają jeszcze gorzej niż wcześniej. Nie miała już większości kolczyków i agrafek, ale z ran, które po nich zostały, ciekły krew i ropa.

- Nie straszcie jej - szepnął Jim, który był drugą z postaci w tle. - Siedzimy ją, odkąd musieliśmy się zatrzymać. - Bonnie czuła, że Matt, który właśnie wciągał powietrze, żeby krzyknąć, wstrzymał oddech. Zobaczyła też, dlaczego sylwetka Jima wydawała się tak dziwna: na plecach niósł Obaasan obejmującą go za szyję. Jak plecak, pomyślała.

- Co się stało? - szepnęła Meredith. - Myślałyśmy, że pojechaliście do szpitala.

- W chwili gdy wysiadałyście, drzewo zważyło się na drogę. Nie byliśmy w stanie go ominąć. Co gorsza, w koronie było gniazdo szerszeni albo coś takiego. Isobel obudziła się natychmiast - lekarka pstryknęła palcami - i kiedy usłyszała szerszenie, wyskoczyła z samochodu i zaczęła uciekać. Pobiegliśmy za nią. Dodam, że postąpiłabym podobnie, gdybym była sama.

- Czy ktoś widział te szerszenie? - zapytał Matt po chwili.

- Nie, było już zbyt ciemno, ale słyszeliśmy je wyraźnie. To był najdziwniejszy dźwięk, jaki słyszałem. Te owady musiały mieć z pół metra długości - odpowiedział Jim.

Meredith położyła rękę na ramieniu Bonnie. Dziewczyna nie wiedziała jednak, czy miało to ją uciszyć, czy zachęcić do mówienia. Co zresztą mogła powiedzieć? „Przewrócone drzewa zostają na drodze, dopóki policja nie postanowi ich poszukać”? „Och, uważajcie na piekielne insekty długości ludzkiego ramienia”? „Swoją drogą, jeden z nich jest właśnie w głowie Isobel”? To dopiero wystraszyłoby Jima.

- Gdybym знаła drogę z powrotem do pensjonatu, odprowadziłabym tam tę trójkę. Oni nie mają z tym nic wspólnego - powiedziała pani Flowers.

Ku zaskoczeniu Bonnie doktor Alpert nie zaprotestowała przeciw stwierdzeniu, że „nie ma z tym nic wspólnego”. Nie zapytała też, co właściwie pani Flowers robi z grupką nastolatków w Starym Lesie o tej porze. Jej słowa były nawet bardziej zaskakujące.

- Widzieliśmy światła, kiedy zaczęliście krzyczeć. Pensjonat jest niedaleko stąd.

Bonnie poczuła, jak Matt obejmuje ją mocniej.

- Dzięki Bogu - wykrztusił. Po chwili jednak dodał: -Ale to niemożliwe. Wyszedłem od Dunstanów jakieś dziesięć minut przed tym, jak się spotkaliśmy, ale ich dom jest na przeciwnym krańcu lasu niż pensjonat. To by zajęło przynajmniej godzinę marszu.

- Cóż, możliwe czy nie, widzieliśmy pensjonat, Theophilii. Wszystkie światła były zapalone. Nie dało się go nie rozpoznać - odpowiedziała doktor Alpert. - Jesteś pewien, że dobrze szacujesz czas? - dodała, zwracając się do Matta.

Pani Flowers ma na imię Theophilia, pomyślała Bonnie, powstrzymując się od chichotu. Czowała jednak narastające napięcie.

Kiedy o tym myślała, Meredith trąciła ją lekko.

Czasem Bonnie była przekonana, że z Eleną i Meredith łączy ją jakaś telepatyczna więź. Nawet jeżeli nie była to prawdziwa telepatia, czasem jedno spojrzenie mogło zastąpić im godziny dyskusji. Zdarzało się - rzadko, ale zdarzało się - że Matt i Stefano też mieli w tym udział. Nie taki jak przy rzeczywistej telepatii, z głosami w głowie równie wyraźnymi jak w uszach, ale bywało, że chłopcy wydawali się odbierać ich myśli.

Bonnie wiedziała więc doskonale, co oznacza to trącenie, że Meredith wyłączyła lampę, gdy wychodziły z pokoju Stefano, a pani Flowers zgasiła światła na dole. Zatem mimo żywego obrazu rozświetlonego pensjonatu, który stanął jej przed oczami, wiedziała, że nie może to być prawda, nie w tej chwili.

Ktoś próbuje nas oszukać - takie było znaczenie komunikatu Meredith. Matt wyraźnie myślał o tym samym, nawet jeżeli z innych powodów. Nachylił się i spojrzał znacząco na dziewczyny.

- Ale może powinniśmy jednak wrócić do Dunstanów -powiedziała Bonnie swoim najbardziej dziecinnym, rozbijającym tonem. - To normalni ludzie. Mogliby nam pomóc.

- Pensjonat jest tuż za tym wzgórkim - powtórzyła z naciskiem doktor Alpert. - A ja chętnie dowiedziałabym się, co byś radziła w sprawie infekcji Isobel - zwróciła się do pani Flowers.

Starsza pani zachnęła się, tak trzeba to nazwać.

- Och, cóż za komplement. Na początek proponowałabym oczyścić rany jak najszybciej.

To było tak oczywiste i tak nie w stylu pani Flowers, że Matt ścisnął mocno Bonnie, w tej samej chwili, gdy Meredith znów położyła rękę na jej ramieniu. Tak! - pomyślała Bonnie, telepatia działa. Więc to pani Alpert jest zagrożeniem. Kłamie.

- W porządku. Zmierzamy do pensjonatu - powiedziała Meredith. - Bonnie, nie przejmuj się. Zaopiekujemy się tobą.

Na pewno - przytaknął Matt, ściskając ją raz jeszcze. To znaczyło: „Rozumiem. Wiem, kto nie jest po naszej stronie”. Na głos dodał: - I tak nie ma sensu iść do Dunstanów. Mówiłem już pani Flowers i dziewczynom, że mają córkę, która zachowuje się podobnie jak Isobel.

- Przekłuwa się? - zapytała doktor Alpert, wydając się wstrząśnięta.

- Nie. Ale robi dziwne rzeczy. To nie jest dobre miejsce. - Znów uściskała Bonnie.

Dotarło, już dawno, pomyślała zirytowana. Teraz powinnam się zamknąć.

- Prowadźcie w takim razie - poprosiła pani Flowers. -Z powrotem do pensjonatu.

Lekarka i Jim poszli przodem. Meredith i Matt przyglądali się im uważnie, idąc kilka kroków z tyłu. Bonnie skarżyła się pod nosem, na wypadek gdyby ktoś słuchał.

- Dobra - powiedziała Elena do Damona. - Siedzę tu jak podczas oceanicznego rejsu, zamknięta w kajucie i mam już dość całego tego odwlekania. Więc... jaka jest prawda, cała prawda i tylko prawda? - Pokręciła głową. Naprawdę miała już dość.

- Jesteśmy teraz jakby w małej kuli, którą sam stworzyłem, co znaczy, że przez kilka minut nikt nas nie zobaczy ani nie usłyszy. To czas, żeby wszystkim sobie wyjaśnić.

- Więc lepiej się pośpieszmy - uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

Próbowała mu pomóc. Wiedziała, że potrzebuje pomocy. Chciał jej powiedzieć prawdę, ale było to tak bardzo wbrew jego naturze, że łatwiej byłoby okiełznać dzikiego konia.

- Mamy większy problem — zaczął Damon, najwyraźniej czytając w jej myślach. - Oni próbowali uniemożliwić mi porozmawianie z tobą na ten temat. Zrobili to na stary dobry sposób, stawiając mnóstwo warunków. Nie mogłem nic ci powiedzieć w domu ani poza nim. Cóż, teraz nie znajdujemy się w środku, ale nie można też uznać, że jesteśmy poza domem. Słońce już zaszło, a księżyc wszędzie dopiero za pół godziny, więc moim zdaniem warunki zostały spełnione. Nie wolno mi też powiedzieć ci nic, kiedy będziesz ubrana albo naga. - Elena odruchowo przyjrzała się swojemu strojowi, ale nie zauważyła żadnych zmian.

- Ale sędzę, że i ten warunek jest spełniony, bo on przysiągł mi, że wypuszcza nas ze swojej śnieżnej kuli, a nie zrobił tego. Jesteśmy więc w domu, który nie jest domem. Jest tylko myślą w jego głowie. Masz na sobie ubranie, które nie jest naprawdę ubraniem, to tylko twój wyobraźni.

Elena otworzyła usta, ale uciszył ją gestem.

- Poczekaj. Pozwól mi kontynuować, póki jeszcze mogę. Myślałem, że on nigdy nie przestanie stawiać kolejnych warunków, które wyciągnął z jakichś baśni. Ma obsesję na tym punkcie, podobnie jak na punkcie starej angielskiej poezji. Nie wiem dlaczego, bo pochodzi z drugiego końca świata, z Japonii. To właśnie Shinichi. I jego siostra bliźniaczka Misao.

Przerwał, oddychając ciężko, a Elena domyśliła się, że muszą być jeszcze jakieś wewnętrzne obwarowania, które zabraniają mu z nią rozmawiać.

- Lubi tłumaczyć swoje imię jako „najpierw śmierć” albo „numer jeden w sprawach śmierci”. Oboje są jak nastolatki, naprawdę, z tymi ich gramami i szyframi, ale mają tysiące lat.

- Tysiące? - zapytała Elena, widząc, że Damon załamuje się pod ciężarem, jaki sprawia mu opowiadanie o tym.

- Nie chcę nawet myśleć, jak wiele tysięcy lat grają już w te swoje gry. Misao odpowiada za to, co dzieje się z dziewczynami w mieście. Opętała je przy pomocy malaków i zmusza do robienia różnych rzeczy. Pamiętasz wiedźmy z Salem? To była właśnie Misao albo ktoś podobny do niej. To się już działo setki razy. Możesz kiedyś, jak już się to wszystko skończy, poczytać o urszulankach. Ciche mniszki nagle dostały jakiejś ekshibicjonistycznej manii, a niektóre z nich oszalały, inne zostały opętane.

- Ekshibicjonistycznej? Jak Tamra? Ale to tylko dziecko...

- Misao też jest dzieckiem, jeżeli chodzi o jej umysł.

- A co ma z tym wspólnego Caroline?

- W każdej takiej sytuacji musi znaleźć się podżegacz, ktoś, kto gotów jest paktować z diabłem, czy raczej demonem, dla własnych celów. To właśnie Caroline. Ale w zamian za całe miasto musieli jej obiecać coś naprawdę dużego.

- Całe miasto? Chcą przejąć całe Fell's Church...? Damon odwrócił wzrok. Prawda była taka, że zamierzali zniszczyć całe Fell's Church, ale nie było sensu o tym wspominać.

- Zanim będziemy mogli komukolwiek pomóc, musimy się stąd wydostać. Uciec jakoś ze świata Shinichiego. To ważne. Mogę powstrzymać go przed obserwowaniem nas na krótką chwilę, ale potem

męczę się i potrzebuję krwi. Więcej niż mogę dostać od ciebie, Eleno. - Spojrzał na nią. - Zamknął tu Piękną i Bestię i czeka, żeby zobaczyć, które z nich zatriumfuje.

- Jeżeli masz na myśli, że jedno z nas ma zabić drugie, to długo poczeka, przynajmniej jeżeli o mnie chodzi.

- Tak teraz myślisz. Ale to przemyślna pułapka. Nie ma tu nic poza Starym Lasem, jak widzieliśmy przed chwilą. Nie ma też żadnych ludzi. Jest tylko ten dom, a jedynymi prawdziwymi żywymi istotami jesteśmy my. Nie minie dużo czasu, zanim zapragniesz mnie zabić.

- Damon, nie rozumiem. Czego oni chcą? Nawet biorąc pod uwagę to, co Stefano mówił o liniach mocy, które biegną pod Fell's Church i przyciągają różne istoty...

- To ty je przyciągasz, Eleno. Są ciekawskie jak dzieci. Mam wrażenie, że tam, skąd pochodzą, gdziekolwiek to jest, wpakowały się już w niezłe tarapaty. Być może były tu wcześniej, obserwowały twoją walkę i ponowne narodziny.

- Więc chcą nas zniszczyć? Zabawić się? Przejąć kontrolę nad miastem i zrobić z nas marionetki?

Wszystko naraz, obawiam się. Być może będą się bawić, podczas gdy ktoś inny wstawi się za nimi przed trybunałem w innym wymiarze. Tak, dla nich zabawa czasem oznacza zniszczenie całego miasta. Chociaż sądzę, że Shinichi zamierza wrócić do układu ze mną, bo jest coś, czego chce bardziej niż Fell's Church, więc być może bliźniaki wystąpią przeciw sobie.

- Jakiego układu z tobą?

- O ciebie. Stefano cię miał. Ja ciebie chciałem. On ciebie chce.

Wbrew sobie Elena poczuła chłód w przeponie, delikatne drżenie, które zaczęło roznosić się po całym jej ciele.

- A jaka była treść układu?

Odwrócił wzrok.

- To jest ta gorsza część.

- Damon, co ty zrobiłeś? - domagała się, krzycząc niemal. - Jaki był układ? - Trzęsła się ze strachu.

- Ułożyłem się z demonem. Owszem, wiedziałem, kim on jest, gdy to robiłem. To było tej nocy po tym, jak twoich przyjaciół zaatakowały drzewa, po tym, jak Stefano wyrzucił mnie ze swojego pokoju. No cóż, byłem wściekły, a Shinichi jeszcze podsycił mój gniew. Wykorzystywał mnie, kontrolował; teraz to widzę. Wtedy zaczęły się układy i warunki.

- Damon... - Elena zaczęła drżącym głosem, ale on ciągnął dalej. Mówił szybko, jakby chciał to mieć jak najprędzej za sobą, doprowadzić to końca, zanim straci siły.

- Ostateczny układ był taki, że pomoże mi pozbyć się Stefano, żebym mógł cię zdobyć, a on za to dostanie Caroline i resztę miasta do podziału ze swoją siostrą. Tym samym zrywając obietnicę, jaką dała dziewczynie Misao, jakakolwiek była jej treść.

Elena uderzył go w twarz. Nie była pewna, jak jej się udało wyplątać rękę spod koca i wykonać szybki jak błyskawica ruch, ale zrobiła to. A potem czekała, patrząc, jak kropla krwi ścieka z jego wargi, aż odpowie albo aż sama znajdzie siły, by go zabić.

ROZDZIAŁ 16

Damon się nie poruszył. Po chwili oblizał wargę, ale nic nie powiedział.

- Ty draniu!

- Tak.

- Masz na myśli, że Stefano nie odszedł z własnej woli?

- Tak. Zgadza się.

- Kto więc napisał list w moim dzienniku? Damon nie odpowiedział, patrząc w bok.

- Damon! - zawołała łamiącym się głosem, w którym była też nuta groźby. Nie wiedziała, czy pocałować go, czy uderzyć raz jeszcze. - Jak mogłeś? Czy ty wiesz, co ja przechodziłam, odkąd on zniknął? Myśląc, że po prostu nagle postanowił mnie opuścić? Nawet jeżeli zamierzał wrócić...

-Ja...

- Nawet nie próbuj przeproszać! Nie próbuj mi wmawiać, że wiesz, jakie to uczucie, bo nie wiesz. Jak mogłeś? Nie masz serca!

- Sądzę, że miałem podobne doświadczenie. Ale nie zamierzałem się bronić. Chciałem tylko powiedzieć, że nie mamy już dużo czasu, zanim Shinichi znowu będzie nas widział i słyszał.

Serce Eleny rozpadało się na tysiące kawałków. Nic już nie miało dla niej znaczenia.

- Skłamałeś. Złamałeś obietnicę, że nigdy się już nawzajem nie skrzywdzicie...

- Wiem. To nie powinno być możliwe. Ale zaczęło się tej nocy, gdy drzewa schwytały Bonnie i Meredith i... Marka...

- Matta!

Tej nocy, gdy Stefano pobił mnie i pokazał swoją prawdziwą moc. Ze względu na ciebie. Zrobił to, żebym trzymał się od ciebie z daleka. Wcześniej liczył na to, że będzie mógł cię ukryć. Tamtej nocy poczułem się zdradzony. Nie pytaj mnie dlaczego, skoro przez lata to ja upokarzałem go, kiedy tylko zechciałem.

Elena próbowała zrozumieć to, co do niej mówił. Ale nie mogła. Nie mogła też zignorować uczucia, które właśnie spadło na nią jak anioł zakuty w łańcuchy.

Przyjrzyj mu się, przyjrzyj się jego duszy, tam szukaj odpowiedzi. Znasz Damona. Widziałas już, co w nim siedzi. Od jak dawna tam jest?

- Damonie, przepraszam! Znam odpowiedź. Damonie, Damonie... Boże! Widzę, co jest z tobą nie tak. Jesteś opętany dużo bardziej niż którakolwiek z tych dziewczyn.

-Ja... mam wewnątrz to coś? Jedną z tych istot? Elena, nie otwierając oczu, skinęła głową. Łzy ciekły jej po policzkach. Z trudem opanowała mdłości, by zmusić się do użycia swojej ludzkiej mocy, żeby zajrzeć w głąb niego, tak jak nauczyła się to robić, będąc duchem.

Malak, którego wcześniej widziała w Damonie, i ten, którego opisał Matt, były niezwykle duże jak na owady - długie jak ludzkie ramię. Ale to, co wyczuwała w Damonie teraz, było... ogromne. Potworne. Opanowało go całego. Przezroczysta głowa kryła się za jego pięknymi rysami, chitynowe ciało ciągnęło się wzdłuż tułowia, wygięte do tyłu owadzie nogi splatały się z nogami Damona. Przez chwilę myślała, że zemdleje, ale się opanowała. Wpatrując się w widmowy obraz, pomyślała, co by zrobiła Meredith?

Meredith zachowałaby spokój. Nie kłamałaby, ale poszukała sposobu, żeby pomóc.

- Damonie, jest źle. Ale musi być jakiś sposób, żeby uwolnić cię od tego. I to szybko. Znajdę ten sposób. Tak długo, jak to jest w tobie, Shinichi może zrobić, co tylko chce.

- Wiesz, dlaczego to urosło tak wielkie? Tamtej nocy, kiedy Stefano wyrzucił mnie z pokoju, wszyscy poszli do domu jak grzeczne dzieci, ale ty i mój brat ruszyliście na spacer. Polatać trochę.

Przez długą chwilę nie potrafiła sobie przypomnieć tej sytuacji, chociaż to wtedy ostatni raz widziała Stefano. Prawdę mówiąc, to była jej jedyna istotna cecha: sytuacja, w której ostatni raz ona i Stefano...

Serce Eleny zamarło.

- Polecieliście do Starego Lasu. Ty wciąż byłaś tym duchem, który nie do końca wiedział, co jest właściwe, a co nie. Ale Stefano wiedział, że nie powinien tego robić, nie na moim terytorium. Wampiry traktują kwestie terytorialne bardzo poważnie. A wy przylecieliście prosto do mojej kryjówki. Unosiliście się w powietrzu tuż przed moim nosem.

- Och, Damonie! Nie!

- Och, Damonie, tak! Fruwaliście, dzieląc się krwią, zbyt pochłonięci sobą, żeby mnie zauważyć, nawet gdybym spróbował was rozdzielić. Miałaś na sobie białą koszulę z wysokim kołnierzem i wyglądałaś jak anioł. Chciałem wtedy zabić Stefano.

- Damon...

- I właśnie wtedy pojawił się Shinichi. Nie musiał pytać, co czuję. Za to miał plan, propozycję.

Elena znów zamknęła oczy i pokręciła głową.

- Już wcześniej cię przygotował. Wtedy już byłeś opętany, gotowy przyjąć cały gniew, który w ciebie wsączył.

- Nie wiem dlaczego - Damon ciągnął, jakby jej nie usłyszał - ale nie zastanowiłem się wtedy, co by to oznaczało dla Bonnie, Meredith i reszty miasta. Myślałem tylko o tobie. Chciałem tylko ciebie i zemsty na Stefano. Damon, posłuchaj. Już wtedy byłeś pod jego kontrolą. Widziałam malaka wewnątrz ciebie. Przyznaj - kontynuowała, widząc, że chce jej przerwać - że coś wpływało na ciebie już wcześniej, sprawiając, że patrzyłeś beznamiętnie, jak Bonnie i pozostali umierają. Myślę, że trudniej się pozbyć tych istot, niż sobie wyobrażamy. Weźmy choćby to, że normalnie nie przyglądałbyś się ludziom w intymnych sytuacjach, prawda? Czy fakt, że to jednak robiłeś, nie dowodzi, że coś było z tobą nie tak?

- W teorii - zgodził się Damon niechętnie.

- Nie rozumiesz? To dlatego powiedziałaś Stefano, że ocaliłeś Bonnie tylko dla kaprysu, i dlatego nie wyznałeś nikomu, że malaki zmusiły cię do patrzenia na atak drzewa, że cię zahipnotyzowały. Chociaż twoja głupia, uparta duma też pewnie nie była bez znaczenia.

- Uważaj z tymi komplementami. Moja skromność może tego nie znieść i wybuchnąć.

- Nie obawiaj się. Cokolwiek stanie się z nami wszystkimi, twoje ego na pewno przetrwa. Co się stało potem?

- Zawarłem układ z Shinichim. Miał podstępem zwabić Stefano do jakiegoś miejsca, gdzie mógłbym go zobaczyć, a potem zabrać go gdzieś daleko, żeby nie mógł cię znaleźć.

Elena poczuła wielkie uniesienie, które chwytają za serce i gardło.

- Zabrać? Ale nie zabić? - wykrztusiła.

- Co?

- Stefano żyje? Żyje? Naprawdę... żyje?

- Spokojnie - odpowiedział chłodno Damon. - Spokojnie, Eleno. Nie chcemy, żebyś mdlała. - Złapał ją za ramiona. - Myślałaś, że zamierzałem go zabić?

Elena drżała tak mocno, że z trudem tylko udało się jej odpowiedzieć.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

- Przepraszam za to zaniedbanie.

- On żyje, na pewno? Damon, jesteś pewien?

- Całkowicie.

Nie zastanawiając się, nie myśląc zupełnie, Elena zrobiła to, co wychodziło jej najlepiej - poddała się impulsowi. Zarzuciła Damonowi ramiona na szyję i pocałowała go.

Damon zamarł na chwilę, zszokowany. Ułożył się z mordercami, żeby porwać jej ukochanego i zniszczyć jej miasto. Ale Elena nigdy nie pomyślałaby o tym w ten sposób.

- Gdyby zginął... - Przerwał i zaczął raz jeszcze. - Mój układ z Shinichim zależy od tego, żeby Stefano żył. I żeby do ciebie nie wrócił. Nie mogłem ryzykować, że zabiłabyś się albo naprawdę mnie znenawidziła. - W jego głosie znów pojawił się chłód. - Gdyby Stefano zginął, jaką miałbym nad tobą władzę?

Elena zignorowała jego słowa.

- Jeżeli żyje, mogę go znaleźć.

- O ile cię pamięta. Ale co jeśli stracił wszystkie wspomnienia o tobie?

- Co? - Elena była o krok od wybuchu. - Gdybym ja straciła wszystkie wspomnienia o Stefano, i tak zakochałabym się w nim, gdybym tylko go spotkała. A jeśli Stefano mnie nie pamięta, będzie krążył po świecie, szukając czegoś, choć nie wiedząc, czego szuka.

- To bardzo poetyckie.

- Ale... och, Damon, dziękuję, że nie pozwoliłeś Shinichiemu go zabić!

Pokreślił głową, sprawiając wrażenie, że dziwi się sam sobie.

- Jakoś nie mogłem tego zrobić. To ma coś wspólnego z obietnicą, którą złożyłem. Uznałem, że gdyby był wolny, szczęśliwy i nic nie pamiętał, to...

- Dotrzymałbyś obietnicy? Błędnie uznałeś. Ale to nie ma teraz znaczenia.

- Ma znaczenie. Cierpiałas z tego powodu.

- Nie. To, co naprawdę ma znaczenie, to to, że żyje i że mnie nie zostawił. Wciąż jest nadzieja.

- Ale, Eleno - głos Damona odzyskał życie, był zarazem podekscytowany i stanowczy - czy nie widzisz? Jeśli odłożymy na bok przeszłość, musisz przyznać, że to my jesteśmy dla siebie stworzeni. Ty i ja po prostu z natury lepiej do siebie pasujemy. W głębi serca to wiesz. Rozumiemy się. Jesteśmy na tym samym poziomie intelektualnym...

- Tak jak Stefano!

- Cóż, w takim razie mogę jedynie powiedzieć, że świetnie mu wychodzi ukrywanie tego faktu. Ale czy nie czujesz? Czy nie czujesz - zacisnął ręce na jej ramionach - że mogłabyś być moją księżniczką nocy, że coś w tobie tego pragnie? Ja to widzę, nawet jeżeli ty nie.

- Nie mogę być twoją księżniczką ani niczym innym. Co najwyżej bratową.

Pokręcił głową, śmiejąc się ochryple.

- Nie, jesteś przeznaczona do głównej roli. Mogę tylko powiedzieć, że jeżeli przeżyjemy walkę z tymi piekielnymi bliźniakami, zobaczysz rzeczy, których nie widziałaś wcześniej. Przekonasz się, że jesteśmy stworzeni dla siebie.

- A ja mogę tylko powiedzieć, że jeżeli przeżyjemy tę walkę, będziemy potrzebowali potem wszelkiej duchowej mocy, jaką uda nam się zebrać. Co znaczy, że musimy odnaleźć Stefano.

- To może nie być możliwe. Nawet jeżeli zdołamy przegnać Shinichiego i Misao z Fell's Church, szansa, że uda nam się ich całkiem pokonać, jest bliska zeru. Nie jesteś wojownikiem. Przepuszczalnie nie uda nam się nawet zrobić im żadnej większej krzywdy. A nawet ja nie wiem, gdzie jest Stefano.

- Więc tylko oni mogą nam pomóc.

- O ile jeszcze mogą. Tak, przyznajmy, Shi no shi to najprawdopodobniej zwykle oszustwo. Pewnie zabierają tam naiwnym wampirom kilka wspomnień - wspomnienia to waluta królestwa Tamtej Strony - i odsyłają je z powrotem, zanim skończą księgować zysk. Oszuści. Całe miejsce to ociekająca fałszywym blichtrzem rudera. Coś jak Las Vegas, ale bardziej zaniedbane.

- Czy nie boją się, że oszukane wampiry się zemszczą? Damon roześmiał się, tym razem łagodniej.
- Wampir, który nie chce być wampirem, zajmuje miejsce bardzo blisko dna w łańcuchu pokarmowym po Tamtej Stronie. Niżej są chyba tylko ludzie, zwłaszcza kochankowie, którzy razem popełnili samobójstwo, dzieciaki skaczące z dachu w przekonaniu, że są Supermanami.
- Elena próbowała wyrwać się z jego rąk, ale był zaskakująco silny.
- To nie brzmi jak szczególnie miłe miejsce.
- Nie jest miłe.
- I tam właśnie jest Stefano?
- Jeżeli mamy szczęście.

- Tak więc, zasadniczo - powiedziała, rozpatrując sytuację, jak zawsze, w kategoriach planów A, B, C i D - po pierwsze, musimy dowiedzieć się od tych bliźniaków, gdzie jest Stefano. Po drugie, musimy zmusić je do uleczenia dziewczyn, które opętały. Po trzecie, wygnać je z Fell's Church, na dobre. Ale zanim zajmujemy się tym wszystkim, trzeba znaleźć Stefano. On nam pomoże; wiem o tym. A potem będziemy, mam nadzieję, dość silni, żeby poradzić sobie z resztą.

- Pomoc Stefano mogłaby się przydać, to prawda. Ale zapomniałaś o najważniejszym. Na razie musimy przede wszystkim dopilnować, żeby Shinichi nas nie zabił.

- Oni wciąż myślą, że jesteś po ich stronie, prawda? - Umysł Eleny pośpiesznie analizował możliwe scenariusze. - Upewnij ich w tym. Poczekaj, aż nadejdzie strategiczna chwila, i wtedy zaatakuj. Czy mamy jakąś broń skuteczną przeciw nim?

- Żelazo. Źle znoszą żelazo, jak to demony A nasz drogi Shinichi ma obsesję na twoim punkcie, chociaż nie sądzę, żeby jego siostrze się to spodobało, gdy się zorientuje.

- Obsesję?

- Tak. Na punkcie twoim i starych angielskich piosenek, pamiętasz? Chociaż niezdolnym pojąć, czemu. Jeżeli chodzi o piosenki, rzecz jasna.

- Cóż, nie wiem, czy możemy to jakoś wykorzystać...

- Ale myślę, że jego zainteresowanie tobą może rozwścieczyć Misao. To jedynie przeczcucie, ale ona miała go tylko dla siebie przez tysiąclecia.

- Więc poszczujemy ich przeciw sobie, udając, że zamierzasz mnie oddać Shinichiemu. Damon, co się stało? - dodała zaniepokojona, gdy zacisnęła mocniej dłoń na jej ramionach.

- Nie oddam mu ciebie.
- Wiem.
- Nie podoba mi się myśl o tym, że ktoś inny miałby cię dostać. Jesteś mi przeznaczona.

- Nie, Damon. Mówiłam ci. Proszę...
- „Proszę, nie każ mi cię skrzywdzić”? Prawda jest taka, że nie możesz mnie skrzywdzić, jeżeli ci na to nie pozwolę. Możesz tylko skrzywdzić siebie.

Elenie wciąż nie udało się wyzwolić z jego uchwytu, ale zdołała trochę się od niego odsunąć.

- Damon, zawarliśmy umowę i mamy plan. I co, zamierzamy je teraz wyrzucić do kosza?

- Nie, ale pomyślałem, że jest inny sposób, żebyś mogła już teraz dostać super bohatera z twoich najśmielszych marzeń. Od dawna mówiłaś, że powinienem wypić więcej twojej krwi.

- Och tak. - To wciąż była prawda, mimo że ostatni raz wspominała o tym, zanim powiedział jej te wszystkie straszne rzeczy. I...

- Damon, co stało się z Mattem na tej polanie? Szukaliśmy go, ale nie znaleźliśmy. A ciebie to ucieszyło.

Nie zaprzeczył.

- W prawdziwym świecie byłem na niego zły, Eleno. Wydawał mi się kolejnym rywalem. Jesteśmy tutaj częściowo po to, żebym przypomniał sobie, co się wydarzyło.

- Zrobiłeś mu krzywdę? Bo teraz krzywdzisz mnie.

- Tak. - Głos Damona stał się nagle lekki i obojętny, jakby go to bawiło. - Myślę, że zrobiłem mu krzywdę.

Zadałem mu psychiczny ból, który zatrzymałby niejedno serce. Ale Mutt jest twardy. Podoba mi się to. Kazałem mu cierpieć jeszcze więcej, a on wciąż żył, bo bał się zostawić cię samą.

- Damon! - Elena próbowała się odsunąć, ale trzymał ją zbyt mocno. Był od niej dużo, dużo silniejszy. - Jak mogłeś mu to zrobić?

- Mówiłem ci: był moim rywalem. - Roześmiał się. - Naprawdę nie pamiętasz, co? Zmusiłem go, by poniżył się dla ciebie. Dla ciebie gryzł glebę, dosłownie.

- Damon, czy ty oszalałeś?

- Nie. Właśnie odzyskuję zdrowie psychiczne. Nie muszę cię przekonywać, że do mnie należysz. Mogę cię po prostu wziąć.

- Nie, Damonie. Nie będą twoją księżniczką nocy ani niczym innym. W najlepszym razie będziesz miał moje martwe ciało.

- Może to nie byłoby takie złe. Ale zapominasz o jednym; mam dostęp do twojego umysłu. A ty wciąż masz przyjaciół, w domu, gotujących się do snu albo kolacji, przynajmniej taką masz nadzieję. Prawda? Przyjaciół z wszystkimi kończynami na miejscu, którzy nigdy nie zaznali prawdziwego bólu.

Elena milczała przez dłuższą chwilę. Potem odpowiedziała bardzo cicho.

- Odwołuję wszystko, co dobrego o tobie powiedziałam. Jesteś potworem, słyszysz? Jesteś wynatu... - Zniżyła głos jeszcze bardziej. - Zmuszają cię do tego, prawda? Shinichi i Misao. Na pewno świetnie się bawią. Tak jak wtedy, gdy zmusili cię do skrzywdzenia Matta i mnie.

- Nie, robię tylko to, co chcę. - Czy dostrzegła w jego oczach ten czerwony błysk? Ledwie zauważalny blask płomienia... - Czy wiesz, jak piękna jesteś, gdy płaczesz? Piękniejsza niż kiedykolwiek. Złoto w twoich oczach wydaje się unosić na powierzchnię i spływać diamentowymi łzami. Chciałbym, żeby ktoś wyrzeźbił twoje popiersie, gdy szlochasz.

- Damon, wiem, że naprawdę tego nie mówisz. Wiem, że to ten potwór, który siedzi w tobie.

- Eleno, zapewniam cię, to tylko ja. Podobało mi się, gdy zmusiłem go, by sprawił ci ból. Gdy krzyczałaś. Kazałem mu zedrzeć z ciebie ubrania. Wiele bólu zniósł, zanim to zrobił. Ale czy nie zauważyłaś, że byłaś bosa, w podartej koszuli? To wszystko Mutt.

- Elena z trudem przypomniała sobie moment, kiedy wyskakiwała z ferrari. Tak, wtedy i później była bosa i prawie naga. Oddarte kawałki jej dżinów zostały na drodze i na krzakach przy niej. Ale nie zastanawiała się wcześniej, co stało się z jej butami, z jej koszulą, dlaczego jej stanik był podarty i ubłocony. Była tak wdzięczna za pomoc temu, kto ją skrzywdził.

Damon musiał uznać to za niezwykle zabawne. Nagle usłyszała siebie, że myśli „Damon”, a nie „Shinichi” albo „Misao”. A to nie to samo! Muszę o tym pamiętać, pomyślała.

- Tak, sprawiło mi to wiele przyjemności. Kazałem mu przynieść wierzbową witkę, właściwej grubości, a potem wy-chłostałem cię nią. Tobie też się to podobało, przysięgam. Nie szukaj śladów, bo zniknęły razem z pozostałymi ranami. Ale wszyscy troje delektowaliśmy się twoimi krzykami. Ty... i ja. i Mutt też. Z nas wszystkich być może on bawił się najlepiej.

- Damon, zamknij się! Nie zamierzam słuchać, jak mówisz w ten sposób o Mattcie!

Nie pozwoliłbym mu oglądać cię bez ubrania - ciągnął Damon, nie zwracając uwagi na jej wołanie. - Wtedy go odprawiłem. Zamknąłem w innej śnieżnej kuli. Ścigałem cię, kiedy próbowałaś uciec. Byłaś zamknięta w pułapce bez wyjścia. Chciałem zobaczyć ten błysk w twoich oczach, który pojawia się, gdy walczysz ostatkiem sił. Chciałem zobaczyć, jak ulegasz i poddajesz się. Nie jesteś wojownikiem, Eleno. - Roześmiał się nagle i ku jej zdumieniu uderzył pięścią w barierkę, która otaczała miniaturowe obserwatorium.

- Damon... - Elena zaczęła szlochać.

- A potem chciałem zrobić to. - Bez żadnego ostrzeżenia uniósł podbródek Eleny i odchylił jej głowę do tyłu. Drugą ręką chwycił ją za włosy, tak by wygięła szyję pod właściwym kątem. Poczuli, jak atakuje, szybki jak kobra; z dwóch ran na szyi pociekła krew.

Wieki później ocknęła się powoli. Damon wciąż chleptał jej krew; zupełnie zatracił się w smakowaniu Eleny Gilbert. Nie było czasu na robienie planów.

Ciało Eleny przejęło kontrolę, zaskakując ją tak samo, jak Damona. Zanim zdążył unieść głowę, wyrwała mu klucz z ręki. Podniosła kolana tak wysoko, jak mogła, i kopnęła z impetem. Damon poleciał do tyłu, wpadł na barierkę, złamał ją i wypadł na zewnątrz.

ROZDZIAŁ 17

Elena spadła kiedyś z tego dachu, ale Stefano skoczył za nią i złapał ją, zanim uderzyła o ziemię. Upadek z tej wysokości zabiłby człowieka na miejscu. Wampir w pełni sił, z szybkim refleksem, po prostu obróciłby się w powietrzu jak kot i wylądował lekko na ugiętych nogach. Ale Damon w jego obecnym stanie...

Sądząc po odgłosie, próbował się obrócić, ale wylądował na boku i połamał kości. To ostatnie wywnioskowała z głośnych przekleństw. Nie czekała na bardziej szczegółowy raport. Błyskawicznie zbiegła po schodach, mijając pokój Stefano - zatrzymała się przy nim na ułamek sekundy z bezsłowną prośbą - aż na sam dół. Domek przemienił się w doskonały duplikat pensjonatu. Nie zastanawiając się nad tym, Elena pobiegła do tej części

budynku, którą Damon znał najsłabiej: dawnych kwater dla służby. Dopiero tam odważyła się wyszeptać coś do magii tworzącej ten budynek, raczej prosząc o coś, niż żądając, modląc się, by dom był jej posłuszny tak jak Damonowi.

- Dom cici Judith - szepnęła, wkładając klucz do zamka. Wszedł jak gorący nóż w masło i obrócił się niemal z własnej woli. Nagle znalazła się znowu w miejscu, które było jej domem przez szesnaście lat, aż do jej pierwszej śmierci.

Stała w holu, drzwi do pokoju jej młodszej siostry były otwarte; Margaret leżała na podłodze, z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w kolorową książkę.

- Gramy w „masz go”, skarbie! - zawołała Elena, jakby duchy codziennie pojawiały się w domu Gilbertów i po Margaret można było oczekiwać, że będzie umiała się zachować. - Musisz pobiec do swojej koleżanki Barbary i wtedy ona goni. Nie zatrzymuj się, dopóki tam nie dobiegniesz. A potem idź do jej mamy. Ale najpierw daj mi trzy buziaki. - Uniosła dziewczynkę, przytuliła ją mocno, po czym wypchnęła ją za drzwi.

- Ale Elena... wróciłaś...

- Tak, kochanie, obiecuję, że jeszcze się zobaczymy. Teraz biegnij, biegnij.

- Mówiłam im, że wrócisz. Zawsze wracałaś.

- Margaret! Biegnij!

Dusząc się stłumionym płaczem, ale być może rozumiejąc powagę sytuacji, Margaret pobiegła. Elena zrobiła kilka kroków za nią, ale potem skręciła w stronę drugiej klatki schodowej.

Nagle stanęła przed uśmiechającym się drwiąco Dantonem.

- Za dużo rozmawiasz z ludźmi - powiedział, podczas gdy ona rozpaczliwie szukała w myślach jakiegoś wyjścia.

Wyskoczyć przez balkon? Nie. Damona może trochę boleć kości, ale gdyby ona wyskoczyła nawet z pierwszego piętra, najpewniej złamałaby kark. Co robić? Myśl!

W jednej chwili otworzyła drzwi do dużej szafy, krzyżąc „Dom cici Tildy”, niepewna jednak, czy magia zadziała. W następnej zatrzasnęła drzwi przed nosem Damona.

Znalazła się rzeczywiście w domu cici Tildy, ale w domu z przeszłości. Nic dziwnego, że oskarżali biedną cicią o widzenie różnych rzeczy, pomyślała, patrząc na kobietę, która odwróciła się do niej z dużym żaroodpornym naczyniem pełnym czegoś grzybowego w rękach, krzyknęła i upuściła naczynie.

- Elena! - zawołała. - Co... to nie możesz być ty... ale wyrosłaś!
- Co się stało? - zapytała ciocia Maggie, przyjaciółka cioci Tildy, wchodząc do pokoju. Była wyższa i bardziej surowa od Tildy.
- Jestem ścigana - krzyknęła Elena. - Muszę znaleźć drzwi, a jeżeli zobaczycie chłopaka, który za mną...

Urwała, bo Damon właśnie wyszedł z szafy na płaszcze. Zanim zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, ciocia Maggie podłożyła mu zwinnie nogę, mówiąc: „Drzwi do łazienki są za tobą”, a kiedy się podnosił, uderzyła go w głowę ceramiczną wazą. Mocno.

Elena przebiegła przez drzwi do łazienki.

- Liceum imienia Roberta E. Lee zeszłej jesieni - zawołała. - Koniec przerwy!

I już płynęła pod prąd, przeciskając się przez tłum setek uczniów próbujących dostać się na czas do klas, ale po chwili jeden z nich rozpoznał ją, potem kolejny i chociaż najwidoczniej udało jej się przeniknąć do czasu, gdy jeszcze nie była martwa - nikt nie krzychał „Duch!” - to nikt też wcześniej nie widział Eleny Gilbert w męskiej koszuli z rozpuszczonymi włosami.

- To kostium do spektaklu! - zawołała, po czym powołała do życia jedną z nieśmiertelnych legend na swój temat, zanim jeszcze umarła, krzyżąc „Dom Caroline!” i przechodząc przez drzwi do schowka. Po chwili pojawił się za nią najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziano w tej szkole. Przebiegł przez te same drzwi, mówiąc coś w obcym języku. Gdy zajrzano do schowka, nie było tam jednak nikogo.

Elena wylądowała w holu, biegnąc wciąż przed siebie. Omal nie zderzyła się z panem Forbesem, który wyglądał na niezbyt przytomnego. Z dużej szklanki pił coś, co wyglądało jak sok pomidorowy i pachniało jak alkohol.

- Nie wiemy, gdzie ona zniknęła, prawda? - zapytał, zanim Elena zdążyła się odezwać. - Zupełnie jej odbiło, jeżeli o mnie chodzi. Opowiadała coś o jakiejś ceremonii, na dachu... A jak była ubrana! Rodzice nie mają już żadnej kontroli nad swoimi dziećmi. - Oparł się ciężko

o ścianę.

- Bardzo mi przykro - wymamrotała Elena. Ceremonia. Cóż, rytuały czarnej magii odprawia się zwykle o wschodzie księżyca albo o północy. A północ miała nadejść już za kilka minut. Przez tę chwilę Elena zdążyła jednak wymyślić plan B.

- Przepraszam - powiedziała, wyjmując panu Forbesowi szklanekę z ręki i chlustając jej zawartością prosto w twarz Damona, który właśnie pojawił się za nią.

- Jakieś miejsce, którego oni nie widzą! - zawołała
I wkroczyła do...
Otchłani? Nieba?

Jakieś miejsce, którego oni nie widzą. W pierwszej chwili zaczęła się zastanawiać nad samą sobą, bo również nic nie widziała.

Ale uświadomiła sobie, że jest głęboko pod ziemią, pod pustym grobem Honorii Feli. Kiedyś walczyła tu o życie Stefano i Damona.

A teraz, kiedy nie powinno tu być nic poza ciemnością, szczurami i pleśnią, dostrzegła małe, migoczące światło. Jakby robaczek świętojański - jasna plamka, unosząca się w powietrzu, nie prowadząc jej, nie komunikując niczego, ale chroniąc ją. Wzięła ją w palce i zakreśliła w powietrzu krąg, wystarczająco duży, by dorosły człowiek mógł się w nim położyć.

Kiedy się obróciła, Damon siedział w jego środku.

Wyglądał dziwnie blado, jak na kogoś, kto dopiero co się pożywił. Ale nic nie powiedział, nawet jednego słowa; tylko patrzył na nią. Podeszła i dotknęła jego karku.

Już po chwili Damon znów pił, łączywie, najbardziej niezwykłą i wykwinną krew świata.

Normalnie analizowałby jej aromat i smak: jagoda i tropikalny owoc, gładki, nieco cierpki, z jedwabistym posmakiem... Ale nie teraz. Nie, smak tej krwi wykraczał daleko poza to, co mógł wyrazić słowami. Wypełniała go mocą, jakiej nigdy wcześniej nie znał.

Damon...

Dlaczego nie słucha? Jak to się stało, że pije tę niezwykłą krew, która smakuje jak życie wieczne? I dlaczego nie słucha dawcy?

Proszę, Damon. Zwalcz to...

Powinien rozpoznawać ten głos. Słyszał go wystarczająco wiele razy.

Wiem, że cię kontrolują. Ale nie mogą zawiadnąć tobą całym. Jesteś silniejszy od nich. Jesteś najsilniejszy...

Cóż, to z pewnością była prawda. Ale coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał. Dawca wydawał się nieszczęśliwy, a przecież Damon był wielokrotnym mistrzem świata w uszczęśliwianiu dawców. Ale nie pamiętał... Naprawdę powinien pamiętać, jak to się zaczęło.

Damon, to ja. Elena. To boli.

Tyle bólu i zdumienia. Elena wiedziała od początku, że nie ma sensu walczyć z tym, co czuła w swoich żyłach. To by tylko przysporzyło jej więcej cierpienia i nie przyniosłoby nic dobrego, poza tym że przestałaby myśleć.

Próbowała więc pokonać tę straszłą bestię w nim. Zmiana jednak musiała przyjść od środka. Gdyby nawet potrafiła to jakoś powstrzymać, Shinichi zorientowałby się i opętałby go jeszcze raz. Poza tym samo powiedzenie: „Damonie, bądź silny” nie wystarczało.

Czy miała więc poddać się i umrzeć? Mogła walczyć, ale wiedziała, że Damon jest tak silny, że nie ma żadnych szans. Z każdym łykiem jej nowej krwi stawał się jeszcze silniejszy; coraz bardziej przemieniał się w...

W co? To była jej moc. Może odpowie na wezwanie tej krwi, które było też jej wezwaniem. Może jakoś pokona potwora w sobie, tak by Shinichi tego nie zauważył.

Ale Elena potrzebowała więcej siły, nowego planu...

Nawet w chwili gdy o tym myślała, czuła wewnątrz siebie poruszenie mocy. Wiedziała, że ona zawsze tam była, czekając, aż ją wykorzysta - szczególnie siła, nie służąca do walki ani do ocalenia jej samej. Ale jednak należała do niej. Wampiry, które karmiły się tą krwią, miały jej tylko kilka łyków, podczas gdy przepelniała Elenę niesamowita energia. Żeby ją wykorzystać, musiała tylko sięgnąć po nią z otwartym umysłem i otwartymi rękami.

Gdy tylko to zrobiła, poczuła, jak słowa cisną się jej na usta i, co dziwniejsze, z jej pleców wyrastają skrzydła. Nie były przeznaczone do latania, ale rozłożone tworzyły wielki, tęczyowy łuk, otaczający ich oboje, Elenę i Damona.

Powiedziała to w myślach. Skrzydła Odkupienia.

Damon krzyknął bezdźwięcznie.

Skrzydła rozchyliły się nieznacznie. Tylko ktoś, kto długo studiował magię, wiedziałby, co dzieje się między nimi. Cierpienie Damona stało się cierpieniem Eleny, gdy brała każdy bolesny epizod jego życia, każdą tragedię, każde okrucieństwo, które przyczyniło się do narastania kolejnych kamiennych warstw obojętności i nieczułości okrywających jego serce.

Teraz kamień - tak twardy jak jądro czarnej dziury - pękał i kruszał. Nic nie mogło tego powstrzymać. Wielkie odłamki odpadały, krusząc się na proch. Zostawały po nich jedynie kłęby gryzącego dymu.

W samym środku pozostał jednak jeszcze rdzeń czarny jak piekło i twardy jak rogi szatana. Elena nie potrafiła dostrzec, co się z nim dzieje. Sądziła - miała nadzieję - że w końcu i on się skruszy.

Teraz, dopiero teraz, mogła wezwać kolejną parę skrzydeł. Nie była pewna, czy przeżyje pierwszy atak; podejrzewała, że nie przeżyje drugiego. Ale musiała to zrobić.

Damon klęczał na jednym kolanie, ze skrzyżowanymi ramionami. Wszystko powinno być w porządku. Wciąż był Damonem, a bez ciężaru nienawiści i okrucieństwa będzie dużo szczęśliwszy. Przystanie wspominać swoją młodość i rówieśników, którzy wyśmiewali się z jego ojca, uważając go za starego głupca z powodu fatalnego pecha w interesach i kochanek młodszych niż jego synowie. Przystanie rozdrapywać swoje dzieciństwo, gdy ten sam ojciec bił go w pijanym szale za zaniedbywanie nauki lub zadawanie się z niewłaściwymi kolegami.

Przystanie, wreszcie, rozpamiętywać wszystkie złe rzeczy, które sam zrobił. Został odkupiony, w imię niebios i dzięki niebiosom, dzięki słowom, które zostały włożone w usta Eleny.

Jedno musiał jednak zapamiętać. Jeżeli Elena się nie myliła.

Jeżeli tylko się nie myliła.

- Gdzie my jesteśmy? Czy jesteś ranna, dziewczynko? Nie rozpoznawał jej. Klęczał; ukłękła obok niego. Przyjrzał jej się.

- Modlimy się czy uprawiamy miłość? To była straż czy Gonzalowie?

- Damonie - odpowiedziała. - To ja, Elena. Jest XXI wiek, a ty jesteś wampirem. - Obejmując go delikatnie i przyciskając policzek do jego policzka, szepnęła: - Skrzydła Przypomnienia.

Para przezroczystych motyli skrzydeł, fioletowych, błękitnych i granatowych, wystrzeliła z jej pleców, tuż nad biodrami. Ozdobione były drobnymi szafirami i ametystami ułożonymi w staranne wzory. Używając mięśni, których nie używała nigdy wcześniej, bez trudu uniosła je, skierowała do przodu i zamknęła w nich Damona. Znaleźli się oboje w wysadzanej klejnotami jaskini.

Widziała w wyrazie szlachetnych rysów Damona, że nie chce przypominać sobie niczego, czego obecnie nie pamięta. Ale nowe wspomnienia, wspomnienia o Elenie, już nabrzmiewały wewnątrz niego. Spojrzał na swój pierścień z la-pis-lazuli. W jego oczach stanęły łzy. Powoli uniósł wzrok ku niej.

- Elena?

- Tak.
- Ktoś mnie opętał i zabrał wspomnienia tego, co robiłem opętany - szepnął.

- Tak, tak sędzę.

- Ktoś cię skrzywdził.

- Tak.

- Przysięgam, że zabiję go albo uczynię twoim niewolnikiem na wieczność. Uderzył cię. Siłą zabrał twoją krew. Zmyślił absurdalne historie o tym, jak krzywdził cię na wiele innych sposobów.

- Damonie. Tak, to prawda. Ale proszę...

- Byłem na jego tropie. Gdybym go spotkał, stratowałbym go, wyrwałbym mu serce z piersi. Albo udzielił mu najbardziej bolesnej nauki, o jakiej kiedykolwiek słyszałem, a słyszałem wiele historii, i na koniec całowałby twoje pięty, zakrwawionymi ustami, twój niewolnik aż do śmierci.

To nie było dla niego dobre. Widziała to. W szeroko otwartych oczach czaił się strach.

- Damon, błagam cię...

- A tym, kto cię skrzywdził... byłem ja.

- Nie ty. To nie ty to zrobiłeś. Byłeś opętany.

- Bałaś się mnie tak bardzo, że się rozebrałaś. Elena przypomniała sobie, jak zrzuciła koszulę.

- Nie chciałam, żebyś walczył z Mattem.

- Pozwoliłaś, bym pił twoją krew wbrew twojej woli. Tym razem nie mogła odpowiedzieć nic poza „Tak”.

- Ja... dobry Boże!... użyłem swoich mocy, by ściągnąć na ciebie ostateczną rozpacz.

- Jeżeli masz na myśli atak, który przyprowadził mnie niemal o śmierć, to prawda. Matta potraktowałeś jeszcze gorzej.

Los Matta nie interesował Damona.

- A potem cię porwałem.

- Próbowałeś.

- A ty wyskoczyłaś z pędzącego samochodu, bo wolałaś to, niż zostać ze mną.

- Zmusiłeś mnie do tego. Mogłeś mnie zabić, podobnie jak Matta.

- Szukałem tego, kto zmusił cię do wyskoczenia z samochodu. Nie mogłem sobie przypomnieć nic przedtem. Przysięgłem, że wylupię mu oczy

i wyrwę język, zanim zginie w męczarniach. Nie mogłaś chodzić. Musiałaś zrobić sobie kulę z jakiejś gałęzi, a kiedy pomoc była już blisko, Shinichi wciągnął cię w swoją pułapkę. Tak, znam go. Weszłaś do tej śnieżnej kuli... i wciąż byś się po niej błąkała, gdybym tego nie przerwał.

- Nie - odpowiedziała cicho. - Byłabym już martwa. Gdy mnie znalazłeś, dusiłam się, pamiętasz?

Tak. - Na chwilę jego twarz wykrzywił grymas okrutnej radości. Ale potem powrócił na nią wyraz strachu i zagubienia. - To ja byłem twoim prześladowcą, twoim oprawcą, tym, którego tak bardzo się bałaś. Zmusiłem cię do robienia tego wszystkiego z... z...

- Mattem.

- Boże - powiedział i tym razem była to zdecydowanie inwokacja do Stwórcy, a nie tylko wykrzyknik, bo uniósł wzrok ku niebu i złożył dłonie. - Myślałem, że jestem twoim bohaterem. A tymczasem to ja okazałem się potworem. Co teraz? Powinienem leżeć martwy u twoich stóp. - Patrzył na nią szeroko otwartymi, dzikimi czarnymi oczami. Nie było w nich sarkazmu ani ironii. Wyglądał na bardzo młodego i bardzo zdesperowanego. Gdyby był czarną panterą, przechadzałby się niespokojnie po klatce, rozpaczliwie próbując przegryźć pręty.

Pochylił się, by pocałować jej stopy. Elena była w szoku.

- Zrób ze mną, co zechcesz - kontynuował Damon tym samym tonem. - Możesz mi rozkazać, żebym natychmiast umarł. Jestem potworem.

Zaczął płakać. Przypuszczałnie żadne inne okoliczności nigdy nie skłoniłyby Damona Salvatore do płaczu. Ale tym razem był zdruzgotany. Nigdy wcześniej nie złamał słowa, a przysiągł zgładzić oprawcę Eleny. Fakt, że był opętany, że pozostawał pod wpływem malaka - najpierw niewielkim, potem coraz większym, aż jego umysł stał się tylko kolejną zabawką Shinichiego, którą można było w dowolnej chwili odłożyć na półkę - nie usprawiedliwiał jego zbrodni.

- Wiesz, że... że jestem zgubiony - szepnął, jakby miał to być pierwszy krok do ocalenia.

- Nie, nie wiem. Nie wierzę, że to prawda. Damonie, pomyśl o tym, ile razy z nimi walczyłeś. Jestem pewna, że chcieli, żebyś zabił Caroline tej pierwszej nocy, gdy widziałeś coś w jej lustrze. Sam powiedziałaś, że prawie to zrobiłeś. Chcieli też najwidoczniej, żebyś zabił mnie. Czy zamierzasz to zrobić?

Jeszcze raz pochylił się do jej stóp, ale szybko chwyciła go za ramiona. Nie mogła znieść tego widoku.

Damon spoglądał teraz jednak w bok, jakby coś rozważał w skupieniu. Obracał pierścień na palcu.

- Damon, o czym myślisz? Powiedz!

- Ze on może znowu przemienić mnie w marionetkę i tym razem doprowadzić sprawę do końca. Shinichi jest bardziej bezwzględny, niż możesz to sobie wyobrazić. W dowolnej chwili mógłby przejąć kontrolę nad każdym moim gestem. Widzieliśmy to już.

- Nie, jeżeli pozwolisz mi cię pocałować.

- Co? - Patrzył na nią, jakby miał wrażenie, że nie do końca rozumiała ich rozmowę.

- Pozwól mi cię pocałować i wyszarpnąć z ciebie tego umierającego malaka.

- Umierającego?

- Jest coraz słabszy za każdym razem, gdy odmawiasz poddania mu się.

- Czy... czy jest bardzo duży?

- Tak duży jak ty.

- Dobrze - szepnął. - Chciałbym tylko móc go pokonać sam.

- Pour le sport? - zapytała Elena, dowodząc, że poprzednie lato spędzone we Francji nie poszło całkiem na marne.

- Nie. Dlatego że nienawidzę go i chętnie zniósłbym sto razy większy ból, gdybym tylko wiedział, że go ścigam.

Elena uznała, że nie ma czasu do stracenia. Był gotowy.

- Pozwolisz mi to zrobić?

- Powiedziałem już, że potwór, który cię skrzywdził, jest teraz twoim niewolnikiem.

W porządku. O tym mogą podyskutować później. Elena nachyliła się do przodu i uniosła głowę, rozchylając lekko usta.

Pocałował ją bardzo delikatnie, jakby bał się, że może ją skrzywdzić, gdy pocałuje mocniej.

- Skrzydła Oczyszczenia - szepnęła z wargami przy jego wargach. Te skrzydła były białe jak nieskalany śnieg, delikatne jak korona, w niektórych miejscach tak cienkie, że prawie niewidoczne. Sklepiały się wysoko nad jej głową, opalizując jak światło księżycy na zamrzniętych pajęczynach. Zamknęły śmiertelniczkę i wampira w sieci z diamentów i pereł.

- To będzie bolało - uprzedziła Elena, chociaż nie potrafiła odgadnąć, skąd to wie. Wiedza o działaniu jej nowych mocy pojawiała się stopniowo, wtedy gdy była potrzebna. Czuła się jak we śnie, w którym rozumie się wielkie prawdy, nie musząc się ich uczyć, i akceptuje sieje bez zdziwienia.

Dlatego wiedziała, że Skrzydła Oczyszczenia znajdują i zniszczą każdą obcą istotę w Damonie i że może to być bardzo nieprzyjemne uczucie.

- Zdejmij koszulę - poleciła, kiedy malak wydawał się opierać. - Ten robak przywarł do twojego kręgosłupa, najbliżej skóry leży na karku, tam, gdzie przeniknął do środka. Będę musiała oderwać go ręką.

- Przywarł do kręgosłupa?

- Tak. Czułeś go? To musiało najpierw zboleć jak ukąszenie pszczoły, małe ułknięcie, a potem jakby jakaś galaretka zalała ci kręgosłup.

- Tak. Komar. Czułem to. A potem zaczął mnie boleć kark i w końcu całe ciało. Czy to rosło wewnątrz mnie?

- Tak i stopniowo przejmowało kontrolę nad twoim układem nerwowym i umysłem. Shinichi panował nad tobą jak nad marionetką.

- Dobry Boże. Jak bardzo żałuję tego wszystkiego.

- Lepiej sprawmy, żeby to on pożałował. Zdejmiesz koszulę?

Po cichu, posłuszny jak ufnie dziecko, Damon ściągnął kurtkę i koszulę. Potem położył głowę na kolanach Eleny. Jego blade plecy odcinały się wyraźnie na tle czarnego podłoża.

- Przepraszam - powiedziała Elena. - Pozbycie się tego w ten sposób, wyciągając je przez dziurę, którą weszło, będzie naprawdę bolało.

- Dobrze - mruknął. Schował twarz w silnych, smukłych ramionach.

Koniuszkami palców Elena zbadala obszar u szczytu jego kręgosłupa. Znalazła niewielki bąbel i ścisnęła go paznokciami, aż pociekła krew.

Malakowi niemal udało się wymknąć, zanurzając głębiej w ciało Damona, ale ona była szybsza i chwyciła go mocno między kciukiem a dwoma pierwszymi palcami.

Insekt wciąż żył i był wystarczająco świadomy, żeby stawiać opór. Ale nie miał więcej siły niż meduza. Tyle że meduza rozpada się, gdy ją szarpnąć, a ta śliska galaretowa rzecz zachowała swój kształt, kiedy Elena wyciągała ją powoli przez ranę w karku Damona.

Widziała, że jego to boli. Chciała wziąć część tego bólu na siebie, ale zawołał „Nie!” z taką siłą, że postanowiła nie ingerować w to.

Malak był jeszcze większy i bardziej masywny, niż się spodziewała. Musiał rosnąć przez długi, bardzo długi czas - mała porcja galarety, która

rozrosła się, aż przeniknęła całe jego ciało po koniuszki palców u stóp. Musiała się podnieść i zrobić krok do tyłu, a potem jeszcze jeden, zanim wyciągnęła robaka całego i rzuciła go na ziemię. Leżał tam teraz: chora, blada, półprzezroczysta karykatura ludzkiego ciała.

- Już? - wydusił z trudem Damon.

- Tak.

Damon wstał i spojrział na drżącą białą rzecz, która zmusiła go do prześladowania osoby, na której najbardziej mu zależało. Potem ostrożnie stanął na niej, miażdżąc ją pod obcasami czarnych butów, dopóki nie rozpadła się na kawałki, po czym rozdeptał te kawałki. Elena domyśliła się, że nie chciał używać mocy, aby Shinichi tego nie zauważył.

W końcu po malaku zostały tylko mokra plama i smród.

Elenie zakręciło się w głowie. Oparła się o Damona, a on oparł się o nią i oboje opadli na kolana, obejmując się.

- Zwalniam cię z każdej obietnicy, jaką złożyłeś, kiedy byłeś pod jego kontrolą. - Nie miało to, oczywiście, dotyczyć obietnicy, że nie skrzywdzi Stefano.

- Dziękuję - szepnął, kładąc głowę na jej ramieniu.

- A teraz - kontynuowała jak przedszkolanka, która chce, by dzieci szybko zajęły się kolejną zabawą - musimy opracować jakiś plan. Ale musimy zachować go w całkowitej tajemnicy.

- Powinniśmy podzielić się krwią. Ale, Eleno, ile mi już dzisiaj oddałaś? Wyglądasz blado.

- Powiedziałeś, że będziesz moim niewolnikiem, a teraz odmawiasz mojej krwi?

- Powiedziałaś, że uwalniasz mnie od obietnic, prawda? Ale jest prostsze rozwiązanie. Ty wypij trochę mojej.

Tak też zrobili, chociaż Elena nie czuła się z tym dobrze, jakby zdradzała Stefano. Damon zaciął się zręcznie i zaczęło się - ich umysły połączyły się, zlały się w jedno. Skończyli w czasie krótszym, niż potrzeba było, żeby to powiedzieć: Elena opowiedziała Damonowi o epidemii wśród dziewczyn w Fell's Church, a on przekazał jej wszystko, co wiedział o Shinichim i Misao. Elena przygotowała plan, jak zdjąć czar z wszystkich opętanych dziewcząt, a Damon obiecał, że dowie się od kitsune, gdzie jest Stefano.

W końcu, kiedy nie było już nic do powiedzenia, a krew Damona przywróciła kolor policzkom Eleny, zdecydowali, kiedy znów się spotkają.

Na ceremonii.

Potem w grobie została już tylko Elena i wielki czarny kruk odlatujący w stronę Starego Lasu.

Siedząc na zimnej kamiennej podłodze, przez chwilę Elena zbierała razem wszystko, co wiedziała. Nic dziwnego, że Damon zachowywał się, jakby miał schizofrenię. Nic dziwnego, że pamiętał, potem zapomniał, a potem znowu przypomniał sobie, że to przed nim uciekała.

Wywnioskowała, że zapamiętywał to, co działo się, gdy Shinichi nie kontrolował go albo przynajmniej trzymał na luźnej smyczy. Niektóre rzeczy, które zrobił kiedyś indziej, były jednak tak straszne, że jego umysł odmawiał zarejestrowania ich. Damon opętany pamiętał co innego niż Damon wolny. Temu ostatniemu Shinichi wmawiał, że musi schwytać oprawcę Eleny i zabić go.

Musiała go to strasznie bawić, domyślała się. Ale dla niej i dla Damona było prawdziwym piekłem.

Nie przyznawała się sama przed sobą, że w tym piekle zdarzały się rajskie momenty. Należała do Stefano, tylko i wyłącznie. To się nigdy nie zmieni.

Potrzebowała teraz kolejnych magicznych drzwi, ale nie wiedziała, jak je znaleźć. Znowu jednak pojawiło się to czarodziejskie światełko. To musiała być reszta magii Honorii Feli, którą ta zostawiła, by chronić miasto. Elena czuła się winna, zużywając ją do końca. Ale jeżeli nie miała tego zrobić, to czemu się tu znalazła?

Musiała teraz trafić do najważniejszego miejsca we wszechświecie.

Sięgając po świetlną płamkę jedną ręką i ściskając w drugiej klucz, szepnęła z całą siłą:

- Gdzieś, gdzie będę mogła zobaczyć, usłyszeć i dotknąć Stefano.

ROZDZIAŁ 18

Więzienie, brudna, dziurawa podłoga, kraty pomiędzy nią a Stefano.

Pomiędzy nią a Stefano!

To był naprawdę on. Była tego pewna. Oczywiście, w tym miejscu mogła zostać poddana przeróżnym złudzeniom. Ale teraz, być może dlatego że nikt się tu jej nie spodziewał, nic nie zwodziło zmysłów Eleny.

To był Stefano. Chudszy niż wcześniej, z wystającymi kośćmi policzkowymi. Był piękny. Jego umysł wydawał się zupełnie zdrowy, wypełniony właściwą mieszanką poczucia godności i miłości, ciemności i światła, nadziei i ponurego zrozumienia.

- Stefano! Obejmij mnie!

Obudził się i usiadł.

- Daj mi chociaż spać. Odejdź i załóż inną maskę, dziwko!

- Stefano! Uważaj na słowo!

Widziała, jak mięśnie jego twarzy się napinają.

- Co... ty... powiedziałaś?

- Stefano... to naprawdę ja. Nie winię cię, że przeklinasz. Ja przeklinam całe to miejsce i tych dwoje, którzy cię tu zamknęli...

- Troje - powiedział zmęczonym głosem i spuścił głowę. - Wiedziałaś o tym, gdybyś była prawdziwa. Idź, niech ci opowiedzą o moim zdradzieckim bracie i jego przyjaciółach, którzy zasadzają się na ludzi z koronami kekkai...

Elena nie miał czasu, żeby dyskutować o Damonie.

- Czy możesz przynajmniej na mnie spojrzeć?

Widziała, jak powoli podnosi głowę i spogląda w jej stronę, i nagle podrywa się z brudnego słomianego posłania i wbija w nią wzrok, jakby była aniołem, który właśnie spadł z nieba.

Po czym odwraca się tyłem i przykłada dłonie do uszu.

- Żadnych targów. Nawet o tym nie wspominaj. Odejdź. Coraz lepiej ci wychodzą te sztuczki, ale wciąż jesteś tylko snem.

- Stefano!

Powiedziałem, odejdź!

Tracili czas, a poza tym to było zbyt okrutne, po tym wszystkim, co przeszła, żeby tylko z nim porozmawiać.

- Po raz pierwszy widziałeś mnie w biurze dyrektora, kiedy przyniosłeś swoje papiery do szkoły. Oczarowałeś sekretarkę. Nie musiałeś na mnie patrzeć, żeby wiedzieć, jak wyglądam. Kiedyś powiedziałam ci, że czuję się jak morderczyni, ponieważ zawołałam: „Tato, spójrz” i wskazałam coś za oknem tuż przed wypadkiem, w którym moi rodzice zginęli. Nigdy nie udało mi się przypomnieć, co to było. Pierwsze słowo, którego nauczyłam się po powrocie z tamtej strony, brzmiało „Stefano”. Kiedyś spojrziałeś na mnie w tylnym lusterku samochodu i powiedziałeś, że jestem twoją duszą...

- Czy możesz przestać mnie torturować przynajmniej na chwilę?
Elena, prawdziwa Elena, jest za mądra na to, żeby ryzykować przyjdzie tutaj.

- Gdzie jest „tutaj”? - zapytała przestraszona. - Muszę wiedzieć, jeżeli mam cię stąd wydostać.

Stefano powoli odsłonił uszy. Odwrócił się niepewnie.

- Elena? - wykrztusił jak umierający, który zobaczył ducha przy nogach swojego łóżka. - Nie jesteś prawdziwa. Nie mogłaś się tu znaleźć.

- Sądzę, że mnie tu nie ma. Shinichi stworzył magiczny dom, z którego można dostać się w dowolne miejsce, jeżeli tylko się powie i otworzy drzwi tym kluczem. Powiedziałam „Gdzieś, gdzie będę mogła usłyszeć, zobaczyć i dotknąć Stefano”. Ale - spuściła wzrok - mówisz, że nie mogłam się tu znaleźć. Może to wszystko tylko iluzja.

- Ciii. - Stefano chwycił za kraty, które ich dzieliły.

- Czy to tu byłeś cały czas? Czy to jest Shi no Shi? Zaśmiał się krótko udawanym śmiechem.

- Niezupełnie tego się spodziewaliśmy, co? A jednak nic, co zapowiadali, nie było kłamstwem, Eleno. Eleno! Powiedziałem „Eleno”. Eleno, naprawdę tu jesteś.

Elena nie mogła znieść tego marnowania czasu. Podeszła do krat.

Chwyciła za nie obiema rękami, uniosła lekko głowę i zamknęła oczy.

Dotknę go. Dotknę. Zrobię to. Jestem prawdziwa, on jest prawdziwy - dotknę go!

Stefano schylił się do niej i ich wargi się spotkały.

Wsunęła ręce przez kraty, aby go objąć. Oboje poczuli się słabo: on ze zdumienia, że może jej dotknąć, ona z ulgi i rozpierającej serce radości.

Ale nie mieli czasu.

- Stefano, napij się mojej krwi. Teraz!

Rozejrzała się pospiesznie, szukając czegoś, czym mogłaby się zaciąć. Stefano potrzebował teraz jej siły i niezależnie od tego, ile oddała Damonowi, dla Stefano zawsze miała dość. Choćby miało ją to zabić. Cieszyła się, że wtedy, w grobie Honorii, Damon dał jej swojej krwi.

- Spokojnie. Spokojnie, kochana. Jeżeli naprawdę chcesz, mogę ugryźć cię w nadgarstek, ale...

- Zrób to! - rozkazała Elena Gilbert, pani na Fell's Church. Znalazła nawet siłę, by podnieść się z kolan. Stefano spojrział na nią niepewnie.

- Już! - nalegała. Ugryzł ją.

To było dziwne uczucie. Bolało trochę bardziej, niż gdy przebijał skórę na jej gardle, jak zwykle to robił. Ale tu były dobre żyły, wiedziała o tym;

ufała, że Stefano znajdzie największą, tak by zabrało to jak najmniej czasu. Zaraziła go swoim pośpiechem.

Ale kiedy chciał przerwać, chwyciła go za włosy.

- Więcej, Stefano. Będziesz tego potrzebował. I nie mamy czasu na dyskusję.

Ton pana i dowódcy. Meredith powiedziała jej kiedyś, że go ma, że mogłaby prowadzić armię. Cóż, może potrzebować armii, żeby ocalić swojego ukochanego.

Zdobędę gdzieś armię, pomyślała.

Głód, który trawił Stefano — zapewne nie karmili go tutaj - ustępował powoli i zaczynał już pić spokojniej, tak jak zawsze. Ich umysły połączyły się niewidzialnym mostem. Kiedy mówisz, że zdobędziesz armię, wierzę ci. Ale to niemożliwe. Nikt nigdy stąd nie wrócił.

Cóż, ty wrócisz. Zabieram cię ze sobą.

Eleno, Eleno...

Pij, powiedziała, czując się jak włoska matka. Ile tylko możesz.

Ale jak... nie, mówiłaś już, jak się tu dostałaś. Czy to była prawda?

Prawda. Zawsze mówię ci prawdę. Ale Stefano, jak mam cię stąd wydostać?

Shinichi i Misao - znasz ich wystarczająco.

Każde z nich ma połowę pierścienia. Razem tworzą klucz. Każda połowa ma kształt biegnącego lisa. Ale kto wie, gdzie mogli je ukryć? Jak mówiłem, trzeba armii, żeby w ogóle się tu wdrzeć...

Znajdę części klucza. Złożę je razem. Zdobędę armię. Uwolnię cię.

Eleno, nie mogę więcej pić. Zemdlejesz. Dobrze sobie z tym radzę. Nie przerywaj. Nie mogę uwierzyć, że to ty...

- Żadnego całowania! Pij krew!

Tak jest. Ale naprawdę, Eleno, mam już dość. A jutro?

- Wciąż będę miał dość. - Stefano odchylił się, przyciskając kciuk do rany po jego kłach. - Nie mogę, kochana.

- A następnego dnia?

- Poradzę sobie.

- Tak, poradzisz sobie dzięki mojej krwi. Obejmij mnie. Obejmij mnie przez te kraty.

Obejmował ją, jak prosiła, a ona szeptała do jego ucha.

- Zachowuj się, jakbyś mnie kochał. Pogłaszcz moje włosy. Mów coś miłego.

- Eleno, najukochańsza moja... - Wciąż byli na tyle blisko, że mógł myślami zapytać ją: „Jakbym cię kochał?” Ale podczas gdy jego dłonie głąskaly jej włosy i obejmowały ją, ręce Eleny pracowały. Wyciągnęła spod koszuli i włożyła pod jego kurtkę butelkę Czarnej Magii.

- Skąd to masz? - szepnął zdumiony.

- W magicznym domu jest wszystko. Czekałam na okazję, żeby ci to dać, na wypadek gdybyś tego potrzebował.

- Eleno...

- Co?

Wyglądał, jakby z czymś się zmagał. W końcu, wbijając wzrok w ziemię, wyrzucił to z siebie.

- To nic nie da. Nie mogę ryzykować twojego życia dla czegoś, co nie może się udać. To niemożliwe. Zapomnij o mnie.

- Przysuń twarz do krat.

Zdziwił się, ale posłuchał, nie pytając. Wymierzyła mu siarczasty policzek. A przynajmniej na tyle siarczasty, na ile pozwalały kraty, o które się uderzyła.

- Wstydz się - powiedziała. Zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Słuchaj!

Dobiegło ich ujadanie psów - były gdzieś daleko, ale wyraźnie się zbliżały.

- To ciebie ściąga - rzucił Stefano. - Musisz uciekać. Spojrzała na niego z wyrazem determinacji na twarzy.

- Kocham cię, Stefano.

- Kocham cię, Eleno. Zawsze.

- Przepraszam. - Nie mogła odejść, w tym tkwił problem. Jak Caroline, która mówiła i mówiła, i nie mogła wyjść z jego pokoju, Elena mogłaby tu stać i mówić, że wychodzi, ale nie potrafiła tego zrobić.

- Eleno! Musisz. Nie chcę, żebyś widziała, co oni robią...

- Zabiję ich!

- Nie jesteś zabójcą. Nie jesteś wojownikiem, Eleno, i nie powinnaś tego oglądać. Proszę! Pamiętasz, jak pytałaś mnie kiedyś, czy chcę sprawdzić, ile razy możesz mnie zmusić do powiedzenia „proszę”? Teraz każdy liczy się po tysiąc. Proszę! Dla mnie? Uciekniesz?

- Jeszcze jeden pocałunek... - Jej serce waliło jak szalone.

- Proszę!

Oślepiąca łzami, odwróciła się i podbiegła do drzwi od celi.

- Gdziekolwiek poza ceremonią, gdzie nikt mnie nie zobaczy! - krzyknęła, pchnęła drzwi i przeszła przez próg.

Przynajmniej zobaczyła Stefano, ale na jak długo powstrzyma to jej serce od rozpadnięcia się na kawałki -

- o Boże, spadam
- nie wiedziała.

Elena zorientowała się, że jest gdzieś na zewnątrz pensjonatu - na wysokości jakichś trzydziestu metrów - i spada. Jej pierwszą myślą było, że zaraz umrze. Po chwili zadziałał jej instynkt, wyciągnęła ręce na boki i machnęła mocno nogami. Zatrzymała się.

Straciłam skrzydła, te służące do latania, prawda? - pomyślała, skupiając całą uwagę na punkcie pomiędzy łopatkami. Wiedziała, że tam właśnie powinny być, ale nic się nie stało.

Ostrożnie zaczęła przesuwać się bliżej, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby przenieść wyżej gaśnicę, która dzieliła z nią gałąź. Udało jej się znaleźć miejsce, gdzie mogła względnie bezpiecznie usiąść. Gałąź była zdecydowanie zbyt wysoko nad ziemią jak na jej gust.

Odkryła, że gdy spojrzy w dół, całkiem wyraźnie widzi obserwatorium z balustradą na dachu pensjonatu. Im dłużej się wpatrywała, tym lepiej dostrzegała szczegóły. Wzrok wampira, pomyślała. Zrozumiała, że zaczyna się zmieniać. A może po prostu dniało.

W budynku nie paliło się żadne światło i wydawał się zupełnie pusty, co zdziwiło ją, ponieważ ojciec Caroline wspominał o „spotkaniu”, a od Damona dowiedziała się, co Shinichi planuje w związku z Nocą Wzejścia. Czyżby to nie był prawdziwy pensjonat, tylko kolejna pułapka?

- Jesteśmy! - zawołała Bonnie, gdy zbliżyli się do budynku. Jej głos był przenikliwy, wiedziała o tym, zbyt przenikliwy, ale z jakiegoś powodu widok pensjonatu, jaśniejącego w nocy jak choinka z gwiazdą na czubku, podniósł ją na duchu, chociaż zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest prawdziwy. Mogłaby płakać z ulgi.

- Tak, jesteśmy - powiedziała doktor Alpert. - Wszyscy. Isobel potrzebuje leczenia jak najszybciej. Theophilio, przygotuj swoje panaceum. Ktoś powinien ją wykapać.

- Ja to zrobię - zaproponowała Bonnie po chwili wahania. - Będzie spokojna tak jak teraz, prawda? Prawda?

- Ja z nią pójdę - wtrącił Matt. - Bonnie, ty idź z panią Flowers i pomóż jej. Zanim wejdziemy do środka, chciałby ustalić jedną rzecz: nikt nie chodzi nigdzie sam. Poruszamy się tylko dwójkami lub trójkami - dodał tonem przywódcy.

- Słusznie - zgodziła się Meredith i stanęła przy lekarce. - Lepiej bądź ostrożny, Matt. Isobel jest niebezpieczna.

Wtedy usłyszeli wysokie, piskliwe głosy na zewnątrz budynku, jakby śpiew dwóch lub trzech dziewczyn.

Isa-chan, Isa-chan, Wypiła
herbaty dzban, Zjadła babcię
swą I poszła w tan.

- Tami? Tami Bryce? - zapytała Meredith, otwierając drzwi, gdy znów rozległa się melodia. Rzuciła się do przodu, chwyciła doktor Alpert za rękę i pociągnęła ją za sobą.

Tak, stały tam trzy drobne postaci, jedna w piżamie, dwie w koszulkach nocnych. Były to Tami Bryce, Kristin Dunstan i Ava Zarinski. Ava ma tylko jedenaście lat, pomyślała Bonnie, i nie mieszka blisko Kristin ani Tami. Wszystkie trzy chichotały głośno. Potem znów zaczęły śpiewać. Matt podbiegł do Krisitn.

- Pomocy! - zawołała Bonnie. Isobel, którą próbowała przytrzymać, zachowywała się jak dziki żrebak, wierzgając i rzucając się na wszystkie strony. Dziewczyna dostała ataku szału, który nasilał się z każdym kolejnym powtórzeniem piosenki.

- Trzymam ją - powiedział Matt, obejmując ją mocno ramionami, ale nawet we dwójkę nie mogli jej uspokoić.

- Dam jej kolejny środek uspokajający - zaproponowała doktor Alpert. Matt i Meredith wymienili podejrzliwe spojrzenia.

- Nie, niech lepiej pani Flowers coś jej przygotuje -wtrąciła Bonnie rozpaczliwie, ale lekarka już wbijała igłę w ramię Isobel.

- Nic jej pani nie da - rzuciła Meredith, przerywając te szarady i jednym kopnięciem wytrącając strzykawkę z jej rąk.

- Meredith! Co ty robisz? - zawołała doktor Alpert, rozcierając nadgarstek.

- Ważniejsze jest, co pani robi. Kim jesteś? Gdzie my jesteśmy? To nie jest prawdziwy pensjonat.

- Obaasan! pani Flowers! Czy możecie nam pomóc? - wykrzyknęła Bonnie, wciąż próbując przytrzymać Isobel.

- Spróbuję - odpowiedziała pani Flowers, podchodząc do nich.
- Nie, miałam na myśli doktor Alpert. I może Jima. Czy nie zna pani jakiegoś sposobu, który sprawia, że ludzie pokazują swoją prawdziwą naturę?
- Och, mogę coś na to poradzić - wtrąciła Obaasan. -Postaw mnie na ziemię, Jim, skarbie. Zaraz każdy pokaże swoją prawdziwą naturę.

Jayneela była w drugiej klasie liceum. Miała duże, rozmarzone czarne oczy, zwykle wpatrzone w książkę. Teraz jednak zbliżała się północ, a babcia ciągle nie dzwoniła. Zamknęła książkę i spojrzała na Tyrone'a. Na boisku wydawał się duży i groźny, ale poza nim był najmilszym i najbardziej uprzejmym chłopcem, jakiego dziewczyna mogła sobie wymarzyć.

- Myślisz, że z babcią wszystko w porządku?
- Hm? - Tyrone też wsadził nos w książkę, ale była to pozycja z cyklu Jak dostać się do college'u twoich marzeń. Kończył wkrótce szkołę i musiał podjąć kilka ważnych decyzji. - Na pewno.
- Zobaczą w takim razie, co u małej.
- Wiesz co, Jay? - Szturchnął ją w łydkę. - Za dużo się martwisz.

Po chwili znów zagłębił się w rozdział szósty Jak najlepiej wykorzystać doświadczenie w działaniach na rzecz społeczności. Nagle jednak piętro wyżej rozległ się krzyk. Długi, głośny, przeraźliwy krzyk jego siostry. Rzucił książkę i pobiegł.

- Obaasan?
- Chwileczkę, skarbie - odpowiedziała babcia Saitou. Jim postawił ją na ziemi, stała teraz twarzą do niego, zadzierając głowę. On spoglądał na nią z góry. Coś było w tym bardzo nie tak. Bonnie poczuła strach. Czy Jim mógł zrobić Obaasan coś złego, gdy ją niósł? Oczywiście, że mógł. Dlaczego o tym nie pomyślała? I jeszcze ta lekarka ze swoją strzykawką gotowa uspić każdego, kto wpadał w „histerię”. Bonnie spojrzała na Meredith, ale jej przyjaciółka próbowała poradzić sobie z dwiema piszczącymi dziewczynkami i mogła jedynie odwzajemnić bezradne spojrzenie.

Dobrze, pomyślała Bonnie. Kopnę go tam, gdzie najbardziej boli, i zabiorę starszkę daleko od niego. Odwróciła się do Obaasan i zamarła ze zdumienia.

- Muszę tylko zrobić jedną rzecz... - mówiła starszka. I zrobiła to. Jim zgiął się w pół, nachylając się nad nią. Pocałowali się.

O Boże!

Spotkali czworo ludzi w lesie i założyli, że dwoje z nich jest zdrowych, a dwoje szalonych. Ale skąd mogli wiedzieć, którzy są szaleni? Cóż, jeżeli dwoje widzi rzeczy, których nie ma...

Ale budynek tam był. Bonnie też go widziała. Czy to ona była szalona?

- Meredith! - krzyknęła. Nerwy puściły jej zupełnie, zaczęła biec w stronę lasu, jak najdalej od pensjonatu.

Coś opadło z nieba i podniosło ją tak łatwo jak sowa porywa mysz. Trzymało ją w żelaznym uścisku.

- Wybierasz się dokądś? - zapytał głos Damona, gdy po przeleceniu kilku metrów opadli miękko na ziemię.

- Damon!

Wampir zmrużył oczy, jakby bawiło go coś, czego nikt inny nie zauważył.

- Tak, zło wcielone we własnej osobie. Powiedz mi coś, moja ognista furio.

Bonnie była już wyczerpana próbami uwolnienia się z jego uścisku. Nie udało jej się nawet podrzeć jego ubrań.

- Co? - rzuciła. Opętany czy nie, Damon ostatni raz widział ją, gdy wezwała go w domu Caroline. Uratował ją wtedy. Zgodnie jednak z doniesieniami Matta zrobił coś strasznego Elenie.

- Dlaczego kobiety uwielbiają nawracać grzeszników? Można im wcisnąć każdą bzdurę, jeżeli tylko uważają, że cię zmieniły.

Bonnie nie wiedziała, o czym Damon mówi, ale mogła się domyślać.

- Co zrobiłeś Elenie? - zapytała buńczucznie.

- Dałem jej to, czego chciała. Co w tym strasznego? Bonnie nie próbowała nawet uciekać. Wiedziała, że to nie ma sensu. Był szybszy i silniejszy. I potrafił latać. Poza tym dostrzegła w jego oczach bezlitosny błysk. Oni dwoje nie byli po prostu Damonem i Bonnie. Byli drapieżnikiem i ofiarą.

Wrócili do Jima i Obaasan - nie, do chłopaka i dziewczyny, których nigdy wcześniej nie widziała. Zdążyła jeszcze dostrzec ich przemianę. Ciało Jima skurczyło się, a jego włosy stały się czarne, ale nie to było najbardziej uderzające - końcówki tych czarnych włosów miały barwę karmazynu, jakby stały w płomieniach. Jego złote oczy uśmiechały się przewrotnie.

Obaasan tymczasem urosła i odmłodziła. Była piękną dziewczyną, Bonnie musiała to przyznać. Miała wspaniałe śliwkowo czarne oczy i jedwabiste włosy sięgające prawie do pasa. Podobnie jak u jej brata kończyły się na czerwono -ale ich czerwień była jaśniejsza; szkarłat raczej niż karmazyn. Ubrana była w koronkową czarną bluzkę, która ujawniała jej delikatną budowę. I, oczywiście, czarne skórzane biodrówki oraz wyglądające na bardzo drogie sandały na obcasach. Paznokcie pomalowała na taki sam kolor, jaki miały czubki jej włosów.

- Moje wnuki...? - zapytała niepewnie doktor Alpert?

- Nie mają z tym nic wspólnego - odpowiedział czarującym tonem chłopiec o dziwnych oczach. - Dopóki będą się trzymać od wszystkiego z daleka, nic im nie grozi.

To samobójstwo albo próba samobójstwa. Chyba -mówił policyjnemu dyspozytorowi Tyrone, niemal płacząc. - Ten chłopak chyba nazywał się Jim. Chodził ze mną do szkoły. Nie, to nie miało nic wspólnego z narkotykami. Przyszedłem zająć się moją siostrą Jayneelą. Opiekowała się tą małą. Proszę zobaczyć. Chłopak odgryzł sobie palce. A kiedy wszedłem, powiedział: „Zawsze będę cię kochał, Eleno”, wziął ołówek i... nie wiem, czy żyje, czy już nie. Ale na górze jest starsza pani, która na pewno jest martwa. Nie oddycha.

- Kim wy jesteście? - zapytał Matt, przyglądając się uważnie dziwnemu chłopcu.

- Jestem...

- I co do diabła tu robicie?

- Jestem piekielny Shinichi - odpowiedział chłopiec, podnosząc głos, wyraźnie zirytowany, że mu się przerywa. Matt patrzył tylko na niego. - Jestem kitsune, lisolakiem, że tak powiem, który narobił całego tego zamieszania w waszym mieście, idioto. Przemierzyłem pół świata, żeby to zrobić, więc miałem nadzieję, że już przynajmniej zdążyłeś o mnie usłyszeć. A to moja kochana siostrzyczka Misao. Jesteśmy bliźniętami.

- Możecie być nawet trojaczkami. Elena mówiła, że stoi za tym ktoś oprócz Damona. To samo mówił wcześniej Stefano... hej, co zrobiliście Stefano? Co zrobiliście Elenie?!

Podczas gdy dwa samce wpatrywały się w siebie nawzajem, miotając iskry na wszystkie strony - w przypadku Shinichiego niemal dosłownie - Meredith posłała porozumiewawcze spojrzenia Bonnie, doktor Alpert i pani Flowers. Następnie skinęła głową w stronę Matta i położyła dłoń na piersi.

Była jedyną kobietą w towarzystwie wystarczająco silną, by go powstrzymać, chociaż doktor Alpert dała znak, że jej pomoże.

Chłopcy zaczęli już krzyżeć na siebie, Misao chichotała, a Damon opierał się leniwie o drzwi, z zamkniętymi oczami. Wtedy ruszyły. Nie potrzebowały żadnego sygnału. Pobiegły razem w milczącym porozumieniu. Meredith i doktor Alpert chwyciły Matta pod ramiona i po prostu podniosły go. W tej samej chwili Isobel całkiem nieoczekiwanie wskoczyła na Shinichiego z gardłowym okrzykiem. Chociaż niespodziewany, ten atak zdecydowanie był im na rękę, uznała Bonnie. Matt wciąż krzyczał i próbował się wyrwać, żeby wyładować frustrację na Shinichim, ale nie udało mu się uwolnić.

Znów uciekali przez Stary Las. Nawet pani Flowers nie zostawała z tyłu. Większość z nich trzymała w dłoniach latarki.

To był cud. Nawet Damon ich nie doścignął. Musieli teraz być bardzo cicho i spróbować wydostać się z lasu, nie przyciągając niczyjej uwagi. Może uda im się wrócić do prawdziwego pensjonatu. Wtedy mogliby zastanowić się, jak ocalić Elenę przed Damonem i jego przyjaciółmi. W końcu Matt również przyznał, że walka wręcz z trzema nadprzyrodzonymi istotami nie ma za dużo sensu.

Bonnie żałowała tylko, że nie mogli zabrać Isobel ze sobą.

- Cóż, i tak musimy pójść do prawdziwego pensjonatu - powiedział Damon, gdy Misao w końcu obezwładniła Isobel. - Tam będzie czekać Caroline.

Misao wyglądała na zdziwioną.

- Caroline? Po co nam Caroline?

- To część zabawy, prawda? - odpowiedział Damon najbardziej czarującym, uwodzicielskim głosem. Shinichi natychmiast rozchmurzył się i uśmiechnął szeroko.

- Ta dziewczyna - to jej używałaś jako nosicielki, tak? - Zwrócił się do siostry, której uśmiech wydawał się nieco wymuszony.

- Tak, ale...

- Im więcej nas, tym weselej - rzucił Damon, coraz radośniejszy z minuty na minutę. Wydawał się nie widzieć, jak Shinichi za jego plecami posyła ironiczne spojrzenie Misao.

Nie bocz się, kochanie - mówił Kitsune, ujmując ją pod brodę. - Nigdy nawet nie spojrzałem w jej stronę. Ale oczywiście, jeżeli Damon twierdzi, że to będzie dobra zabawa, to na pewno będzie. - Uśmiechnął się szeroko.

- Na pewno nie ma szans, że którekolwiek z nich się stąd wydostanie?
- zapytał Damon, jakby od niechcienia, wpatrując się w mrok Starego Lasu.
- Zaufaj mi choć trochę, proszę - odparował Shinichi. - Jesteś cholernym wampirem, tak? W ogóle nie powinieneś się kręcić po lesie.
- To moje terytorium, razem z cementarzem... - zaczął spokojnie Damon, ale Shinichiemu zależało na tym, by tym razem skończyć swoją wypowiedź.
- Ja mieszkam w lesie - przerwał mu. - Władam lasem, drzewami, krzewami. Wypróbowałem tu też kilka moich sztuczek. Zobaczysz je już wkrótce. Żeby więc odpowiedzieć na twoje pytanie, nie, żadne z nich nie ucieknie.
- Tylko tyle chciałem usłyszeć. - Damon wciąż mówił łagodnie, ale hardo wbił wzrok w złote oczy Kitsune. Po chwili wrzucił ramionami i odwrócił się, by spojrzeć na księżyc prześwitujący między chmurami.
- Mamy jeszcze kilka godzin do początku ceremonii - zauważył Shinichi. - Nie spóźnimy się.
- Lepiej, żeby tak było - mruknął Damon. - Caroline potrafi bardzo dobrze naśladować tę poprzebijaną histeryczkę, kiedy ktoś się spóźnia.

Księżyc był już wysoko na niebie, kiedy Caroline zaparkowała samochód swojej matki przed pensjonatem. Ubrana była w wieczorową sukienkę, brązowo-zieloną (jej ulubione kolory), tak obcisłą, że wyglądała jak namalowana na ciele. Misao zachichotała na jej widok, zakrywając usta dłonią.

Damon podszedł do dziewczyny i poprowadził ją po schodkach do drzwi frontowych.

- Tędy do najlepszych miejsc.

Zrobiło się trochę zamieszania, gdy wszyscy zajmowali swoje miejsca.

- Obawiam się, że wy dostajecie najtańsze. To znaczy, siedzicie na ziemi - mówił Damon do Kristin, Tami i Avy. - Ale jeżeli będziecie grzeczne, następnym razem usiądziecie z nami.

Pozostali byli mu posłuszni, ale Caroline wydawała się zirytowana.

- Czemu chcemy wchodzić do środka? Myślałam, że wszystko będzie się działo na zewnątrz.

- Najbliższe miejsca poza bezpośrednim zagrożeniem - wyjaśnił Damon. - Stamtąd będziemy mieli świetny widok. Królewska łoża, chodź.

Lisie bliźnięta podążyły za wampirem i dziewczyną, włączając światła w całym budynku, aż weszli na dach i usiedli za balustradą obserwatorium.

- No i gdzie oni są? - domagała się Caroline, zerkając w dół.
- Będą tu lada chwila - odpowiedział Shinichi z wyrazem zdziwienia i dezaprobaty. Za kogo ta dziewczyna się uważa?

- A Elena? Czy ona też tu będzie?

Shinichi nie odpowiedział, a Misao zachichotała. Damon zbliżył usta do ucha Caroline i szepnął jej kilka słów.

Oczy dziewczyny zajaśniały zielenią jak ślepie dzikiego kota. Uśmiechnęła się uśmiechem drapieżnika, który właśnie dopadł swą ofiarę.

ROZDZIAŁ 19

Elena czekała na swoim drzewie.

Tak jak przez sześć miesięcy w świecie duchów, kiedy większość czasu spędzała, obserwując ludzi, czekając i znowu ich obserwując. Nauczyła się wtedy cierpliwości, która zdumiałaby każdego, kto znał dawną tryskającą energią Elenę.

Oczywiście, dawna Elena nie zniknęła i od czasu do czasu podnosiła bunt.

Na razie nic się nie działo w pensjonacie. Tylko księżyc wędrował po niebie, wdrapując się coraz wyżej.

Damon powiedział, że Shinichi upodobał sobie godzinę czwartą czterdzieści rano lub wieczorem. Może jego czarna magia kierowała się innym zegarem niż jakakolwiek inna, o której słyszała.

W każdym razie chodziło o Stefano. Gdy tylko o tym pomyślała, zrozumiała, że mogłaby siedzieć na tej gałęzi całymi dniami, gdyby było to konieczne. Na pewno mogła poczekać do świtu, kiedy żaden szanujący się adept czarnej magii nie pomyślałby nawet o rozpoczynaniu ceremonii.

W końcu to, na co czekała, pojawiło się tuż pod jej nogami.

Najpierw zobaczyła kilka postaci wychodzących ze Starego Lasu i zmierzających do frontowych drzwi budynku. Nie było trudno je zidentyfikować, nawet z dużej odległości. Jedną z nich był Damon - miał w sobie coś takiego, że Elena rozpoznałaby go nawet z kilometra, a jego obecna aura była doskonałą podróbką dawnej: kula z czarnego kamienia, nieczytelna, nie do zniszczenia. Doskonałą podróbką, w rzeczy samej. Właściwie to wyglądała dokładnie tak samo...

Wtedy Elena poczuła - uświadomiła to sobie później -pierwszy dreszcz niepokoju.

Na razie jednak była tak pochłonięta obserwowaniem wydarzeń, że wymiotła go poza próg świadomości. Postać o ciemnoszarej aurze, z przebłyskami czerwieni musiała być Shinichim. Jego siostra, Misao, miała aurę identyczną jak opętane dziewczyny: błotnista plama poprzecinana pomarańczowymi zygzakami.

Ci dwoje trzymali się za ręce, od czasu do czasu ocierając się o siebie przymilnie - Elena widziała to wyraźnie, gdy zbliżali się do pensjonatu. Z pewnością nie zachowywali się jak rodzeństwo.

Damon natomiast niósł przerzuconą przez ramię prawie nagą dziewczynę. Elena nie mogła odgadnąć, kto to.

Cierpliwości, powiedziała sobie w duchu. Cierpliwości. Najważniejsi gracze już tu są, zgodnie z obietnicą Damona. A pozostali...

Za pierwszą grupą szły trzy dziewczynki. Elena od razu rozpoznała Tami Bryce - po jej aurze - ale pozostałych nie знаła. Wybiegły z lasu, podskakując i tańcząc. Gdy wszyscy znaleźli się przed drzwiami pensjonatu, usłyszały jakieś polecenie od Damona i usiadły w ogródku pani Flowers, niemal bezpośrednio pod Eleną. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na ich aury, by przekonać się, że również pozostają pod kontrolą Misao.

Potem pod budynek podjechał znajomy samochód -należący do pani Forbes. Gdy Caroline wysiadła z niego, Damon zaprowadził ją do budynku. Elena zauważyła, że pozbył się już dziewczyny, którą przyniósł, ale nie wiedziała, co się z nią stało.

Ucieszył ją widok zapalanych świateł, gdy Damon i jego troje towarzyszy wchodzili na górę. Po chwili wyszli na dach i stanęli w rzędzie przy balustradzie, spoglądając w dół.

Damon pstryknął palcami i zapaliły się również światła na podwórku. Przygotowania do przedstawienia zostały zakończone.

Elena nie dostrzegła jednak aktorów - ofiar ceremonii, która miała się zacząć. Aż dotąd. Zgromadzili się przy odległym rogu budynku. Widziała ich wszystkich: Matta, Meredith, Bonnie, panią Flowers i - o dziwo - doktor Alpert. Nie rozumiała, dlaczego się nie opierają - Bonnie z pewnością robiła dość hałasu za nich wszystkich, ale zachowywali się, jakby coś ciągnęło ich do przodu wbrew woli.

Wtedy zobaczyła ciemność czyhającą za nimi. Ogromne cienie, bezkształtne i mroczne.

Po chwili zorientowała się, że - nawet pomimo krzyków Bonnie - jeżeli skupi się wystarczająco, może usłyszeć, co mówią osoby na dachu. Przenikliwy głos Misao wybijał się ponad pozostałe.

- Och, wspaniale! Mamy ich wszystkich z powrotem -piszczła. Pocałowała brata w policzek, nie zważając na lekkie poirytowanie malujące się na jego twarzy.

- Oczywiście. Mówiłem, że tak będzie - zaczął, ale Misao znowu zapiszczła.

- Ale od którego zaczniemy? - Pocałowała go jeszcze raz i pogłaskała po włosach.

- Sama wybierz - zaproponował.

- Ty wybierz, kochanie.

Uroczy są ci dwoje, pomyślała z przekąsem Elena. Bliźnięta, tak?

- Ta mała, hałaśliwa - zdecydował w końcu Shinichi. - Urusei, smarkulo! Zamknij się! - dodał, gdy Bonnie zbliżyła się, popychana czy też niesiona przez cienie. Elena widziała ją teraz wyraźniej.

Słyszała rozdzierające serce błagania Bonnie. Prosiła Damona, żeby nie robił tego pozostałym.

- Nie proszę o siebie - wołała, podczas gdy cienie popychały ją w stronę światła. - Ale doktor Alpert to dobra kobieta, nie ma z tym nic wspólnego. Tak samo jak pani Flowers. A Meredith i Matt dość już wycierpieli. Proszę!

Zapanował zgiełk, gdy pozostali próbowali się uwolnić, ale musieli ulec sile, która ich pętała. Głos Matta przebił się przez ten hałas.

- Tylko jej dotknij, Salvatore, a będziesz się musiał upewnić, że mnie też zabijesz!

Serce Eleny podskoczyło, gdy usłyszała jego silny, pewny głos. W końcu znalazła Matta, ale nie wiedziała, jak ma go ocalić.

- A teraz musimy zdecydować, co z nimi zrobić na dobry początek - powiedziała Misao, klaszcząc w dłonie jak dziecko na przyjęciu urodzinowym.

- Ty decyduj. - Shinichi pogłaskał siostrę po włosach i szepnął jej coś do ucha. Obróciła się i pocałowała go w usta. Bez pośpiechu.

- Co do... co się dzieje? - zapytała Caroline. Ta to nigdy nie była nieśmiała, pomyślała Elena. Dziewczyna podeszła i złapała Shinichiego za rękę.

Przez moment Elena miała wrażenie, że Kitsune wyrzuci Caroline przez barierkę, patrząc, jak rozbija się o ziemię kilka piętér niżej. Shinichi jednak odwrócił się i wymienił spojrzenia z Misao.

Roześmiał się.

- Przepraszam, tak trudno jest być duszą towarzystwa. No, co o tym sądzisz, Carolyn... Caroline?

Dziewczyna wpatrywała się w niego.

- Dlaczego ona cię trzyma w ten sposób?

- W Shi no Shi siostry są bardzo cenne - odpowiedział. - A ja... cóż, nie widziałem jej od bardzo dawna. Musimy nadrobić zaległości. - Pocałunek, który złożył na dłoni Misao, trudno by jednak było nazwać braterskim. - No już - zwrócił się do Caroline. - Wybierz pierwszą atrakcję Festiwalu Wzejścia! Co z nią zrobimy.

Caroline zaczęła naśladować Misao, całując Shinichiego w policzek i w ucho.

- Jestem tu nowa - powiedziała kokieteryjnie. - Nie wiem, co mam wybrać.

- Głupiutka Caroline. Oczywiście, że masz wybrać, jak ją zabi... - Przerwał mu nagły uścisk i pocałunek siostry.

- Cóż, jeśli mi nie powiecie, nie mogę wybrać - rzuciła Caroline, której najwyraźniej podobało się, że może zdecydować, nawet jeżeli nie wiedziała o czym. - Poza tym, gdzie jest Elena? Nie widzę jej! - Chyba zamierzała powiedzieć coś jeszcze, ale Damon podszedł i szepnął jej coś do ucha.

Uśmiechnęła się i oboje spojrzeli w stronę rosnących przy pensjonatu sosen.

Wtedy po raz drugi Elena poczuła dreszcz niepokoju. Skupiła się jednak na tym, co mówiła Misao.

- Dobrze! Więc ja wybiorę! - Wychyliła się przez balustradę, z szeroko otwartymi oczami spoglądając na ludzi na ziemi i rozważając możliwości, jakie dawała otwarta przestrzeń przed budynkiem. Była tak delikatna, tak zwiewna, gdy zrobiła krok w tył, by się zastanowić. Piękna cera, włosy tak błyszczące i czarne - wszystko to sprawiało, że nawet Elena nie mogła oderwać od niej wzroku.

W końcu twarz Misao rozjaśniła się i dziewczyna oznajmiła swoją decyzję.

- Połóżcie ją na ołtarzu. Przyprowadziłeś swoje mieszańce? - To ostatnie było bardziej radosnym wykrzyknięciem niż pytaniem.

- Moje eksperymenty? Oczywiście, kochanie. Mówiłem ci - odpowiedział Shinichi. Patrząc w stronę lasu, pstryknął palcami. Przez kilka minut na dole panował chaos, gdy ludzie wokół Bonnie próbowali opierać się napierającym ceniom. W końcu dwie istoty, które już wcześniej niosły ze sobą Bonnie, podprowadziły ją, nie stawiając już oporu, jeszcze bliżej.

Mieszkańce wyglądały trochę jak ludzie, a trochę jak drzewa odarte z liści. Jeżeli ktoś nadał im kształt celowo, to wyraźnie chciał osiągnąć efekt przerażającej groteski. Jeden miał powyginane, wypaczone lewe ramię, które sięgało prawie do ziemi, podczas gdy prawe było proste, grube i długie jedynie do pasa.

Były potworne. Ich skóra przypominała chitynowe powłoki insektów, ale była bardziej chropowata, usiana wgłębieniami i zgrubieniami; na ramionach-gałęziach wyglądała całkiem jak kora. Miejscami mieszkańce wydawały się niedokończone albo nieudane.

Były przerażające. Ich powyginane kończyny, ich krok, kołyszący się, jak u małp, drzewopodobne karykatury ludzkich twarzy, otoczone małymi gałązkami odstającymi w każdym kierunku - były zaprojektowane jako postaci z koszmarów.

Były też nagie. Żadne ubranie nie ukrywało ohydnych deformacji ich ciała.

Elena przekonała się, co naprawdę znaczy groza, kiedy dwa telepiące się małaki zniosły Bonnie na coś w rodzaju improwizowanego ołtarza z ociosanego pnia drzewa, położyły ją na nim i zaczęły zdierać z dziewczyny kolejne warstwy ubrań, niezdarnie chwytając je patykowatymi palcami, które łamały się przy mocniejszym szarpnięciu. Nie wydawało się to im przeszkadzać, tak skupione były na wykonaniu zadania.

Za pomocą strzępów ubrania, jeszcze bardziej niezdarnie, zaczęły przywiązywać Bonnie, z szeroko rozłożonymi rękami i nogami, do czterech słupków, które wyrwały z własnych ciał i wbiły w ziemię wokół ołtarza czterema potężnymi uderzeniami kończyn.

Tymczasem od strony lasu podszedł trzeci mieszaniec. Ten z całą pewnością był samcem.

Przez moment obawiała się, że Dantonowi mogą puścić nerwy, że może wściec się i zaatakować lisie bliźnięta, ujawniając swoje prawdziwe ja. Jego uczucia w stosunku do Bonnie musiały się jednak znacząco zmienić od czasu, gdy uratował ją przed Caroline. Wyglądał na zupełnie odprężonego, stojąc obok Shinichiego i Misao, uśmiechając się i nawet mówiąc coś, co rozśmieszyło jego kompanów.

Ponure przeczcucie ogarnęło Elenę. To już nie był niepokój, to był prawdziwy strach. Damon przy nikim jeszcze nie wyglądał tak naturalnie, tak swobodnie, tak radośnie jak przy Kitsune. Nie mogły go przemienić, nie, powtarzała sobie. Nie mogły go znowu opętać, nie tak szybko, nie bez jej wiedzy...

Ale kiedy pokazałaś mu prawdę, był nieszczęśliwy, szepnęło jej serce. Zrozpaczony i nieszczęśliwy. Mógł sięgnąć po opętanie jak alkoholik sięga po butelkę, pragnąc tylko zapomnienia. Znajac Damona, mogła spodziewać się, że dobrowolnie na powrót oddał się ciemności.

Nie potrafił wytrwać w świetle, myślała. Teraz może się więc śmiać, patrząc na cierpienie Bonnie.

Co ma teraz zrobić? Skoro Damon przeszedł na stronę wroga, nie jest już jej sprzymierzeńcem, ale przeciwnikiem? Drżała z gniewu i nienawiści - tak, i strachu też. Rozpaczliwie rozważała swoją sytuację.

Sama jedna przeciwko trzem najpotężniejszym przeciwnikom, jakich mogła sobie wyobrazić, i ich armii ohydnych, bezdusznych zabójców? Nie wspominając o Caroline, tej księżniczce zła.

Jakby po to, by wzmóc jej przerażenie i pokazać jej, jak małe są naprawdę jej szanse, drzewo, na którym siedziała, poruszyło się, niemal zrzucając ją na ziemię. Elena była przekonana, że zaraz spadnie, obracając się w powietrzu i krzycząc. Uratowała się jedynie dzięki desperackim ruchom, które pozwoliły jej złapać się kilku niewielkich gałązek i podciągnąć na nich, zanim się urwały.

Jesteś teraz ludzką istotą, moja droga, wydawał się przemawiać do niej słodki zapach żywicy. A stoisz naprzeciw mocy nie umarłych i czarnoksiężników. Po co walczyć? Już przegrałaś. Poddaj się, a nie będzie bolało tak bardzo.

Gdyby powiedziała jej to jakaś osoba, jakkolwiek przekonująca by była, słowa wznieciłyby w sercu Eleny iskrę oporu. Teraz jednak było to po prostu uczucie, aura zagłady, która ją ogarnęła cicho i podstępnie jak mgła, gdy uświadomiła sobie, jak beznadziejna jest jej pozycja, jak słaba jej broń.

Oparła głowę o pień drzewa. Nigdy jeszcze nie czuła się tak słaba, tak bezradna - ani tak samotna - nie, odkąd stała się wampirem. Chciała Stefano. Ale Stefano nie potrafiłby pokonać tych trojga, więc mogła go już nigdy nie zobaczyć.

Zauważyła na dachu jakieś poruszenie. Damon przyglądał się Bonnie rozciągniętej na ołtarzu z wyrazem irytacji na twarzy. Dziewczyna rozpaczliwie wbijała wzrok w nocne niebo, jakby odmawiała już szlochania i błagania.

- Czy... to wszystko musi być takie przewidywalne? -zapytał wampir, wyglądając na szczerze znudzonego.

Ty draniu, zdradziłeś najlepszych przyjaciół wyłącznie dla zabawy, pomyślała Elena. Poczekaj tylko. Wiedziała jednak, że tak naprawdę bez niego nie jest w stanie przeprowadzić planu i pokonać Kitsune, lisołaków.

- Mówiłeś, że w Shi no Shi czekać na mnie będzie prawdziwie oryginalny spektakl - ciągnął Damon. - Zahipnotyzowane dziewczęta dokonujące samookaleczenia...

Elena nie zwracała uwagi na jego słowa. Całą energię włożyła w powstrzymanie bólu łomoczącego w jej klatce piersiowej. Czowała, jakby ściągała krew z najdrobniejszych żył, z najdalszych zakamarków jej ciała i zbierała ją w samym środku piersi.

Umysł ludzki jest nieskończony, pomyślała. Jest równie niezbadany i nieskończony jak wszechświat. A ludzka dusza...

Trzy opętane dziewczynki przed pensjonatem zaczęły tańczyć wokół Bonnie, śpiewając fałszywie słodkimi dziecięcymi głosikami:

Tutaj umrzesz, umrzesz tu, A gdy
tutaj umrzesz już, W twarz ci rzucą
pył i kurz.

Urocze, pomyślała Elena. Po czym znów zaczęła obserwować wydarzenia na dachu. Zaskoczyło ją to, co zobaczyła. Meredith znalazła się teraz na górze, poruszając się jak w transie. Elena nie zauważyła, kiedy to się stało. Czy to była magia? Misao patrzyła na dziewczynę, chichocząc. Damon też się śmiał, ale szyderczo.

- I oczekujesz, że uwierzę, że jak dam tej dziewczynie nożyczki, to się potnie...

- Spróbuj i przekonaj się na własne oczy - przerwał mu Shinichi z leniwym gestem. Opierał się o kopułę obserwatorium, próbując wyglądać na jeszcze bardziej odprężonego niż Damon. - Nie widziałeś naszej zwyciężczyni, Isobel? Sam ją tu przyniosłeś. Czy nic nie mówiła?

Damon wyciągnął rękę.

- Nożyczki - powiedział i natychmiast w jego dłoni pojawiły się nożyczki do paznokci. Wyglądało na to, że magia będzie mu posłuszna nawet w prawdziwym świecie, tak długo jak długo trzymał klucz Shinichiego. Roześmiał się. - Nie, nie. Nożyczki dla dorosłych. Język to silne mięśnie, a nie papier.

W jego dłoni pojawiły się ogrodowe nożyce, duże i ostre, z pewnością nie przeznaczone do zabawy. Otworzył je i zamknął, sprawdzając, czy

chodzą gładko. Po czym spojrział prosto w stronę Eleny, nie musząc nawet się za nią rozglądać, i mrugnął.

W odpowiedzi mogła jedynie wpatrywać się w niego w przerażeniu.

Wiedziała, pomyślała. Cały czas wiedziała, gdzie jestem.

To o tym szeptał Caroline do ucha.

Nie udało się. Skrzydła Odkupienia nie zadziałały. Elena miała wrażenie, że spada w otchłań bez dna. Powinnam była się tego spodziewać. Cokolwiek bym zrobiła, Damon zawsze pozostanie Damonem. A teraz daje mi wybór: patrzeć, jak dwie moje najlepsze przyjaciółki giną w męczarniach, albo pokazać się i przystać na jego warunki.

Co mogła zrobić?

Doskonale to zaplanował; mistrzowsko rozstawił figury. Pionki na dwóch poziomach - nawet gdyby mogła jakoś uratować Bonnie, Meredith byłaby stracona. A Bonnie leżała przywiązana do czterech słupów i pilnowali jej drzewa-ludzie. Meredith była bliżej, na dachu, ale żeby ją uwolnić, Elena musiałaby po drodze minąć Misao, Shinichiego, Caroline i wreszcie Damona.

Musiała wybierać. Czy już teraz wyjść z ukrycia, czy czekać, aż wygoni ją stamtąd widok tortur jednej z dwóch osób, które były praktycznie częścią jej samej.

Wydawało jej się, że złapała strzępek myśli Damona: „To najlepsza noc mojego życia”.

Zawsze możesz skoczyć, podpowiedział jej znowu mglisty duch kłęski. Skończyć to wszystko. Przerwać swoje cierpienie. Ot tak.

- Teraz moja kolej - mówiła Caroline, przeciskając się między bliźniętami, żeby podejść do Meredith. - Ja miałam wybierać pierwsza. Więc teraz moja kolej.

Misao śmiała się histerycznie, ale Meredith podeszła bliżej, wciąż pogrążona w transie.

- Och, jak chcesz - zgodził się Damon. Nie poruszył się, patrząc z ciekawością, jak Caroline przemawia do Meredith.

- Zawsze miałaś język jak zmija. Może nadałabyś mu odpowiedni kształt, co? Jak widelec. Zanim potniesz go na kawałki.

Meredith bez słowa, jak automat, wyciągnęła rękę.

Wciąż wbijając wzrok w Damona, Elena powoli wciągnęła powietrze. Jej klatka piersiowa poruszała się w nienaturalny sposób, wstrząsana spazmami, jak wtedy, gdy zabójcze pnącza próbowały ją udusić. Ale żaden ból jej ciała nie mógłby teraz powstrzymać Eleny.

Jak mam wybrać? - myślała. Bonnie i Meredith - kocham je obie.

Nic innego nie mogę zrobić, uświadomiła sobie. Nie wiem, czy sam Damon potrafiłby ocalić je obie, nawet gdybym mu się poddała. Pozostali - Shinichi, Misao, nawet Caroline - chcą krwi. A Shinichi kontroluje nie tylko drzewa, ale właściwie wszystko w Starym Lesie, w tym swoje potworne mieszańce. Może tym razem Damon się przeliczył, porwał się na coś, czemu nie może sprostać. Chciał mnie, ale za daleko się posunął, by mnie zdobyć. Nie widzę wyjścia.

I nagle je zobaczyła. Nagle wszystkie elementy zajęły swoje miejsce i obraz stał się jasny jak słońce. Wiedziała.

Spojrzała w dół na Bonnie, niemal w szoku. Bonnie też na nią patrzyła. Ale w jej małej, bladej twarzyczce nie było śladu nadziei na ocalenie. Bonnie pogodziła się już ze swoim losem, ze śmiercią.

Nie, pomyślała Elena niepewna, czy Bonnie może ją usłyszeć.

Uwierz.

Nie ślepo, nigdy ślepo. Uwierz w to, co twój umysł pokazuje ci jako prawdę, w to, co serce podpowiada ci jako słuszną drogę. Nigdy cię nie opuszczę. Ani ciebie, ani Meredith.

Ja wierzę. Duszę Eleny przeszły dreszcz. Wierzę. Poczula, że to już, że trzeba ruszać. W jej głowie wciąż dzwoniło to jedno słowo, gdy wstała i puściła gałąź, gdy rzuciła się w dół, pikując z dwudziestu metrów.

Uwierz.

ROZDZIAŁ 20

Gdy spadała, ostatnich kilka miesięcy przewinęło się jej przed oczami.

Dzień, gdy spotkała Stefano... Była wtedy kimś zupełnie innym. Lodowata na zewnątrz, płonąca w środku - a może odwrotnie? Wciąż oszołomiona po śmierci rodziców, choć minęło już tyle czasu. Zmęczona światem i wszystkim, co miało związek z facetami... Księżniczka z lodowej wieży... pragnąca tylko podbojów, tylko mocy... aż zobaczyła jego.

Uwierz.

A potem świat wampirów... i Damon. Złowroga dzikość, którą odkryła w sobie, namiętność. Stefano był jej podporą, ale to Damon był ognistym powietrzem, które unosiło jej skrzydła. Jakkolwiek daleko by się posunęła, wydawał się kusić ją do kolejnego kroku. Wiedziała, że któregoś dnia to okaże się za daleko... dla nich obojga. Ale teraz musiała zrobić jedną prostą rzecz. Uwierzyć.

Meredith, Bonnie i Matt. Jej relacje z nimi zmieniły się, zdecydowanie. Na początku, nie wiedząc, czym sobie zasłużyła na takich przyjaciół, nie starała się traktować ich tak, jak oni na to zasłużyli. Ale jednak byli z nią. A teraz wiedziała już, jak bardzo powinna ich doceniać. Wiedziała, że oddała-by za nich życie.

Oczy Bonnie śledziły jej pikujący lot. Publiczność na dachu też jej się przyglądała, ale to w twarz Bonnie Elena wbiła wzrok. Dziewczyna była zdumiona i przerażona, nie dowierzała temu, co widzi, chciała krzyczeć, ale rozumiała, że żaden krzyk nie ocali Eleny przed śmiertelnym upadkiem.

Bonnie, uwierz we mnie. Ocalę cię. Pamiętam, jak się lata.

ROZDZIAŁ 21

Bonnie wiedziała, że wkrótce umrze.

Miała wyraźne przeczucie swojej śmierci tuż przed tym, jak te rzeczy - drzewa, które poruszały się jak ludzie, z potwornymi twarzami i potężnymi ramionami - otoczyły małą grupkę ludzi w Starym Lesie. Usłyszała wycie psa, odwróciła się i kątem oka dostrzegła zwierzę znikające za drzewami. Psy zajmowały ważne miejsce w jej rodzinnej historii: gdy wyły, zbliżała się śmierć.

Domyśliła się, że tym razem chodzi o nią.

Nic jednak nie powiedziała, nawet gdy doktor Alpert zapytała: „Co to było, na Boga?”. Starła się być dzielna. Meredith i Matt byli dzielni. To było w nich jakoś wpisane, umiejętność zachowania zimnej krwi, gdy każdy normalny człowiek uciekłby w panice. Oboje stawiali dobro grupy ponad własnym. Doktor Alpert oczywiście też była dzielna i silna, a pani Flowers wydawała się traktować opiekę nad tą gromadką nastolatków jako swoją życiową misję.

Bonnie chciała pokazać, że też nie jest tchórzem. Z uporem trzymała głowę dumnie podniesioną i nasłuchiwała tego, co działo się w zaroślach,

jednocześnie swoim szóstym zmysłem próbując usłyszeć Elenę. Trudno było pomylić te dwa rodzaje słuchu. Prawdziwymi uszami słyszała wiele: wszelkiego rodzaju trzaski, szepty i chichoty, które nie powinny rozlegać się w bezludnym lesie. Od Eleny nie nadchodził jednak żaden sygnał, nawet gdy zaczęła ją wołać: Elena, Elena, Elena!

Ona znów jest człowiekiem, uświadomiła sobie w końcu. Nie słyszy mnie, nie może nawiązać kontaktu. Z nas wszystkich tylko jej nie udało się cudownie uciec.

Wtedy właśnie z mroku, tuż przed nimi, wychynął pierwszy drzewo-człowiek. Jak istota ze strasznych opowieści dla dzieci, był drzewem, a potem - nagle - stał się tą rzeczą, drzewopodobnym gigantem, który zmierzał szybko w ich stronę, podczas gdy jego górne gałęzie splatały się razem, tworząc ramiona. A potem wszyscy zaczęli krzyczeć i próbowali mu się wymknąć.

Bonnie nigdy nie zapomni, jak Matt i Meredith próbowali jej wtedy pomóc.

Mieszaniec nie był szybki. Ale kiedy odwrócili się i zaczęli uciekać, odkryli, że za nimi stoi jeszcze jeden. Kolejne otaczały ich ze wszystkich stron. Nie było ucieczki.

Drzewa-ludzie popędzili ich do przodu - jak bydło, jak niewolników. Każdy, kto próbował się opierać, był bity gałęziami-ramionami, których chropowata kora rozcinała skórę do krwi. Jeżeli wciąż odmawiał posłuszeństwa, pnącza owijały mu się wokół szyi i dusiły.

Zostali schwytani, ale nie zabici. Zabierano ich dokądś. Nie było trudno domyślić się dlaczego - prawdę mówiąc, Bonnie potrafiła wyobrazić sobie wiele różnych powodów. Trzeba było tylko wybrać najstraszniejszy.

W końcu po długim marszu, który wydawał się ciągnąć godzinami, Bonnie zaczęła rozpoznawać okolicę. Wracali do pensjonatu. Czy może raczej szli do prawdziwego pensjonatu - po raz pierwszy. Przed budynkiem, oświetlonym od góry do dołu, nie licząc kilku ciemnych okien, stał samochód Caroline.

A oprawcy już na nich czekali.

Teraz, po fali szlochów i błagań, znów próbowała być dzielna.

Kiedy ten chłopak z dziwnymi włosami powiedział, że ona będzie pierwsza, zrozumiała, co ma na myśli; wiedziała, że teraz umrze. I nagle opuściła ją odwaga. Ale nie krzyczała, już nie.

Widziała obserwatorium na dachu i postaci stojące przy nim. Damon roześmiał się, gdy mieszańce zaczęły zdzierać z niej ubrania. Znów śmiał

się, kiedy Meredith wzięła do ręki ogrodowe nożyce. Nie będzie go już więcej błagać; tym bardziej że nic to nie da.

Leżała na plecach, z nogami i rękami przywiązany do czterech słupów, bezradna, ubrana w łachmany. Chciała, żeby zabili ją jak najszybciej, żeby nie musiała patrzeć, jak Meredith tnie sobie język na kawałki.

Wzbierała w niej furia jak fala tsunami. W tej samej chwili zobaczyła Elenę, siedzącą wysoko ponad nią, na gałęzi sosny.

- Skrzydła Wiatru - szepnęła Elena, gdy ziemia zbliżała się do niej coraz szybciej.

Natychmiast wyrosły jej skrzydła. Nie były prawdziwe, ale miały rozpiętość dobrych dwunastu metrów. Wykonane ze złotej pajęczyny, mieniły się wszelkimi odcieniami od głębokiego bursztynu tuż przy łopatkach po eterycznie bladą cytrynę na czubkach. Niemal nieruchome unosiły się i opadały tylko nieznacznie, ale zatrzymały ją w powietrzu i zaniósł ją dokładnie tam, gdzie musiała lecieć.

Nie do Bonnie. Tego spodziewali się tamci. Mogłaby wylądować przy niej i spróbować ją uwolnić, ale nie wiedziała, jak rozciąć jej więzy ani czy udałoby się jej znowu wzbić w powietrze.

Zamiast tego w ostatniej chwili skierowała się ku obserwatorium, wyrwała nożyce z dłoni Meredith, potem chwyciła za jedwabiste czarne włosy. Misao wrzasnęła. I wtedy...

I wtedy Elena naprawdę potrzebowała wiary. Na razie tylko szybowała, nie leciała naprawdę. Teraz musiała jednak się unieść, musiała skłonić skrzydła do pracy... znowu, choć nie miała na to czasu, była ze Stefano, czując...

.. jak całowała go pierwszy raz. Inne dziewczyny mogą czekać, aż to chłopak je pocałuje, ale nie Elena. Poza tym Stefano wtedy myślał jeszcze, że całowanie służy tylko omamieniu ofiary...

... jak on całował ją po raz pierwszy, rozumiejąc, że łączy ich zupełnie inna relacja niż drapieżnika i ofiarę...

A teraz naprawdę musiała lecieć.

Wiem, że potrafię...

Ale Misao była taka ciężka, a pamięć Eleny zwodziła ją. Wielkie złote skrzydła zadrżały, ale się nie poruszyły. Shinichi próbował wdrapać się na balustradę, by ją dosięgnąć, a Damon trzymał Meredith i nie ruszał się z miejsca.

W końcu, zbyt późno, Elena zrozumiała, że to się nie uda.

Była sama. Nie mogła walczyć w ten sposób. Nie przeciw tak wielu przeciwnikom.

Była sama, a jej plecy przeszył ból tak przenikliwy, że chciała krzyżeć. Misao w jakiś sposób sprawiła, że stała się jeszcze cięższa. Za chwilę będzie zbyt ciężka, by skrzydła Eleny mogły to wytrzymać.

Była sama i, podobnie jak reszta ludzi, miała wkrótce umrzeć.

Wtedy, ponad krzykiem Misao, ponad spazmem bólu, usłyszała głos Stefano.

- Eleno! Puść! Upadnij, a ja cię złapię!

Jakie to dziwne, pomyślała, jakby to był sen. Miłość i strach zniekształciły jego głos - brzmiał jakoś inaczej. Brzmiał jak...

- Eleno! Jestem z tobą! ... jak

Damon.

Wytrącona ze snu Elena spojrzała w dół. Zobaczyła Damona, zasłaniającego swoim ciałem Meredith i wyciągającego do niej ramiona.

Był z nią.

- Meredith - ciągnął - dziewczyno, to nie czas na lunatykowanie! Twoja przyjaciółka cię potrzebuje! Elena cię potrzebuje!

Meredith powoli uniosła głowę. Elena zobaczyła, jak w jej policzki i w jej oczy skupione na drżących złotych skrzydłach wraca życie.

- Eleno! - zawołała. - Jestem z tobą! Eleno!

Skąd wiedziała, co ma powiedzieć? Bo to Meredith, a Meredith zawsze wie, co powiedzieć.

Jakiś głos powtórzył jej okrzyk: głos Matta.

-Eleno! - krzyczał. - Jestem z tobą! Eleno! I głos doktor Alpert.

-Eleno! Jestem z tobą, Eleno!

- zaskakująco silny - głos pani Flowers.

- Eleno! Jestem z tobą, Eleno!

I w końcu Bonnie, biedna Bonnie.

- Jesteśmy z tobą, Eleno!

A gdzieś w głębi serca usłyszała szept prawdziwego Stefano.

- Jestem z tobą, moja kochana!

- Wszyscy jesteśmy z tobą, Eleno!

Nie puściła Misao. Złote skrzydła złapały wiatr; poniosły ją niemal prosto w górę. Jakoś jednak udało jej się zachować równowagę. Wciąż patrzyła w dół, a z jej oczu pociekły łzy i opadły na wyciągnięte ramiona

Damona. Nie wiedziała, dlaczego płacze, ale chyba po części też dlatego, że w niego zwątpiła.

Damon nie tylko był po jej stronie. Jeżeli się nie myliła, był gotów za nią umrzeć - flirtował ze śmiercią, by ją ocalić. Rzucił się na pnącza i wąsy, które pojawiły się znikąd i próbowały pochwycić Meredith i Elenę.

Nie zdążyła odlecieć, gdy Shinichi już rzucił się na nią, pod postacią lisa, z rozwartą paszczą, celując kłami w odstonięte gardło. Nie był zwyczajnym lisem. Wielki jak wilk -a przynajmniej duży pies - pałał żądzą krwi jak wilkołak.

Tymczasem całe obserwatorium wraz z otaczającą je balustradą przemieniło się w kłąb pnączy, wąsów i macek, które unosiły Shinichiego w górę. Elena nie wiedziała, w którą stronę się skierować, by ich uniknąć. Potrzebowała czasu, by znaleźć jakieś wyjście.

Caroline krzyczała.

W końcu Elena dostrzegła drogę ucieczki. Rzuciła się w lukę między spletanymi konarami. Miała niejasną świadomość, że przelatuje właśnie nad balustradą i że wciąż trzyma Misao za włosy. To musiało być niezwykle bolesne dla kitsune kołyszącej się pod uskrzydloną dziewczyną jak wahadło.

Elena obejrzała się jeszcze i zobaczyła Damona, który poruszał się szybciej niż cokolwiek, co widziała w swoich wielu żywotach. Trzymał Meredith w ramionach i biegł do drzwi prowadzących na schody. Ledwie przez nie przebiegł, już pojawił się na dole, pędząc w stronę ołtarza, na którym leżała Bonnie. Wpadł na jednego z drzewa-ludzi. Zwrócił wzrok w górę i ich oczy spotkały się; jakaś iskra przeskoczyła między nimi. Spojrzenie Damona przeszło ją dreszczem.

Oceeniła sytuację. Caroline znów krzyczała, Misao próbowała chwycić ją za nogę i wzywała na pomoc mieszkańców. Elena nie miała pojęcia, w jaki sposób steruje skrzydłami, ale wydawały się słuchać każdej jej myśli, tak jakby miała je od zawsze. Cała sztuka polegała na tym, by nie zastanawiać się, jak dotrzeć w określone miejsce, ale po prostu wyobrazić sobie, że się tam jest.

Drzewa-ludzie tymczasem rośli. Wyglądali jak postaci z horroru. W pierwszej chwili Elena miała wrażenie, że to ona się kurczy. Ale potworne stworzenia były już wyższe od pensjonatu, a ich górne, węzowate gałęzie próbowały oplatać jej nogi. Dziny Eleny były w strzępach. Stłumiła okrzyk bólu.

Muszę wznieść się wyżej. Mogę to zrobić. Ocalę was wszystkich. Wierzę.

Szybciej niż koliber wzniosła się w górę, w otwarte niebo, wciąż ciągnąc za sobą Misao, która krzyczała coraz głośniejszymi krzykami również odpowiadając jej Shinichi walczący z Damonem.

W końcu stało się to, co przewidywali z Damonem, to, na co mieli nadzieję: Misao przyjęła swoją prawdziwą postać i Elena trzymała teraz za skórę na karku wielką, wierzgającą wściekle lisicę.

Przez chwilę miała problem z utrzymaniem równowagi. Zorientowała się, że rozkład ciężaru zmienił się z powodu sześcioramionego ogona Misao, które sprawiały, że najcięższa była tam, gdzie zwykły lis byłby najlżejszy.

Doleciała do swojej gałęzi - mieszkańcy były zbyt wolne, by ją zatrzymać - i stanęła na niej, patrząc na scenę rozgrywającą się na ziemi. Wszystko układało się zgodnie z planem, poza tym że Damon najwyraźniej zapomniał, co miał robić. Nie poddał się ponownie opętaniu, ale oszukał piekielne bliźnięta podobnie jak Elenę. Teraz według planu powinien zająć się niewinnymi widzami, podczas gdy ona spróbuje omamić Shinichiego.

Coś w nim jednak na to nie pozwoliło. Zamiast tego metodycznie uderzał głową kitsune - w ludzkiej formie - o ścianę.

- Niech cię... gdzie... jest... mój brat? - krzyczał.

- Mógłbym... cię zabić... teraz... - odpowiadał Shinichi, ale wyraźnie brakowało mu tchu. Damon nie był łatwym przeciwnikiem.

- Zrób to! - odparował wampir. - A potem ona - wskazał na Elenę - poderżnie gardło twojej siostrze.

Pogarda, z jaką odpowiedział Shinichi, była wstrząsająca.

- Mam uwierzyć, że dziewczyna z taką aurą mogłaby zabić...

Przychodzi czas, kiedy trzeba pokazać, na co cię stać. Taki czas przyszedł właśnie dla Eleny, jaśniejącej w odwadze i chwale. Wzięła głęboki oddech i błagając wszechświat o wybaczenie, pochyliła się i zacisnęła nożyce tak mocno, jak tylko mogła.

Czarny lisi ogon z czerwonym czubkiem opadł na ziemię, a Misao wrzasnęła z wściekłości i bólu. Ogon leżał teraz, wijąc się jak umierający wąż, który jednak wciąż się nie poddaje. Po chwili zaczął blaknąć i w końcu zniknął.

Wtedy Shinichi zaczął naprawdę krzyczeć.

- Czy ty wiesz, co zrobiłaś, głupia dziwko? Rozerwę cię na strzępy! Pokażę ci piekło, jakiego sobie nie wyobrazasz!

- Och, oczywiście, że tak właśnie zrobisz - przerwał mu Damon, starannie akcentując każde słowo. - Ale najpierw musisz poradzić sobie ze mną.

Elena ledwie słyszała ich słowa. Nie było łatwo zacisnąć te nożyce. Musiała myśleć o Meredith, gdy ona je trzymała, o Bonnie leżącej na ołtarzu, o Matcie, wcześniej, wijącym się na ziemi. O pani Flowers i trzech zagubionych dziewczynkach. I Isobel, i - zwłaszcza - o Stefano.

Kiedy jednak po raz pierwszy w swoim życiu zraniła kogoś własnymi rękami, ogarnęło ją nagle poczucie nowej odpowiedzialności. Lodowaty wiatr porwał jej włosy i powiedział jej prosto w oszołomioną twarz: Nigdy bez powodu. Nigdy bez konieczności. Nigdy, jeżeli możliwe jest inne wyjście.

Poczuła jak coś w niej narasta. Nie zdążyła pożegnać się z dzieciństwem, kiedy niespodziewanie stała się wojownikiem.

- Wszyscy myśleliście, że nie potrafię walczyć - zawołała. - Myliliście się. Myśleliście, że jestem bezsilna. A ja wykorzystam w tej walce ostatnią kroplę mojej mocy, bo wy, bliźniaki, jesteście prawdziwymi potworami. Jesteście wynaturzeni. Jeżeli umrę, spocznę z Honorią Feli i wciąż będę czuć nad moim miastem.

Twoje miasto zginie i zgnije, pożarte przez robaki, szepnął jakiś głos przy jej uchu. Był to głęboki bas, który w niczym nie przypominał pisków Misao. Elena odwróciła się. Uświadomiła sobie, że to drzewo, na którym stoi, przemówiło do niej. Potężny konar, pokryty łuskowatą korą, z tymi lepкими od kory igłami, które wbijały się w jej ciało, spychając ją, wytrącając z równowagi, zmuszając do mimowolnego otwarcia dłoni. Misao pospiesznie uciekła i schowała się wśród gałęzi.

- Idź... do... diabła... potworne drzewo - krzyknęła Elena, rzucając się ku podstawie gałęzi, która ją zaatakowała, z rozwartymi nożycami. Zacisnęła ostrza, a kiedy konar próbował się wyrwać, przekręciła nożyce i zacisnęła jeszcze mocniej. Gałąź odpadła, zostawiając po sobie plamę cieknięcej żywicy.

Elena rozejrzała się za Misao. Lis radził sobie na drzewie gorzej, niż się spodziewała. Przyjrzała się jej ogonom. Nigdzie jednak nie widziała rany ani nawet śladu krwi.

Czy to dlatego nie przemieniała się w człowieka? Z powodu utraty ogona? Nawet gdyby miała być naga po zmianie postaci - jak w opowieściach o wilkołakach - byłoby jej łatwiej zejść na dół.

Misao zdecydowała się w końcu na powolną, ale bezpieczną metodę - ześlizgiwała się z jednej gałęzi na kolejną, na każdej zatrzymując się na

ułamek sekundy, by nie stracić równowagi. Nie uciekła więc jeszcze daleko, znajdowała się ledwie kilka metrów pod Elena.

Elena musiała teraz tylko zsunąć się w dół i - za pomocą skrzydeł lub w inny sposób - zatrzymać się na jej wysokości. O ile skrzydła zadziałają. O ile drzewo jej nie zrzuci.

- Jesteś zbyt wolna - rzuciła. Zaczęła zsuwać się w pościgu za Misao. Odległość między nimi nie była duża, mierzona długością ludzkiego ciała.

Zatrzymała się nagle, gdy spojrzała na Bonnie.

Smukłe ciało dziewczyny wciąż spoczywało na ołtarzu. Była blada i drżała z zimna. Trzymały ją cztery mieszańce, drzewne potwory, każdy za jedną rękę lub nogę. Ciągnęły tak mocno, że uniosły ją w powietrze.

Bonnie była przytomna, ale nie krzyczała. Nie wydała żadnego dźwięku, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Elena uświadomiła sobie - z miłością i przerażeniem - dlaczego jej przyjaciółka milczy. Nie chciała przeszkadzać ważniejszym graczom w ich potyczce.

Drzewa-ludzie odchylił się.

Twarz Bonnie wykrzywił grymas bólu.

Elena musiała złapać Misao. Potrzebowała lisiego klucza, by uwolnić Stefano, a tylko Misao albo Shinichi mogli jej powiedzieć, gdzie szukać jego połówek. Uniosła wzrok i zauważyła, że zaczyna się przejaśniać, niebo z czarnego stało się ciemnoszare - nie wydawało się jednak przychylnie. Spojrzała w dół. Misao oddalała się. Jeżeli Elena pozwoli jej uciec... Kochała Stefano. Ale Bonnie... Bonnie była jej przyjaciółką, odkąd pamiętała.

Przyszedł jej do głowy plan B.

Damon walczył z Shinichim, a przynajmniej próbował.

Shinichi jednak za każdym razem unikał jego ciosu. Sam natomiast bez trudu trafiał w cel. Twarz Damona była nie do poznania pod warstwą krwi.

- Weź kij! - krzyczała Misao przenikliwym, ale już nie dziecięcym głosem. - Wy, mężczyźni, idioci, zawsze myślicie tylko o pięściach!

Shinichi jedną ręką wyrwał kolumnienkę balustrady. Był naprawdę silny. Damon uśmiechnął się spokojnie. Zamierzał rozkoszować się walką do samego końca, nie zwracając uwagi na mniejsze ani większe rany.

- Damon, spójrz w dół! - przerwała mu zabawę Elena. Jej głos z trudem przebijał się przez otaczającą ją kakofonię pisków, krzyków i szlochów. - Damon! Popatrz w dół! Bonnie!

Dotąd nic nie było w stanie zwrócić uwagi Damona, zderminowanego, by dowiedzieć się, gdzie Kitsune więził jego brata - albo zabić Shinichiego, próbując.

Teraz, ku zaskoczeniu Eleny, odwrócił się natychmiast. Spojrzał w stronę Bonnie.

- Klatka - zawołał Shinichi. - Zróbcie mi klatkę!

Ze wszystkich stron wyrosły gałęzie, zamykając jego i Damona w małym zamkniętym świetle.

Drzewce odchyliły się jeszcze trochę, ciągnąc za ręce i nogi Bonnie. Wbrew sobie dziewczyna zaczęła krzyczeć.

- Widzisz? - roześmiał się Kitsune. - Wszyscy twoi przyjaciele zginą w męczarniach. Pojedynczo, załatwimy was wszystkich.

Damon na te słowa wpadł w prawdziwy szal. Poruszał się zwinnie jak pantera i szybko jak tańczący płomień, jak niezwykle zwierzę o refleksie dużo szybszym niż lisie zmysły Shinichiego. W jego dłoni pojawił się miecz, bez wątplenia dostarczony przez magię klucza Kitsune. Przeciął drewniane kraty, zanim gałęzie zdążyły go oplatać. Damon w jednej chwili znalazł się na zewnątrz, przelatując przez balustradę po raz drugi tej nocy.

Tym razem jednak nic nie zakłóciło jego równowagi. Nie tylko nic sobie nie złamał, ale wylądował z gracją wielkiego kota tuż obok Bonnie. Elena zdążyła zauważyć tylko stalową smugę w powietrzu, gdy jego miecz uwalniał dziewczynę. A potem na ziemię spadły równo ucięte, podobne do palców czubki gałęzi.

W kolejnej sekundzie Damon podniósł Bonnie, zeskoczył z ołtarza i zniknął w cieniu za budynkiem.

Elena wypuściła powietrze i wróciła do Misao. Jej serce biło jednak szybciej i mocniej, przepełnione radością, dumą i wdzięcznością, kiedy zsuwała się po gałęziach, rozdzierając sobie skórę ostrymi igłami.

Już po chwili trzymała mocno za skórę na lisim karku. Misao zawyla jak zwierzę i wbiła zęby w dłoń Eleny. Dziewczyna przygryzła wargę do krwi, by nie krzyknąć z bólu.

Zgiń, przepadnij, obróć się w gnój i proch, szeptało do jej ucha drzewo. Twój gatunek jest paszą dla mojego. Głos był niski, złowrogi i bardzo, bardzo przerażający.

Elena zareagowała instynktownie. Odbiła się mocno od gałęzi, a złote skrzydła rozprostowały się i uniosły ją nad ołtarz.

Podciągnęła parszając wściekle lisi pysk do twarzy, ale nie za blisko.

- Gdzie są dwie części klucza? - zapytała. - Powiedz mi albo obetnę ci kolejny ogon. Przysięgam, że to zrobię. Nie ludź się, tracisz nie tylko godność, prawda? W twoich ogonach znajduje się twoja moc. Jakby to było stracić je wszystkie?

- Całkiem jak być człowiekiem; nie licząc ciebie, więdźmo. - Misao roześmiała się, parszkając jeszcze głośniej.

- Odpowiedz na pytanie!

- Jakbyś mogła zrozumieć moją odpowiedź. Gdybym ci powiedziała, że jedna jest wewnątrz srebrnego słowiczego instrumentu, to czy coś z tego będziesz wiedzieć?

- Mogłabym, gdybyś wyjaśniła!

- Gdybym ci powiedziała, że jedna jest zakopana pod salą balową w Blodwedd, czy potrafiłabyś ją znaleźć? -

Roześmiała się ponownie, udzielając tych wskazówek, które prowadziły donikąd.

- Czy to jest twoja odpowiedź?

- Nie! - krzyknęła Misao i kopnęła łapami jak pies grzebiący w ziemi. Tyle że ziemią był w tym przypadku brzuch Eleny. Pazury przemieniły jej koszulę w postrzępione łachmany.

- Ostrzegalam cię. Przestań ze mną igrać! - zawołała Elena. Lewą ręką, obolałą ze zmęczenia, podniosła lisa wyżej. Przysunęła nożyce, które trzymała w prawej, do ogonów.

- Gdzie jest pierwsza część klucza?

- Sama poszukaj! Masz do przetrząśnięcia tylko cały świat i jeszcze trochę. - Kitsune znów zaatakowała jej gardło, Elena uchyliła się, ale białe kły zahaczyły o jej skórę.

Z wysiłkiem podniosła Misao jeszcze wyżej.

- Ostrzegalam cię, więc nie możesz się skarżyć! Zaciśnęła ostrza nożyc.

Misao pisnęła, ale jej pisk niemal zginął w ogólnej kakofonii.

- Jesteś skończoną kłamczucha, prawda? - ciągnęła Elena, coraz bardziej zmęczona. - Spójrz w dół, jeżeli chcesz. Nawet nie dotknęłam cię nożycami. Usłyszałaś tylko ich zgrzyt i zaczęłaś krzyczeć.

Misao prawie wbiła jej pazur w oko. No cóż. Elena przestała już rozważać dylematy etyczne. Nie sprawiała bólu, a jedynie zabierała moc. Zamknęła nożyce, raz, drugi trzeci; Misao krzyczała i przeklinała ją, ale drzewa-ludzie pod nimi zaczęli się kurczyć.

- Gdzie jest pierwsza część klucza?

- Puść mnie, to ci powiem. - Głos Misao stał się nagle mniej piskliwy.

- Przysięgasz na swój honor? Jeżeli potrafisz to powiedzieć bez śmiechu...

- Na mój honor. Daję słowo, Kitsune. Proszę! Nie możesz odciąć lisowi prawdziwego ogona! To dlatego te, które ucięłaś, nie bolały. To tylko honorowe odznaczenia. Ale mój prawdziwy ogon jest na środku, zakończony na biało. Jeżeli go odetniesz, polecą krew. - Misao wydawała się zupełnie zastraszone, niemal chętna do współpracy.

Elena umiała oceniać ludzi, a zarówno jej umysł, jak i serce podpowiadały, by nie ufać tej istocie. Ale tak bardzo chciała wierzyć, mieć nadzieję.

Powoli zniżyła lot, tak że lis prawie stanął na ziemi - powstrzymała pokusę, by upuścić ją z wysokości dwudziestu metrów.

- No więc? Na twój honor, jaka jest odpowiedź? Sześć mieszańców wyrosło nagle wokół niej i wyciągnęło po nią swoje powykęcane ramiona.

Ale Elena nie straciła czujności. Nie puściła Misao, a tylko lekko poluzowała chwyt. Teraz znów zacisnęła palce.

Poczuła przyływ sił, który pozwolił jej unieść się prędko w górę i zawisnąć nad dachem, nad wściekłym Shinichim i szlochającą Caroline. Spotkała niespodziewanie wzrok Damona przepełniony dumą - z niej. Ją ogarnęła żądza walki.

- Nie jestem aniołem - oznajmiła wszystkim, którzy nie zdążyli jeszcze zauważyć. - Nie jestem aniołem i nie jestem duchem. Jestem Elena Gilbert i byłam po tamtej stronie. Teraz jestem gotowa zrobić wszystko, co musi zostać zrobione, co chyba uwzględni skopanie kilku tyłków!

Na dole rozległ się jakiś hałas, którego w pierwszej chwili nie potrafiła zidentyfikować. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że to pozostali ludzie - jej przyjaciele, pani Flowers i doktor Alpert, Matt, a nawet Isobel. Kibicowali jej. I byli dobrze widoczni, bo nagle wokół nastał świt.

Czy ja to zrobiłam? - pomyślała Elena i zrozumiała, że w jakimś sensie tak. Rozświetliła polanę, na której stał pensjonat, podczas gdy resztę lasu wciąż spowijał mrok.

Może potrafię rozszerzyć krąg światła. Przemienić Stary Las w coś młodszego i nie tak złego.

Gdyby miała więcej doświadczenia, nigdy by tego nie spróbowała. Ale tu i teraz czuła, że może zrobić, co chce. Rozejrzała się na wszystkie strony i zawołała: „Skrzydła Oczyszczenia!” Patrzyła, jak wielkie, śnieżnobiałe, jaśniejące motyle skrzydła rozciągają się w górę i w bok, szerokie, szerokie, jeszcze szersze.

Była świadoma ciszy; była świadoma, że zanurzyła się w coś, czego nie mogły zakłócić nawet piski Misao ani jej pazury. Ta cisza przywiodła jej na myśl nuty najpiękniejszej muzyki zbiegające się w jednym potężnym akordzie.

W końcu moc wybuchła, rozchodząc się z niej na wszystkie strony - nie ta niszcząca moc, którą posługiwał się Damon, ale moc odnowy, miłości, młodości i oczyszczenia. Elena patrzyła, jak światło rozciąga się dalej i dalej, a drzewa stają się mniejsze i bardziej przyjazne, gdy między nimi pojawiają się polanki i ścieżki. Pnącza i kolce znikają. Na ziemi, w rozszerzającym się kręgu kwitły kwiaty, słodkie fiołki tu i astry tam i wszędzie dzikie róże. Zrobiło się tak pięknie, że poczuła ból w klatce piersiowej.

Misao syczała z wściekłości. W końcu Elena wypadła z transu, a gdy rozejrzała się dookoła, zobaczyła, że potworni drzewa-ludzie zniknęli, a na ich miejscu rosną kępy szczawiu. Jedynym śladem po mieszkańcach były małe skamieniałe drzewa o dziwnych kształtach. Niektóre przypominały ludzi. Przez chwilę Elena przyglądała się okolicy oszołomiona, aż w końcu uświadomiła sobie, co jeszcze się zmieniło. Wszyscy prawdziwi ludzie zniknęli.

- Nigdy nie powinnam była cię tu przyprowadzać! - Ku zdumieniu Eleny to był głos Misao. Mówiła do swojego brata. - Wszystko popsujesz przez tę dziewczynę. Shinichi no baka!

- Sama jesteś idiotką! - odparował Shinichi. - Onore! Zachowujesz się dokładnie tak, jak oni chcieli.

- A co innego mam robić twoim zdaniem?

- Słyszałem, jak dajesz jej wskazówki - warknął. - Zrobiłabyś wszystko dla urody, ty samolubna...

- Jak śmiesz tak do mnie mówić? Ty nie straciłeś ogona!

- Tylko dlatego, że jestem szybszy.

- To kłamstwo! Wiesz o tym. Odwołaj to!

- Jesteś zbyt słaba, by walczyć! Powinnaś była już dawno uciec! Teraz za późno, żeby płakać.

- Nie waż się tak do mnie mówić! - Misao wyrwała się Elenie i zaatakowała Shinichiego. Jej brat się mylił. Potrafiła walczyć. W jednej sekundzie oboje zamienili się w kulę zniszczenia, przetaczając się w jedną i drugą stronę. Walcząc, gwałtownie zmieniali postać. Na wszystkie strony fruwały strzepy czarnego i szkarłatnego futra. Splątane ciała wydawały piski i krzyki.

- ...i tak nie znajdą kluczy...
- ...w każdym razie nie obu...
- ... a nawet gdyby...
- ... to co za różnica?
- ..wciąż musieliby znaleźć jego...
 - ..niech spróbują, będzie lepsza zabawa...

Przerazający, przenikliwy chichot Misao.

- ..zobaczymy, co znajdą...
- ...w Shi no Shi!

Nagle przerwali walkę i oboje przybrali ludzką postać. Byli poobijani i zmęczeni, ale Elena miała wrażenie, że nie dałoby się ich powstrzymać przed kontynuowaniem bójki, gdyby mieli taką ochotę.

- Rozbijam kulę - powiedział jednak zamiast tego Shinichi. - Tutaj - zwrócił się do Damona, zamykając oczy -jest twój kochany brat. Zapisuję to w twoim umyśle, o ile będziesz potrafił odczytać mapę. A kiedy tam dotrzesz, zginiesz. Nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Sklonił się Elenie.

- Żałuję, że ty też musisz umrzeć. Ale upamiętniłem cię w pieśni.

*Lilia i dzika róża, Fiołek i
bergamotka, Uśmiech słodki
Eleny odpędził zimę daleko*

*Naparstnica słodka,
Dzwonek i stokrotka, Gdzie stóp
jej ślad, Trawa się kołysze*

*Gdzie stopę postawi, Białe
kwiaty rosną*

- Wolałabym usłyszeć, gdzie są klucze. Prozą - prychnęła Elena, wiedząc, że po tej pieśni Misao nic już jej nie powie.

- Szczerze mówiąc, mam już dość tych waszych bzdur.

Zauważyła, że znów wszyscy się w nią wpatrują. Wiedziała czemu. Coś zmieniło się w jej głosie, w jej postawie, w sposobie mówienia. Ale przede wszystkim w jej sercu - czuła się wolna.

- Możemy zaproponować coś takiego - odpowiedział Shinichi. - Nie ruszymy części klucza. Szukaj ich według wskazówek albo w jakikolwiek inny sposób, jeżeli potrafisz.

- Mrugnął do Eleny i odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z bladą i drżącą Nemezis.

Caroline. Przez ostatnich kilka minut na przemian płakała i ocierała oczy pięściami - a przynajmniej tak Elena wnioskowała ze stanu jej makijażu.

- Ty też? - zawołała do Shinichiego. - Ty też? Shinichi uśmiechnął się nonszalancko.

- Ja też. I kto jeszcze? - zapytał kpiąco.

- Ty też na nią lecis? Wymyślasz piosenki, dajesz jej wskazówki, jak znaleźć Stefano.

To nie są szczególnie pomocne wskazówki - uspokoił ją i znów się uśmiechnął.

Caroline próbowała go uderzyć, ale zatrzymał jej pięść.

- I teraz zamierzasz odejść? - Jej głos wznosił się do krzyku; nie tak przenikliwego jak wrzask Misao, ale obdarzonego potężną mocą.

- Nie zamierzam. Odchodzę. Odchodzimy - spojrzał na Misao. - Musimy jeszcze załatwić jedną sprawę. Ale to nie dotyczy ciebie.

Elena w napięciu czekała, co będzie dalej. Caroline tymczasem próbowała jeszcze raz zaatakować Kitsune.

- Po tym, co mi mówiłeś? Po tym wszystkim? Shinichi patrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Wyglądał na szczerze zaskoczonego.

- Mówiłem? Czy rozmawialiśmy już kiedyś wcześniej? Za jego plecami rozległ się piskliwy chichot. Misao przykrywała usta dłonią, zanosząc się śmiechem.

- Wykorzystałam twoją postać - wytłumaczyła bratu, spuszczać wzrok, jakby wyznawała drobne przewinienie. - I twój głos. W lustrze, kiedy dawałam jej rozkazy. Potrzebowała jakiejś odskoczni po tym, jak rzucił ją facet. Powiedziałam, że się w niej zakochałam i że chcę zemścić się na jej wrogach. W zamian musiała tylko zrobić dla mnie parę drobnych rzeczy.

- Na przykład obdarować kilka małych dziewczynek malakami - wtrącił ponuro Damon.

Misao znów zachichotała.

- I paru chłopców też. Wiem, jak to jest mieć w sobie jednego z tych insektów. To wcale nie boli. Po prostu tam jest.

- A czy kiedyś jeden z nich zmuszał cię do czegoś, czego nie chciałaś robić? - zapytała Elena. Z jej oczu tryskały iskry gniewu. - Czy to by nie bolało, Misao?

- To nie byłeś ty? - Caroline wciąż wpatrywała się w Shinichiego. Najwyraźniej nie mogła w to uwierzyć. - To nie byłeś ty?

Shinichi westchnął, uśmiechając się smutno.

- Nie. Nie potrafię się oprzeć złotym włosom. Złotym albo czarnym i szkarłatnym - dodał pośpiesznie, oglądając się na siostrę.

- Więc to było kłamstwo - powiedziała Caroline. Przez chwilę na jej twarzy malowała się rozpacz większa niż gniew. - Jesteś tylko kolejnym chłoptasiem Eleny.

- Posłuchaj - rzuciła Elena. - Ja go nie chcę. Nienawidzę go. Zależy mi tylko na Stefano!

- Och, czyżby? - zapytał Damon, spoglądając na Matta, który podszedł do nich, niosąc Bonnie, podczas gdy trwała walka lisolaków. Pani Flowers i doktor Alpert stały za nim.

- Wiesz, co mam na myśli - zwróciła się Elena do Damona.

Wampir wzruszył ramionami.

- Niejedna złotowłosa niewiasta zostaje małżonką prostego gospodarza. - Pokręcił głową. - Czemu ja opowiadał takie rzeczy? - Nachylił się groźnie nad Shinichim.

- To efekt uboczny... po opętaniu... rozumiesz. - Shinichi machnął dłonią, wciąż wpatrując się w Elenę.

Wyglądało na to, że szykuje się kolejna walka, ale Damon tylko się uśmiechnął.

- Pozwoliłeś więc Misao zająć się miastem, podczas gdy ty zatroszczyłeś się o mnie i Elenę - powiedział po krótkiej chwili.

- I...

- Mutta - dodał szybko Damon.

- Chciałam powiedzieć „Stefano” - poprawiła go Elena. - Myślę, że Matt padł ofiarą zabiegów Misao i Caroline, zanim cię spotkałam, kiedy byłeś opętany.

- I myślisz, że teraz możesz tak po prostu odejść - ciągnęła Caroline, drżącym, wściekłym głosem.

- My tak po prostu odchodzimy, tak - odpowiedział stanowczo Shinichi.

- Caroline, poczekaj - zawołała Elena. - Mogę ci pomóc. Skrzydłami Oczyszczenia. Jesteś kontrolowana przez malaka!

- Nie potrzebuję twojej pomocy! Potrzebuję męża! Wszyscy zamilkli. Nawet Matt nie odważył się nic powiedzieć.
- Albo przynajmniej narzeczonego - mruknęła Caroline, kładąc dłoń na brzuchu. - Mojej rodzinie to by wystarczyło.
- Coś na to poradzimy - powiedziała łagodnie Elena. -Uwierz w to, Caroline.
- Nie uwierzyłabym ci, nawet gdyby... - Odpowiedź Caroline była wyjątkowo wulgarna. Splunęła w stronę Eleny. Potem zamilkła, z własnej woli albo dlatego że tak kazał jej malak.
- Wróćmy do interesów - przerwał ciszę Shinichi. -Naszą ceną za wskazówki będzie mały fragment pamięci. Na przykład odkąd spotkałem Damona aż do teraz. Z umysłu Damona. - Uśmiechnął się złośliwie.
- Nie możesz tego zrobić! - Elena wpadła w panikę. - On jest teraz kim innym. Przypomnił sobie wszystko. Zmienił się. Jeżeli zabierzesz mu te wspomnienia.
- Odwrócę wszystkie te wspaniałe zmiany - dokończył za nią kitsune. - Może wolisz, żebym zabrał twoje?
- Tak!
- Ale tylko ty słyszałaś wskazówki, jak odnaleźć klucze. A poza tym nie chcę oglądać tego wszystkiego twoimi oczami. Chcę to widzieć z jego perspektywy.
- Elena była gotowa znów walczyć, choćby miała walczyć sama. Damon powstrzymał ją gestem.
- Proszę bardzo, bierz, co ci się podoba. Ale jeżeli potem natychmiast nie znikniesz z tego miasta, ja zabiorę sobie twoją głowę. W końcu skorzystam z moich nożyc.
- Zgoda.
- Nie, Damon...
- Chcesz odzyskać Stefano?
- Nie za taką cenę!
- Co za szkoda - wtrącił Shinichi. - Nie ma innej możliwości.
- Damon! Proszę, przemyśl to!
- Przemyślałem. To moja wina, że malaki tak urosły w liczbę i siłę. To moja wina, że nie sprawdziłem, co się dzieje z Caroline. Nie interesowało mnie, co się przydarzy ludziom tak długo, jak długo to trzymało się z dala ode mnie. Ale mogę naprawić przynajmniej część szkód, pomagając ci znaleźć Stefano. - Odwrócił się do niej i posłał jej uśmiech starego łaskawego diabła. - W końcu mam troszczyć się o mojego brata.
- Damon, posłuchaj mnie.

Damon jednak patrzył już znowu na Shinichiego.

- Zgoda - powiedział. - Dobiliśmy targu.

ROZDZIAŁ 22

Wygraliśmy bitwę, ale nie wojnę - westchnęła smutno Elena.

Chyba był dzień po ich walce z bliźnięta

mi Kitsune. Ale niczego nie była pewna, poza tym że żyje, że Stefano nie ma przy niej i że Damon znów jest tym samym Damonem co zawsze.

- Może dlatego, że nie było z nami mojego kochanego braciszka - powiedział, jakby chciał to potwierdzić. Jechali jego ferrari, próbując znaleźć jaguara Eleny - w prawdziwym świecie.

Elena zignorowała tę uwagę. Ignorowała też ciche, ale irytujące syczenie, które dobiegało z jakiegoś urządzenia zainstalowanego przez Damona w samochodzie. Nie było to radio, ale wydawało z siebie dźwięki. Nowa odmiana tabliczki Ouija? Duchy syczą teraz zamiast wybierać kolejne literki? Przeszedł ją dreszcz.

- Dałeś mi słowo, że poszukasz go ze mną. Przysięgam na zaświaty

- Mówisz, że to zrobiłem. Wiem, że nie kłamiesz. Mnie byś nie okłamała. Teraz, gdy jesteś człowiekiem, widzę to wyraźnie. Skoro dałem słowo, to dałem słowo.

Człowiekiem? - pomyślała Elena. Czy jestem człowiekiem? Kim jestem? Z tą mocą, którą mam. Nawet Damon widzi, że Stary Las naprawdę się zmienił. Nie jest już tym samym na pół martwym, starożytnym lasem. Kwitną w nim kwiaty. Wszystko żyje.

- W każdym razie, dzięki temu będę mógł spędzić z tobą mnóstwo czasu, moja księżniczko ciemności.

I znów do tego wracamy. Ale wysadziłby mnie natychmiast z samochodu, gdybym opowiedziała mu, że spacerowaliśmy, śmiejąc się, po leśnej polanie i że klękał, żeby podsunąć mi podnózek. Nawet ja już nie jestem pewna, czy to się rzeczywiście zdarzyło.

Samochód podskoczył lekko. Damon oczywiście jechał tak szybko jak zawsze.

- Mam! - Roześmiał się. Elena obróciła się, gotowa wyrwać mu kierownicę, żeby zawrócić. - To był kawałek opony, dla twojej informacji - uspokoił ją. - Mało które zwierzę jest czarne, okrągłe i grube na centymetr.

Elena milczała. Co mogła na to odpowiedzieć? Gdzieś w głębi serca czuła jednak ulgę, że Damon nie uważał przejeżdżania małych zwierzątek za dobrą zabawę.

Spędzimy sporo czasu tylko we dwójkę, pomyślała i uświadomiła sobie, że z jeszcze jednego powodu nie mogłaby po prostu pozwolić Damonowi umrzeć. Shinichi umieścił mapę z lokalizacją więzienia Stefano w jego głowie. Rozpaczliwie go potrzebowała, żeby zabrał ją do tego miejsca, żeby pomógł jej walczyć ze strażnikami, kimkolwiek lub czymkolwiek byli.

Ale to dobrze, że zapomniał o jej mocy. To może się przydać w czarnej godzinie.

- Co do... - wykrzyknął nagle Damon i sięgnął do pokrętła od radia.

- ...wtarzam. Wszystkie jednostki, szukać Matthew Honeycutta, mężczyzna, rasy białej, sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, włosy blond, oczy niebieskie...

- Co to jest? - zapytała Elena.

- Policyjny odbiornik. Jeżeli naprawdę chcesz żyć w tym wspaniałym kraju wolnych ludzi, dobrze jest wiedzieć, kiedy masz uciekać...

- Damon, nie próbuj mnie przekonać do swojego życia. Miałam na myśli, o co chodzi z Mattem?

- Wygląda na to, że postanowili go w końcu dopaść. Caroline nie udało się zemścić na nim wczoraj. Widocznie dzisiaj sięgnęła po inne sposoby.

- Więc musimy go jak najszybciej znaleźć. Nie wiadomo, co może się stać, jeżeli zostanie w Fell's Church. Ale nie może zabrać swojego samochodu, a do tego się nie zmieści. Co zrobimy?

- Zostawimy go policji?

- Przestań. Musimy... - zaczęła Elena, kiedy nagle po lewej stronie, na polanie, jak jakaś wizja, która miała potwierdzić jej racje, pojawił się jaguar, którego szukali.

- Pojedziemy tym samochodem - powiedziała. - Przynajmniej jest w nim dość miejsca. Jeżeli chcesz zabrać ze sobą swój odbiornik, lepiej zacznij go od razu wymontowywać.

- Ale...

- Ja pojedę po Matta. Tylko mnie posłucha. Potem zostawimy ferrari w lesie. Albo spuścimy je do strumienia, jeżeli wolisz.

- Wolę strumień, rzecz jasna.
- Chociaż możemy nie mieć na to czasu. Zostawimy je w lesie.
Matt patrzył na Elenę, nie dowierzając własnym oczom.
- Nie, nie będę uciekał.

Wbiła w niego wzrok.

- Matt, wsiadaj do samochodu. Już. Musisz. Ojciec Caroline jest krewnym sędziego, który wydał nakaz aresztowania. To lincz, jak powiedziałyby Meredith. Nawet ona twierdzi, że musisz uciekać. Nie potrzebujesz ubrań, znajdziemy ci jakieś.

- Ale... ale to nieprawda...

- Zrobią z tego prawdę. Caroline będzie płakać i skarżyć się. Nigdy bym nie pomyślała, że jakakolwiek dziewczyna może się mścić w ten sposób, ale ona jest jednak wyjątkowa. Odbiło jej.

- Ale...

- Powiedziałam, wsiadaj! Zaraz tu będą. Byli już u ciebie w domu i u Meredith. Co ty w ogóle robisz u Bonnie?

Bonnie i Matt wymienili spojrzenia.

- E, sprawdzałem, czy mogę coś zrobić z samochodem mamy Bonnie - wyjaśnił chłopak. - Znowu coś nawala.

- Nieważne! Chodź ze mną! Bonnie, co robisz? Dzwonisz do Meredith?

Bonnie podskoczyła.

- Tak.

- Pożegnaj ją, powiedz, że ją kocham. Zajmijcie się miastem. .. będziemy w kontakcie!

- Miałaś rację. Odjeżdża natychmiast. Nie wiem, czy Damon z nią jedzie. Nie było go w samochodzie - powiedziała Bonnie do telefonu, gdy czerwony jaguar zniknął za zakrętem.

Słuchała przez chwilę, kiwając głową.

- Dobrze, tak zrobię. Do zobaczenia.

Rozłączyła się i ruszyła do akcji.

Drogi pamiętniku, Dzisiaj
uciekłam z domu.

Chyba nie do końca można to nazwać ucieczką, gdy ma się 18 lat i jedzie się własnym samochodem, a poza tym nikt nie wie, że w ogóle byłaś w domu. Więc powiedzmy, że dzisiaj po prostu uciekłam.

Inna dość zaskakująca sprawa jest taka, że uciekłam z dwoma facetami. I żaden z nich nie jest moim facetem.

Tak mówię, chociaż... nie mogę przestać wspominać pewnych rzeczy. Wzrok Matta wtedy na polanie... Naprawdę wierzę, że był gotów za mnie umrzeć. Nie mogę przestać myśleć o tym, co kiedyś dla siebie znaczyliśmy. Te niebieskie oczy... och, nie wiem, co się ze mną dzieje!

No i Damon. Wiem teraz, że pod wieloma warstwami kamienia otaczającymi jego duszę jest żywe, bijące serce. Głęboko ukryte, ale jest tam. Jeżeli mam być szczerą, muszę przyznać, że to porusza coś głęboko we mnie, w jakiejś części mnie, której sama nie rozumiem.

Och, Eleno! Przestań! Nie możesz tak zbliżać się do tej mrocznej części swojej duszy, zwłaszcza teraz, gdy masz moc. Nie waz się tego robić. Wszystko jest teraz inne. Musisz być bardziej odpowiedzialna (w tym nigdy nie byłam dobra!)

Nie będzie przy mnie Meredith, żeby pomóc mi być odpowiedzialną. Jak to wszystko ma się udać? Damon i Matt w jednym samochodzie? Razem w podróży? Wyobrazasz to sobie? Wieczorem, kiedy było już późno, Matt był tak oszołomiony całą sytuacją, że nie do końca wiedział, co się naprawdę dzieje. A Damon tylko uśmiechał się ironicznie. Ale jutro znów będzie w diabelskiej formie, wiem o tym.

Wciąż żałuję, że Shinichi musiał zabrać Damonowi Skrzydła Odkupienia razem ze wspomnieniami. Ale wierzę, że gdzieś głęboko w nim kryje się jakaś iskra, która pamięta go takim, jakim był wtedy ze mną. Teraz jednak musi być jeszcze gorszy niż zwykle, żeby dowieść, że to wspomnienie jest kłamstwem.

Więc kiedy to czytasz, Damonie - wiem, że w końcu to przeczytasz, tak czy inaczej - powiem ci, że była chwila, kiedy byłeś miły, naprawdę miły, i to było świetne. Rozmawialiśmy. Śmialiśmy się nawet - z tych samych dowcipów. A ty... ty byłeś delikatny.

A teraz znów zaczynasz swoje Nie, to tylko kolejna intryga Eleny, żeby przekonać mnie, że mogę zawrócić. Ale ja wiem, dokąd zmierzam i nic mnie to nie obchodzi. Czy to nie brzmi znajomo, Damonie? Czy nie powiedziałeś tego komuś niedawno? A jeżeli nie, to skąd to znam? Może choć raz mówię prawdę?

Zapomnę nawet o tym, że znów szargasz swój honor, czytając prywatne zapiski, do których nie masz prawa.

Co jeszcze?

Po pierwsze: brakuje mi Stefano.

Po drugie: nie spakowałam się na tę wycieczkę. Z Mattem podjechaliśmy do pensjonatu, on zabrał pieniądze, które zostawił mi Stefano, a ja wyciągnęłam trochę ubrań z szafy. Bóg jeden wie, co tam jest: spodnie Meredith i bluzki Bonnie. I ani jednej koszuli nocnej.

Ale przynajmniej mam ciebie, mój drogi przyjacielu, prezent, który Stefano dla mnie trzymał. Nigdy zresztą nie lubiłam pisać na komputerze - w pliku o nazwie Pamiętnik. Pióro i papier są bardziej w moim stylu.

Po trzecie: tęsknię za Stefano. Tęsknię tak bardzo, że płaczę nawet teraz, pisząc o ubraniach. Wygląda na to, że to przez nie tak płaczę, więc wychodzę na strasznie płytką. Och, czasem mam ochotę po prostu krzyczeć.

Po czwarte: mam ochotę krzyczeć teraz. Dopiero gdy wróciliśmy do Fell's Church, odkryliśmy, jaki koszmar tam na nas czekał. Jeszcze jedna dziewczynka chyba została opętana przez malaki tak samo jak Tami, Kristin i Aua. Nie jestem pewna, więc nie mogłam nic zrobić. Mam wrażenie, że ta historia jeszcze się nie skończyła.

Po piąte: najgorsze jest jednak to, co stało się w domu Saitou. Isobel jest w szpitalu z potwornym zakażeniem we wszystkich swoich ranach. Obaasan, jak wszyscy mówią na jej babcię, nie umarła, choć tak uznali ratownicy. Była w głębokim transie, próbując połączyć się z nami. Być może część mojej odwagi, mojej wiary zawdzięczam jej. Pewnie nigdy się nie dowiem.

W gabinecie znaleziono Jima Bryce'a, który... Boże, nie mogę o tym pisać. Był kapitanem drużyny koszykarskiej! Ale odgryzł sobie całą lewą dłoń, większość palców z prawej i wargi. A potem wbił sobie ołówek przez ucho w mózg. Mówią (słyszałam to od Tyrone'a Alperta, wnuka lekarki), że to się nazywa syndrom Lescha-Nyhana (czy tak to się pisze?) To bardzo rzadkie, ale są inne takie przypadki. Tak mówią lekarze. Ja sądzę, że to malakgo do tego zmusił. Ale nie pozwoliliby mi spróbować go uwolnić.

Nie wiem nawet, czy żyje. Zabrali go do jakiejś placówki, gdzie prowadzą długoterminową terapię.

Zawiedliśmy. Ja zawiodłam. To nie była wina Jimmy'ego. Był z Caroline przez jedną noc, a malak przeszedł na Isobel i na jego siostrę Tami. Potem Caroline i Tami rozniosły go dalej. Próbowwały opętać Matta, ale on im na to nie pozwolił.

Po szóste: trzy dziewczynki, które z całą pewnością zostały opętane, pozostawały pod władzą Misao - z tego, co mówił Shinichi. One twierdzą, że nie pamiętają, żeby się przebiebrały albo przystawiały się do obcych. Nie

pamiętają nic z czasu, kiedy były opętane. Teraz znów zachowują się jak małe dziewczynki. Miłe. Spokojne. Gdybym wierzyła, że Misao podda się tak łatwo, spodziewałabym się, że już wszystko będzie z nimi w porządku.

Grzej z Caroline. Kiedyś była moją koleżanką, a teraz... cóż, myślę, że teraz potrzebuje pomocy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Damon dobrał się do jej pamiętnika - nagrywała się na wideo. Widział, jak mówiła do lustra, a lustro odpowiadało. Przez większość czasu pokazywało jej odbicie, ale czasem, na początku lub na końcu nagrania, pojawiała się w nim twarz Shinichiego. Trzeba przyznać, że jest przystojny, choć ma nietypową urodę. Rozumiem teraz, dlaczego Caroline się w nim zakochała i zgodziła się być nosidełką malaka.

To już się wszystko skończyło. Użyłam całej mocy, o jakiej wiem, żeby uwolnić te dziewczyny od malaków.

Caroline, oczywiście, nie pozwoliłaby mi się do siebie zbliżyć.

I te jej nieszczęsne słowa: Potrzebuję męża! Każda dziewczyna wie, co to znaczy. Każda dziewczyna współczuje innej, która mówi coś takiego, nawet jeżeli się nie znoszą.

Caroline i Tyler Smallwood rozstali się jakieś dwa tygodnie temu. Meredith mówi, że to ona go rzuciła i że porwanie jej dla Klausego było jego zemstą. Ale jeżeli wcześniej sypiali ze sobą bez zabezpieczenia (a Caroline jest wystarczająco głupia, żeby to robić), mogła już pewnie wiedzieć, że jest w ciąży, i rozglądać się za innym facetem, kiedy Shinichi pojawił się na horyzoncie (co stało się zaraz przed moim powrotem). Teraz promuje przyszpilić Matta. To naprawdę pech, że powiedziała, że to było tej nocy, gdy malak go zaatakował, a ta starsza pani ze straży obywatelskiej widziała, jak wraca do domu i zasypia za kierownicą, jakby był pijany lub na prochach.

A może to nie był pech. Może to wszystko było częścią planu Misao.

Idę już spać. Za dużo myślenia. Za dużo obaw. Och, jak tęsknię za Stefano! On pomógłby mi z tymi zmartwieniami na swój delikatny i mądry sposób.

Śpię w samochodzie. Drzwi są zamknięte. Chłopcy śpią na zewnątrz. Przynajmniej dzisiaj - nalegali. A w każdym razie się zgodzili.

Sądzę, że Shinichi i Misao wkrótce wrócą do Fell's Church. Nie wiem, czy to będzie za kilka dni, kilka tygodni, czy kilka miesięcy. Ale w końcu Misao wydobrzeje i wróci tu.

Co znaczy, że Damon, Matt i ja jesteśmy uciekinierami w dwóch światach.

Nie wiem, co zdarzy się jutro.

Elena